



JASMINE WARGA

Moje
serce
i inne
czarne
dziury

Spotkali się, by razem umrzeć.
A w zamian nauczyli się, jak żyć.

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

Moje
serce
i inne
czarne
dziury

JASMINE WARGA

Moje
serce
i inne
czarne
dziury

Z języka angielskiego
przełożyła Ewa Kleszcz



Tytuł oryginału: *My Heart and Other Black Holes*

Copyright © by Jasmine Warga, 2015

Copyright for the Polish edition © by Burda Publishing Polska Sp. z o.o., 2016

02-674 Warszawa, ul. Marynarska 15

Dział handlowy: tel. 22 360 38 42

Sprzedaż wysyłkowa: tel. 22 360 37 77

Redaktor prowadzący: Marcin Kicki

Tłumaczenie: Ewa Kleszcz

Redakcja: Renata Bubrowiecka

Korekta: Melanż, Agnieszka Więckowska

Skład i łamanie: Beata Rukat/Katka

Redakcja techniczna: Mariusz Teler

Projekt okładki: Katarzyna Ewa Legendź

Zdjęcie na okładce: Alan Graf/Getty Images

ISBN: 978-83-8053-135-2

Wszelkie prawa zastrzeżone. Reprodukowanie, kopiowanie w urządzeniach przetwarzania danych, odtwarzanie w jakiegokolwiek formie oraz wykorzystywanie

w wystąpieniach publicznych – również częściowe – tylko za wyłącznym zezwoleniem właściciela praw autorskich.

www.burdaksiazki.pl

Skład wersji elektronicznej: Michał Latusek

virtualo

konwersja.virtualo.pl

Spis treści

Dedykacja

Motto

wtorek, 12 marca - 26 dni do końca

środa, 13 marca - 25 dni do końca

środa, 13 marca - 25 dni do końca

środa, 13 marca - 25 dni do końca

czwartek, 14 marca - 24 dni do końca

czwartek, 14 marca - 24 dni do końca

piątek, 15 marca - 23 dni do końca

sobota, 16 marca - 22 dni do końca

sobota, 16 marca - 22 dni do końca

poniedziałek, 18 marca - 20 dni do końca

środa, 20 marca - 18 dni do końca

czwartek, 21 marca - 17 dni do końca

piątek, 22 marca - 16 dni do końca

sobota, 23 marca - 15 dni do końca

sobota, 23 marca - 15 dni do końca

wtorek, 26 marca - 12 dni do końca

środa, 27 marca - 11 dni do końca

środa, 27 marca - 11 dni do końca

piątek, 29 marca - 9 dni do końca

sobota, 30 marca - 8 dni do końca

sobota, 30 marca - 8 dni do końca

sobota, 30 marca - 8 dni do końca

niedziela, 31 marca - 7 dni do końca

niedziela, 31 marca - 7 dni do końca

niedziela, 31 marca - 7 dni do końca

poniedziałek, 1 kwietnia - 6 dni do końca

poniedziałek, 1 kwietnia - 6 dni do końca

środa, 3 kwietnia - 4 dni do końca

czwartek, 4 kwietnia - 3 dni do końca

Od autorki

Przydatne strony i telefony

Przypisy

*Ku pamięci Aidana Josa Schapery,
który kochał życie i uczył resztę z nas, jak je
kochać.*

*Prawdziwa podróż odkrywcza nie polega na
szukaniu nowych lądów,
lecz na nowym spojrzeniu.*

Marcel Proust¹

wtorek, 12 marca

26 dni do końca



Muzyka, zwłaszcza muzyka klasyczna, a już w szczególności *Requiem d-moll* Mozarta, posiada energię kinetyczną. Jeśli dobrze się wsłuchasz, możesz rozpoznać drzenie smyczka nad strunami skrzypiec, gotowego, by zagrać kolejne nuty, wprowadzić je w ruch. A kiedy już te nuty znajdują się w powietrzu, zderzają się ze sobą, iskrzą, eksplodują.

Spędzam dużo czasu na rozmyślaniach, jakie to uczucie umierać. Jak brzmi umieranie? Czy eksploduję jak te nuty, wydam ostatni okrzyk bólu, a potem zamilknę na zawsze? Czy może zamienię się w szum elektryczności statycznej, który można usłyszeć, jeśli człowiek wystarczająco się skupi?

Ale gdybym jeszcze nie fantazjowała o umieraniu, to praca w call center Tucker's Marketing Concepts zdecydowanie by mnie do tego skłoniła. Mają szczęście, że ta przypadłość rozwinęła się u mnie już wcześniej – nie zażądam od nich odszkodowania za złe warunki pracy.

Tucker's Marketing Concepts to firma telemarketingowa mieszcząca się w piwnicy obskurnej galerii handlowej, a ja jestem jej jedyną pracownicą, która nie była naocznym świadkiem upadku Rzymu. Szare plastikowe stoły, prawdopodobnie kupione hurtem w Costco, stoją w rzędach, każdy

pracownik ma swój telefon i komputer, a wszędzie śmierdzi pleśnią i przypaloną kawą. Aktualnie przeprowadzamy ankietę dla Paradise Vacations. Chcą wiedzieć, co ludzie cenią sobie bardziej na wakacjach: jakość jedzenia i napojów czy warunki w pokojach hotelowych. Wybieram następnego numer ze swojej listy: pani Elena George, zamieszkała przy Mulberry Street.

– Halo? – rozbrzmiewa w słuchawce chropowaty głos.

– Dzień dobry, pani George. Nazywam się Aysel i dzwonię z Tucker's Marketing Concepts w imieniu firmy Paradise Vacations. Czy ma pani chwilkę, żeby odpowiedzieć na kilka pytań? – W moim głosie brak melodyjności typowej dla pozostałych telemarketerów. Raczej nie należę do wyróżniających się pracowników TMC.

– Mówiłam wam, żebyście przestali dzwonić pod ten numer! – oświadcza pani George i odkłada słuchawkę.

„Może pani uciekać, ale i tak się pani nie ukryje, pani George”. Sporządzam notatkę w moim rejestrze połączeń. Najwyraźniej pani George nie jest zainteresowana dwutygodniowymi wakacjami na Hawajach z szansą zakupu czasowego prawa do własności wczasowej. *Sorry, Paradise Vacations.*

Wykonanie dwóch telefonów bez zrobienia sobie przerwy jest ponad moje siły, więc odwracam się w stronę komputera. Jediną zaletą mojej pracy jest darmowy, nieograniczony dostęp do sieci. Klikam dwukrotnie w przeglądarkę i loguję się z powrotem na Smooth Passages. To w tej chwili moja ulubiona strona internetowa.

– Aysel – warczy pan Palmer, mój kierownik, jak zawsze błędnie wymawiając moje imię.

Wymawia się je „Uh-zell”, a nie „Ay-zal”, ale jego to nie obchodzi. – Ile razy ci mówiłem, żebyś nie bawiła się komputerem? – Wskazuje na mój rejestr połączeń. – Wciąż masz mnóstwo numerów do obdzwonienia.

Pan Palmer to taki typ, którego całe życie mogłoby się odmienić, gdyby chociaż raz udał się do innego fryzjera. Włosy ma przystrzyżone na pieczarkę, w stylu charakterystycznym dla patykowatych uczniów klasy szóstej. Naprawdę mam ochotę mu powiedzieć, że fryzura na jeża uwydatniłaby linię jego szczęki, ale chyba jest całkiem szczęśliwy z panią Palmer i nie odczuwa potrzeby zmian. Nie, pan Palmer nie przeżywa kryzysu wieku średniego. Ale z niechęcią muszę przyznać, że odrobinę mu zazdroszczę: jego przynajmniej można naprawić. Kilka ciachnięć

nożyczkami i będzie jak nowy. Nie ma niczego takiego, co mogłoby naprawić mnie.

– Co takiego? – pyta pan Palmer, kiedy zauważa, że się na niego gapię.

– Ma pan ładne włosy – wyjaśniam, obracając się na krześle. Moja praca ma jednak dwie zalety: darmowy internet i obrotowe krzesło.

– Hę? – dziwi się.

– Ma pan ładne włosy – powtarzam. – Myślał pan kiedyś o tym, żeby ostrzyc się inaczej?

– Wiesz co? Zaryzykowałem, zatrudniając cię. – Pan Palmer wymachuje pomarszczonym palcem koło mojej twarzy. – Wszyscy w miasteczku mówili mi, że będą z tobą kłopoty z powodu twojego... – urywa i odwraca wzrok.

„Z powodu twojego ojca” – kończę w myślach rozpoczęte przez niego zdanie. Usta wypełnia mi kwaśny, metaliczny posmak, który zaczęłam

rozpoznawać jako upokorzenie. Moje życie można podzielić równo na dwie części: zanim mój ojciec trafił do wiecznych wiadomości i po tym wydarzeniu. Na moment puszczam wodze fantazji i zastanawiam się, jak wyglądałaby ta rozmowa, gdyby mój ojciec nie był moim ojcem. Pan Palmer prawdopodobnie nie zwróciłby się do mnie tak, jakbym była zbłąkanym kundlem buszującym w jego kubie na śmieci. Chcę wierzyć, że miałby więcej taktu. Ale teraz nikt już nie marnuje go na mnie.

Nagle uderza mnie myśl, którą staram się wyrzucić z głowy: „Wcale nie czułabyś się inaczej”. Przyciskam podbródek do klatki piersiowej.

– Przepraszam, panie Palmer. Już zabieram się do pracy.

Pan Palmer nic nie mówi, podnosi tylko wzrok na trzy gigantyczne lśniące bannery, które niedawno zawisły na tylnej ścianie biura. Każdy z nich przedstawia Briana Jacksona w jakieś pozie – ręce skrzyżowane na piersi, ręce wyciągnięte nad głową w geście zwycięstwa, ręce przyciśnięte do boków w trakcie biegu. Zdjęcia obrobiono w Photoshopie, żeby miał idealną cerę, ale nie było potrzeby zmieniać jego popielatych włosów czy jasnoniebieskich oczu. A ponieważ mijałam go często na szkolnych korytarzach, wiem, że mięśnie łydek naprawdę ma takie duże. Na dole każdego z bannerów widnieją słowa nagryzmołone wielkimi czerwonymi literami: „WYCHOWANY W LANGSTON, KENTUCKY, PRZYSZŁY OLIMPIJCZYK”. Bannery nie wspominają o pierwszym chłopcu z Langston, który niemal zakwalifikował się do igrzysk. Ale nie muszą. Gdy tak

obserwuję pana Palmera, wpatrującego się w banner, wiem, że myśli o nim – o tym pierwszym chłopcu. Niemal każdy, kto widzi zroszone potem czoło i muskularne łydki Briana Jacksona, musi pomyśleć o jego starszym bracie, Timothy Jacksonie. I niemal każdy, kto widzi jeden z tych bannerów, a potem widzi mnie, musi o nim pomyśleć.

Pan Palmer w końcu odrywa oczy od plakatu i odwraca się do mnie, ale nie potrafi spojrzeć mi w oczy. Patrzy gdzieś ponad czubkiem mojej głowy i odchrząkuje:

– Słuchaj, Aysel. Może byłoby lepiej, gdybyś jutro nie przychodziła. Może weźmiesz sobie dzień wolny?

Przyciskam łokcie do stolika, żałując, że nie mogę się wtopić w szary plastik, syntetyczną mieszanekę polimerów. Czuję, jak pod ciężarem ciała na skórze zaczynają robić mi się siniaki.

W myślach nucę *Toccatę i fugę d-moll* Bacha. Mój umysł wypełnia się mrocznymi organowymi nutami i wyobrażam sobie, jak klawisze układają się na kształt drabiny prowadzącej do pustej, spokojnej przestrzeni. Do miejsca z dala od TMC, z dala od pana Palmera, z dala od wszystkich i wszystkiego. Pan Palmer najwyraźniej bierze moje milczenie za zakłopotanie, a nie za całkowite, skrajne zażenowanie. Wyciąga dłonie przed siebie, kręcąc nadgarstkami, jakby właśnie mył ręce. Wzbudzam to pragnienie u większości ludzi – chęć wyszorowania dłoni do czysta.

– Jak zapewne wiesz, jutro będziemy dzwonić w imieniu miasteczka Langston, aby zachęcić jak najwięcej osób do udziału w sobotnim wiecu na cześć Briana Jacksona. – Głos pana Palmera odrobinę drży. Mężczyzna zerka z powrotem na banner, jakby dzięki skupionemu obliczu młodego

sportowca mógł znowu zebrać się na odwagę, by dokończyć myśl. Najwyraźniej magia Briana działa, bo szybko odzyskuje głos. – Brian przyjeżdża do domu na weekend z obozu treningowego i miasto chce mu zgotować ciepłe powitanie. Wiem, że chciałabyś pomóc, ale obawiam się, że niektórzy z naszych klientów mogliby się poczuć niekomfortowo, słysząc, że to ty zapraszasz ich na ten wiec ze względu na... cóż... ze względu na twojego ojca i... – Pan Palmer zniża głos, zaczyna mamrotać. Z jego ust płynie mieszanka przeprosin, wyjaśnień i oskarżeń.

Staram się powstrzymać śmiech. Zamiast myśleć o absurdalności tej sytuacji, o tym, że najwyraźniej nie nadaję się nawet na telemarketerkę, skupiam się na słowie „klienci”, użytym przez pana Palmera. Nie sądzę, by ludzie, których na co dzień nękamy, uważali siebie za naszych klientów.

Już prędzej za ofiary. A przez to, co zrobił mój ojciec, z łatwością wywołuję w ludziach obawę, że staną się rzeczywistymi ofiarami.

Wytracony z równowagi i zaczerwieniony pan Palmer oddala się od mojego biurka i zaczyna przechadzać między rzędami. Prosi Marie, żeby przestała żuć gumę, i błaga Tony'ego, żeby powstrzymał się przed rozsmarowaniem tłuszczu z hamburgera po całej klawiaturze. Gdy już znajdzie się w bezpiecznej odległości ode mnie, znowu odpalam Smooth Passages. W prostych słowach, jest to strona internetowa dla ludzi, którzy chcą umrzeć. Istnieją setki takich witryn. Czasami bardziej wyszukanych, czasami bardziej niszowych, dla osób preferujących konkretny sposób odejścia, powiedzmy, śmierć przez uduszenie. Są też strony dla konkretnego typu osób, na przykład kontuzjowanych sportowców

w depresji. Wciąż nie znalazłam takiej, która byłaby przeznaczona dla niechcianych córek psychotycznych przestępców, więc na razie Smooth Passages jest dla mnie dobrym miejscem.

Witryna jest prosta. Żadnych efekciarskich czy kiczowatych sztuczek w HTML-u. Jest czarno-biała. Z klasą. To znaczy, jeśli strona internetowa poświęcona samobójstwu w ogóle może mieć klasę. Są tu fora dyskusyjne, gdzie zaglądam najczęściej. Ostatnio naprawdę zainteresowałam się grupą Partnerzy do Samobójstwa.

Problem z samobójstwem, z czego większość osób nie zdaje sobie sprawy, polega na tym, że naprawdę trudno jest je popełnić. Wiem, wiem. Ludzie wiecznie gadają, że samobójstwo to tchórzostwo. I tak chyba jest. W tym sensie, że człowiek się poddaje, rezygnuje. Ucieka od czarnej dziury, jaką jest jego przyszłość, nie dopuszcza do

tego, by wyrosnąć na kogoś, kim absolutnie nie chciałby się stać. Ale tchórzliwość tego aktu wcale nie gwarantuje, że będzie on prosty. Problem polega na tym, że obawiam się, iż mój instynkt przetrwania jest zbyt rozwinięty. Zupełnie jakby mój pogrążony w depresji umysł i tętniące życiem ciało toczyły nieustanną walkę. Martwię się, że w ostatniej chwili moje ciało wygra jakimś impulsywnym szarpnięciem i skończy się na tym, że przerwę w połowie to, co zamierzam zrobić. Nic nie przeraża mnie bardziej niż nieudana próba. Ostatnia rzecz, jakiej pragnę, to skończyć na wózku inwalidzkim, jeść papkę i być pilnowaną przez całą dobę przez jakąś opryskliwą pielęgniarkę, która nie kryje się ze swoją obsesją na punkcie kiczowatych reality show. I właśnie dlatego ostatnio przeglądam sekcję Partnerzy do Samobójstwa.

Działa to chyba tak, że znajdujesz jakąś inną ofiarę losu, która mieszka stosunkowo niedaleko, i czynisz ostateczne plany razem z nią. Z tego, co się orientuję, takie samobójstwo pod naciskiem grupy rówieśniczej jest cholernie skuteczne. Piszę się na to.

Przeoglądam posty. Żaden z ogłoszeniodawców nie wydaje mi się odpowiedni. Albo mieszkają zdecydowanie za daleko (dlaczego tak wielu ludzi w Kalifornii ma ochotę strzelić sobie w łeb? Czy życie nad oceanem nie powinno dawać szczęścia?), albo należą do nieodpowiedniej grupy demograficznej (naprawdę nie chcę się wplątywać w czyjeś kłopoty małżeńskie – zestresowane matki dowożące dzieci na kolejne treningi sportowe to nie dla mnie). Rozważam zamieszczenie własnego ogłoszenia, ale nie jestem pewna, co miałabym w nim napisać. Poza tym nie ma nic

smutniejszego, niż wyjść innym naprzeciw w poszukiwaniu partnera i zostać odrzuconym. Zerkam przez ramię i widzę, że pan Palmer jest kilka rzędów dalej. Masuje ramiona Tinie Bart. Zawsze masuje ramiona Tinie Bart. Może jednak nie jest tak szczęśliwy z panią Palmer, jak myślałam?

Pan Palmer przyłapuje mnie na tym, że się na niego gapię, i kręci głową. Robię jak najśłodszą minę, podnoszę słuchawkę i wybieram następny numer w moim rejestrze: Samuel Porter, zamieszkały przy Galveston Lane. Podczas gdy wsłuchuję się w sygnał, mój komputer nagle wydaje głośne bipnięcie. Cholera, zawsze zapominam o wyłączeniu dźwięku. Laura, pani w średnim wieku, która pracuje obok mnie i używa szminki zbyt jaskrawej w stosunku do swojej poźółkłej

cery, spogląda na mnie, unosząc brew. Wzruszam ramionami.

– Chyba oprogramowanie się aktualizuje – mówię bezgłośnie.

Laura przewraca oczami. Najwyraźniej jest chodzącym wykrywaczem bzdur.

Pan Samuel Porter nie odbiera telefonu. Najwidoczniej nie tęskni za pićm piña colady. Odkładam słuchawkę i klikam z powrotem stronę Smooth Passages. Wygląda na to, że dźwięk zwiastował pojawienie się nowej wiadomości na forum Partnerzy do Samobójstwa. Jest zatytułowana „7 kwietnia”. Otwieram ją:

Przyznam, że wcześniej uważałem, że to głupie. O to właśnie chodzi w samobójstwie, żeby móc być samemu na zawsze. Nigdy więc nie rozumiałem, dlaczego miałbym chcieć zrobić to w towarzystwie kogoś

innego. Ale teraz to się zmieniło. Denerwuję się, że stchórzę w ostatniej chwili czy coś. Są też inne powody, ale wolałbym się nad nimi tutaj nie rozwodzić.

Mam tylko kilka wymogów. Po pierwsze, nie chcę tego zrobić z kimś, kto ma dzieci. Takie gówno to dla mnie zbyt ciężki kaliber. Po drugie, nie możesz mieszkać dalej niż godzinę drogi ode mnie. Wiem, że to może być trudne, bo mieszkam na zadupiu, ale na razie będę się tego trzymał. I po trzecie, musimy to zrobić 7 kwietnia. Ta data nie podlega negocjacji. Napisz do mnie, jeśli chcesz wiedzieć więcej.

FrozenRobot

Sprawdzam statystyki FrozenRobota i staram się nie osądzać jego nazwy użytkownika. Ale FrozenRobot? Serio? Rozumiem, że wszyscy na tym forum działają odrobinę... no dobra, działają całkowicie pod wpływem emocji. Mimo wszystko... Ludzie, miejcie trochę godności.

FrozenRobot to najwyraźniej chłopak. Ma siedemnaście lat, a więc jest tylko rok starszy ode mnie. W porządku. Och... i mieszka w Willis w stanie Kentucky, czyli jakieś piętnaście minut drogi ode mnie. Dreszcz przenika mnie do szpiku kości i przypominam sobie, że tak właśnie wygląda ekscytacja. FrozenRobot ma idealne wycucie czasu. Możliwe, że po raz pierwszy w życiu mi się poszczęściło. Wszechświat najwyraźniej daje mi znak: jeśli masz szczęście tylko wtedy, gdy planujesz samobójstwo, to zdecydowanie najwyzsza pora, aby odejść.

Raz jeszcze czytam wiadomość – 7 kwietnia mi odpowiada. Dziś mamy 12 marca. Wytrzymam jeszcze z miesiąc, chociaż ostatnio każdy dzień zdaje się trwać wieczność.

– Aysel – słyszę głos pana Palmera.

– Co takiego? – pytam, ledwie zwracając na niego uwagę.

Podchodzi i staje za mną, po czym stuka w monitor mojego komputera. Próbuje zminimalizować okno.

– Słuchaj, nie obchodzi mnie, co robisz w wolnym czasie, ale nie zajmuj się tym w pracy. Rozumiesz? – Jego głos opada jak siedzisko starej kanapy.

Byłoby mi żal pana Palmera, gdybym całej swojej litości nie skupiła na sobie. Zaryzykuję przypuszczenie, że pan Palmer nie zna strony Smooth Passages. Pewnie myśli, że oglądam jakiś portal

dla fanów heavy metalu czy coś. Nie ma pojęcia, że wolę muzykę miękką i instrumentalną. Czy rodzice nie nauczyli go, by nie kierował się w życiu stereotypami? Fakt, że jestem szesnastolatką, która ciągle chodzi w ciemnych koszulach w paski i nosi niesforną burzę kręconych włosów, nie oznacza, że nie potrafię docenić przyzwoitego solo na skrzypcach czy spokojnego koncertu fortepianowego.

Pan Palmer oddala się, a ja słyszę, jak Laura prychnęła.

– O co chodzi? – pytam ją.

– Nie masz internetu w domu? – Patrzy na mnie, marszcząc brwi. Sączy kawę, którą dostajemy tutaj za darmo, a brzeg jej plastikowego kubka jest poplamiony tą fatalną jagodową szminką.

– Nie masz kawy w domu? – odbijam piłeczkę.

Laura wzrusza ramionami. Wydaje mi się, że na znak, że rozmowa skończona, ale właśnie wtedy dodaje:

– Praca to nie miejsce na umawianie randek. Rób to w wolnym czasie. Wpędzisz nas wszystkich w kłopoty.

– Jasne.

Spoglądam na klawiaturę. Nie ma sensu tłumaczyć Laurze, że nie szukam chłopaka, a w każdym razie nie takiego chłopaka. Wpatruję się w okruszki serowych krakersów tkwiące w przestrzeni między klawiszami F i G. Właśnie wtedy podejmuję decyzję: odpiszę FrozenRobotowi. Umówimy się na randkę: 7 kwietnia.

środa, 13 marca

25 dni do końca



Jedyny przedmiot, który naprawdę lubię, to fizyka. Nie jestem żadnym geniuszem, ale uważam, że tylko na tych zajęciach mam szansę znaleźć odpowiedzi na swoje pytania. Od dziecka fascynowało mnie, jak działają różne rzeczy. Rozkładałam zabawki na czynniki pierwsze, przyglądając się, jak wszystkie te małe elementy są do siebie dopasowane (moja przyrodnia siostra

Georgia nigdy nie wybaczyła mi tego, że przeprowadziłam autopsję na jej Barbie). Kiedyś rozmontowałam budzik ojca. Znalazł mnie siedzącą na spłowiałym beżowym dywanie z bateriami walającymi się wokół trampek. „Co robisz?” – zapytał. „Psuję to, żebym mogła się nauczyć, jak to naprawić”. Położył dłoń na moim ramieniu – pamiętam jego dłonie, duże, o długich, grubych palcach, które sprawiają, że jednocześnie się boisz i czujesz się bezpieczny – i powiedział: „Wiesz, Zellie, na świecie jest wystarczająco dużo zepsutych rzeczy. Nie powinnaś chodzić i psuć ich tylko dla zabawy”. Budzik pozostał rozmontowany przez lata, aż w końcu go wyrzuciłam.

W każdym razie fizyka przynajmniej wydaje mi się użyteczna. W przeciwieństwie do lekcji angielskiego, na których czytamy wiersze napisane przez poetów pogrążonych w depresji. To nie jest zbyt

pomocne. Moja nauczycielka, pani Marks, robi wiele szumu wokół prób rozszyfrowania, co ci poeci mieli na myśli. Z mojego punktu widzenia to całkiem oczywiste: mam depresję i chcę umrzeć. Obserwowanie, jak wszyscy moi koledzy i koleżanki z klasy próbują zdekonstruować każdy wers w poszukiwaniu głębszego znaczenia, jest dla mnie bolesne. Tam nie kryje się żadne głębsze znaczenie. Każdy, kto kiedykolwiek był aż tak smutny, może wam powiedzieć, że w depresji nie ma niczego pięknego ani literackiego, ani tajemniczo głębokiego. Depresja jest jak ciężar, spod którego nie można się wydostać. Przygniata, sprawiając, że nawet takie drobiazgi, jak zawiązanie butów czy przeżucie tostu, przypominają dwudziestomilową wspinaczkę pod górę. Depresja jest częścią ciebie; przenika twoje kości i krew. Jeśli cokolwiek o niej wiem, to na pewno to, że nie da się przed nią uciec.

A jestem przekonana, że wiem na temat depresji znacznie więcej niż którekolwiek z nich. Kiedy słucham, jak o niej rozmawiają, ciarki mnie przechodzą. Zatem dla mnie lekcje angielskiego są jak obserwowanie grupy ślepych wiewiórek próbujących znaleźć orzeszek. Pani Marks mówi: „Przyjrzyjmy się temu wersowi. Poeta John Berryman pisze: «Życie, moi przyjaciele, jest nudne». Jak sądzicie, co chciał przez to powiedzieć?”. Moi koledzy i koleżanki przekrzykują się, rzucając absurdalne komentarze typu: „Nie miał z kim spędzić sobotniego wieczoru” albo „Skończył się sezon futbolowy, więc w telewizji nie leciało nic dobrego”. Ostatkiem sił powstrzymuję się, żeby nie wstać i nie krzyknąć: „Był, kurwa, smutny! I tyle! O to chodzi w tym wierszu! Poeta wie, że jego życie nigdy się nie zmieni. Że nie da się go naprawić. Że zawsze będzie wiódł taką samą

monotonną, gównianą egzystencję. Nudną i smutną, nudną i smutną. Dlatego po prostu chce, żeby to wszystko już się skończyło”. Ale zrobienie czegoś takiego oznaczałoby, że musiałabym się odezwać w trakcie lekcji, a tym samym pogwałciłabym jedną z moich osobistych zasad. Nie biorę udziału w dyskusjach. Dlaczego? Bo jestem, kurwa, smutna. Pani Marks czasami obdarza mnie takim spojrzeniem, jakby wiedziała, że ja wiem, co John Berryman miał na myśli, ale nigdy nie wzywa mnie do odpowiedzi.

Za to na fizyce moi koledzy i koleżanki z klasy nie próbują desperacko komplikować nieskomplikowanego gówna. Nie, na fizyce wszyscy próbujemy sprawić, by skomplikowane rzeczy stały się bardziej zrozumiałe. Pan Scott wypisuje równanie na tablicy. Uczymy się o rzucie ukośnym. Badamy właściwości obiektu w ruchu,

będącego wyłącznie pod wpływem grawitacji. Dochodzą wszystkie te zmienne, na przykład kąt, pod jakim obiekt zostaje wystrzelony, i początkowa prędkość.

Patrzę szklistym wzrokiem. Za dużo liczb. Zaczynam fantazjować o grawitacji. Czasami zastanawiam się wręcz, czy to grawitacja nie jest naszym największym problemem. Trzyma nas przy ziemi, daje to fałszywe poczucie stabilności, chociaż w rzeczywistości jesteśmy tylko ciałami w ruchu. Powstrzymuje nas przed uleceniem w kosmos, przed mimowolnym zderzeniem się ze sobą. Bez niej ludzka rasa zmieniłaby się w jeden wielki bajzel. Ale ja chciałabym, żeby grawitacja po prostu zniknęła i pozwoliła nam żyć w tym bajzlu. Niestety nie jest to właściwa odpowiedź na pytanie, które zadaje pan Scott.

– Aysel, czy możesz mi podać maksymalną wysokość, na jaką wzniesie się piłka?

Nawet nie wiedziałam, że obiekt, który omawiamy, to piłka. Patrzę tępo na nauczyciela.

– Aysel – powtarza pan Scott. Wymawia moje imię z akcentem, którego prawdopodobnie nauczył się miliard lat temu, kiedy sam uczył się hiszpańskiego w liceum. Problem polega na tym, że Aysel nie jest imieniem latynoskim, ale tureckim. Wydawałoby się, że pan Scott powinien już dodać dwa do dwóch.

– Yyy – mamroczę.

– Yyy? Panno Seran, „yyy” to nie jest odpowiedź numeryczna.

Pan Scott opiera się o ścieralną tablicę. Klasa wybuchła śmiechem. Pan Scott odchrząkuje, ale daremnie. Już stracił kontrolę. Słyszę, jak szeptem obrzucają mnie obelgami, ale wszystko to brzmi

jak syki i mamrotanie i w żadnym razie nie może być gorsze od rzeczy, które wyobrażam sobie nocami, leżąc w łóżku i zastanawiając się, czy wyrwanie z ciała własnych genów jest fizycznie możliwe. Rozlega się dzwonek. Pan Scott zaczyna grzebać w swoich papierach, żeby zadać nam pracę domową. Niemal wszyscy wychodzą z sali, zanim zdąży zapisać zadanie na tablicy. Ja zostaję na miejscu i uważnie przepisuję je do zeszytu. Pan Scott obdarza mnie smutnym uśmiechem i zastanawiam się, czy za mną zatęskni, kiedy już mnie nie będzie.

Czekam, aż sala się opróżni, po czym wstaję i wychodzę. Idę korytarzem, wlepiając wzrok w brudną, wyłożoną płytkami podłogę. Zmuszam się, żeby przyspieszyć. Jedyna rzecz gorsza od chodzenia na wuef, to spóźnienie się na wuef – naprawdę nie jestem w nastroju, żeby zaliczać

karne okrażenia. Trener Summers wiecznie powtarza, że bieganie wzmocni nasze serca, żebyśmy mogli żyć dłużej. Dziękuję, postoję.

Tę część dnia lubię najmniej. I nie dlatego że spodziewam się horroru w postaci przysiadów i gry w dwa ognie. Nie. Nienawidzę jej, bo muszę przejść koło tablicy pamiątkowej – monolitowego świadectwa zbrodni mojego ojca.

Za każdym razem staram się nie patrzeć, powtarzam sobie, żeby spuścić głowę i skręcić za róg. Ale nie mogę się powstrzymać. Podnoszę wzrok i patrzę. Czuję, jak oddech więźnie mi w gardle. Oto jest, lśniąca srebrna płyta dedykowana pamięci Timothy’ego Jacksona, byłego mistrza stanowego w biegu na czterysta metrów. Tablica jest rozmiarów dużego półmiska i wisi na ścianie tuż przed salą gimnastyczną, przypominając każdemu, że Timothy Jackson miał być pierwszym

mieszkańcem Langston, który zakwalifikuje się do igrzysk olimpijskich, ale zmarł tragicznie w wieku lat osiemnastu. Tabliczka nie informuje, ale równie dobrze mogłaby, że Timothy Jackson nie żyje przez mojego ojca. Owszem, to mój ojciec jest tym wybitnym osobnikiem, który przekreślił olimpijskie marzenia całego miasteczka. Każdego roku w dzień urodzin Timothy'ego w telewizji emitowane jest specjalne wydanie wiadomości, aby przypadkiem nikt o tym nie zapomniał. Minęły trzy lata od śmierci Timothy'ego i, wierzcie mi, nie wygląda na to, żeby ktokolwiek miał zapomnieć o tej sprawie. Zwłaszcza teraz, kiedy Brian Jackson ma szansę zakwalifikować się do olimpijskiego biegu na czterysta metrów. Tak, chodzi dokładnie o tę samą konkurencję. Brian próbuje spełnić marzenie, którego nie był w stanie zrealizować jego starszy brat – lokalne media

wprost nie mogą się nasycić tą historią, korytarze mojej szkoły też nie.

Zmuszam się, żeby minąć tablicę, i wchodzę na salę gimnastyczną, zaciskając dłonie w pięści i trzymając je przy bokach. Słońce odbija się od wypolerowanej drewnianej posadzki, a ja zastanawiam się, co moi koledzy i koleżanki zrobią z całą tą swoją nienawiścią i całym tym swoim gniewem, i strachem, gdy już nie będą mogli wyładować ich na mnie. Już nie mogę się doczekać, gdy mnie tu nie będzie.

środa, 13 marca

25 dni do końca



Kiedy wracam ze szkoły do domu, widzę, że mama siedzi przy kuchennym stole. Nasza kuchnia jest wąska i malutka, gdybym wyciągnęła ręce, mogłabym dotknąć wnętrzami dłoni obu pomalowanych na miętowo ścian. Mama z głową pochyloną w skupieniu przegląda rachunki, ale gdy słyszy, jak wchodzę, odwraca się, by na mnie spojrzeć. I oto jest. Ten sam wyraz twarzy, z jakim witała

mnie przez ostatnie trzy lata. Coś między skrzywieniem ust a zmarszczeniem brwi.

Wcześniej spędzałam zwykłe dni tygodnia z ojcem, a weekendy – z mamą. Ale po tym, jak ojciec trafił do więzienia, mama nie miała wyjścia i musiała mi pozwolić, żebym zamieszkała z nią i Steve'em. Zanim ojciec dopuścił się tej zbrodni, matka patrzyła na mnie z mieszaniną miłości i tęsknoty, jakbym była lustrem, które ukazywało jej przeszłość, słodko-gorzkie wspomnienia. Jej ciemne migdałowe oczy zachodziły mgłą, pochylała głowę nieco do przodu, a proste jasnobrązowe włosy opadały jej na szczupłe ramiona. Ścisnęła moje dłonie, jakby myśląc, że jeśli chwyci mnie wystarczająco mocno, przeniosę ją do czasów jej młodości. Zupełnie jakbym była siniakiem, który nie znika. Nie bolesnym, ale delikatnym, złożonym z melancholijnych wspomnień.

Nie przeszkadzało mi to. Po cichu delektowałam się tym, że jestem wehikułem przenoszącym ją w przeszłość, że łączę ją z Turcją i z moim ojcem, i z jej młodością. Ale to zmieniło się trzy lata temu. Wszystko się wtedy zmieniło. Teraz mieszkam z nią, Steve'em, Georgią i Mikiem. Nigdy by się do tego nie przyznała, ale jestem intruzem w ich szczęśliwym domu. Plagą. Z siniaka zmieniłam się w otwartą, jątrzącą się ranę. Ewolucja nie zawsze jest czymś pozytywnym.

– Wcześniej wróciłaś – mówi w końcu.

Z każdym dniem jej akcent staje się coraz mniej turecki i coraz bardziej południowy. Właściwie „południowy” to złe słowo. Ludzie w Kentucky nie mają południowego akcentu. Mają akcent w stylu bluegrass. Jest zdecydowanie mniej czarujący niż południowy. Bardziej przypomina pułkownika

Sandersa niż *Przeminęło z wiatrem*. Bardzo się napracowałam, żeby sobie takiego nie wyrobić. Ale teraz zastanawiam się – skoro nigdy nie skończę siedemnastego roku życia – czy doprowadzanie do perfekcji sztuki mówienia normalnie w ogóle miało sens.

– Nie muszę dziś pracować.

Nie wspominam, że nie kazano mi przychodzić, bo wprowadzałabym klientów „w zakłopotanie”. Pan Palmer jest prawdziwym królem eufemizmów. On i moja matka prawdopodobnie świetnie by się dogadali, zwłaszcza że moja matka mówi o tym, co się stało z moim ojcem, jako o „niefortunnym incydencie”. A w każdym razie wcześniej tak o nim mówiła, bo ostatnio zaczęła udawać, że to nigdy się nie wydarzyło. Zupełnie jakby niemówienie o czymś mogło sprawić, że to coś zniknie. Niespodzianka: nie zniknie.

Georgia wkracza do kuchni. Rzuci pompony na podrapany drewniany stół. Włosy w kolorze miodu ma upięte w wysoki kucyk.

– Będiesz dziś wieczorem na meczu, prawda?

Pyta mamę, nie mnie. Ja jestem niewidzialna. Georgia to moja przyrodnia siostra. Mamy tę samą mamę, ale nie odgadlibyście tego po naszym wyglądzie.

– Postaram się – mówi mama. Tłumaczenie: prędzej piekło zamarznie, niż mama przegapi okazję, żeby popatrzeć, jak Georgia dopinguje drużynę koszykówki z liceum w Langston.

Georgia jest dopiero w pierwszej klasie, ale już dostała się do głównego składu. Najwyraźniej to wielka sprawa. Chociaż wydaje mi się, że w przeciwieństwie do innych sportów, gdzie różnica między pierwszym a drugim składem wynika

z umiejętności, u czirliderek bierze się ona z rozmiaru miseczki.

– To decydujący mecz – przypomina jej Georgia. Mówi to spokojnym głosem, głosem kogoś, kto jest przyzwyczajony do tego, że ma kontrolę nad sytuacją, że zawsze dostaje to, czego chce.

Georgia jest w tym dobra. Zawsze była intrygantką. Kiedy rozpętała się ta afera z moim ojcem, jej też dotknęła, ale jakimś cudem udało jej się obrócić ją na swoją korzyść. Pamiętam, jak któregoś dnia, kilka miesięcy po tym, jak ojciec został oficjalnie skazany i zamknięty, zobaczyłam Georgię rozmawiającą z chłopakiem na korytarzu. Schowałam się za rogiem, żeby podsłuchać, o czym mówią. Byłam gotowa zainterweniować, gdyby potrzebowała mojej pomocy, ale właściwie Georgia nigdy tego nie potrzebowała.

– Taa – odpowiedziała Georgia na pytanie, którego nie dosłyszałam. Nerwowo bawiła się naszyjnikiem z muszelką, który podarowałam jej na urodziny dwa lata temu. – Aysel to moja siostra, ale on nie jest moim ojcem.

– Ale spotkałaś go kiedykolwiek? – zapytał chłopak zżerany ciekawością.

Patrzyłam na tył jego głowy, na kępki jasnych włosów w kolorze kukurydzy i dotarło do mnie, że to Todd Robertson, chłopak z mojej klasy. Wszyscy uważali, że przypomina głównego aktora z tego popularnego romantycznego filmu o wampirach. Georgia była wtedy w szóstej klasie, ale sądząc po tym, z jakim rozmarzeniem wpatrywała się w Todda, odgadłam, że dokładnie wie, kim on jest. Teraz marszczyła nosek, rozważając jego pytanie.

– Tak, kilka razy.

– Serio? – naciskał Todd najwyraźniej w nadziei, że Georgia sprzeda mu jakąś sensacyjną historię.

– No pewnie – potwierdziła. – Praktycznie był członkiem rodziny.

Todd pochylił się w jej stronę.

– Mogę ci opowiedzieć kilka zwariowanych historii, jeśli chcesz – obiecała flirciarskim tonem.

Pamiętam, że byłam na nią wściekła za to, że jest gotowa prehandlować nasze rodzinne sekrety w zamian za popularność, ale w końcu nauczyłam się tym nie przejmować. Georgia pozostanie Georgią, wiem, czego mogę się po niej spodziewać. Zresztą nie można winić kogoś za to, że próbuje przetrwać.

To samo można powiedzieć o moich byłych przyjaciółkach. Nie, żebym kiedykolwiek miała ich wiele, ale te, które miałam, rozpierzchły się

szybko, gdy tylko wieść o zbrodni mojego ojca rozniosła się po szkolnych korytarzach. Chociaż muszę przyznać, że niektóre próbowaly trwać u mego boku. Zwłaszcza Anna Stevens, moja była najlepsza przyjaciółka. Kiedy to wszystko się wydarzyło, Anna robiła co w jej mocy, żeby mnie pocieszyć, ale ją odepchnęłam. Wiedziałam, że lepiej dla niej będzie, jeśli odetnie się ode mnie, nawet jeżeli ona tak nie uważała. Lubię myśleć, że w ostatecznym rozrachunku oddałam jej przysługę.

Georgia okrążyła kuchenny stół, kołysząc biodrami, i siada na wolnym krześle.

– Myślę, że naprawdę mamy szansę wygrać dziś wieczorem. To może być historyczne zwycięstwo. Musisz przyjść, mamo!

Na dłuższą chwilę w kuchni zapada milczenie. W końcu mama nabiera powietrza w płuca i mówi:

– Może pójdziesz ze mną?

Odwracam się, święcie przekonana, że Mike, mój młodszy przyrodni brat, musiał właśnie wejść do kuchni, chociaż takie skradanie się nie jest w jego stylu. Zawsze kozłuje piłką do koszykówki w domu, chociaż mama wielokrotnie prosiła, by tego nie robił. Mnie to jakoś nie przeszkadza.

– Do mnie mówisz? – pytam z całkowitą powagą.

Georgia milczy, ale widzę, że wykrzywia twarz, jakby właśnie napiła się zepsutego mleka prosto z kartonu. Nigdy nie obraziłaby mnie w obecności mamy, ale wyraźnie sygnalizuje mi, że nie chce, abym przychodziła. Jestem mistrzynią w przyniesieniu innym wstydu.

– Owszem, do ciebie – mówi mama, a ja wyczuwam w jej głosie drżenie. Czasami jestem pewna, że nawet matka się mnie boi.

– Dzięki za zaproszenie, ale mam dużo pracy domowej – podchodzę do szafki i biorę z niej wieloziarnisty batonik z kawałkami czekolady.

To dziwne, wiem. Ale czasami bywam głodna jak wilk. Zupełnie jakbym chciała jedzeniem wypełnić tę pustkę, która jest we mnie. Są też dni, kiedy ledwie potrafię się zmusić do skubnięcia tostów. Lecz nawet jeśli dziś mam apetyt, biorę batonik głównie na pokaz. Nie chcę dawać mamie więcej powodów do martwienia się o mnie. Wiem, że przygląda mi się badawczo, szukając objawów świadczących o wątpliwym stanie zdrowia psychicznego. I robię, co mogę, żeby to wszystko przed nią ukryć. Nie chcę, żeby czuła się winna i zadreżczała się myślami, że mogła jakoś temu zapobiec, kiedy mnie już nie będzie.

– Powodzenia wieczorem. – Macham do Georgii z udawaną serdecznością i ruszam na górę do

mojego pokoju. Cóż... do naszego pokoju. Ale skoro Georgia ma dziś występ, wieczorem pokój będzie cały mój.

Kiedy wchodzę do środka, od razu kładę się do łóżka. Naciągam ciemnoszarą kołdrę na głowę i udaję, że jestem pośrodku oceanu. Fale rozbijają się o moje ciało, moje płuca wypełnia woda, robi mi się ciemno przed oczami. Próbuję sobie wyobrazić, jak moja energia potencjalna zmienia się w energię kinetyczną, a potem w nicość. Nucę *Requiem* Mozarta i zastanawiam się, jakie to będzie uczucie, kiedy wszystkie światła zgasną i wszystko ucichnie na zawsze. Nie wiem, czy to będzie bolało, czy w tych ostatnich chwilach będę przerażona, ale mogę mieć tylko nadzieję, że to szybko się skończy. Że poczuję spokój. Na zawsze. „7 kwietnia” – myślę sobie. To już niedługo.

Czasami jestem przekonana, że fakt, iż wciąż znajduję pocieszenie w muzyce klasycznej, chociaż to mój ojciec nauczył mnie jej słuchać, świadczy o moim szaleństwie. Uwielbiał ją. Bacha, Mozarta, wszystko. Sfatygowane kasety z nagraniami to były jedne z niewielu rzeczy, jakie przywiózł ze sobą do Ameryki. Kiedy byłam młodsza, wrzucał jakąś do starego przenośnego magnetofonu, który trzymał na ladzie w swoim sklepie spożywczym, i opowiadał mi historie ze swojego dzieciństwa. Mówił o tym, jak grywał w szachy z ojcem na gładkiej planszy wykonanej z alabastru albo jak mierzył ludziom stopy w sklepie obuwniczym prowadzonym przez wujka. Podczas gdy on opowiadał, ja tańczyłam, poruszając się niezgrabnie w takt wznoszących się i opadających dźwięków. Któregoś dnia w końcu zmusił mnie, abym usiadła. „Naprawdę się wsłuchaj, Aysel –

powiedział z naciskiem. Ciemne oczy miał szeroko otwarte i skupione. – W tej muzyce znajdziesz wszystkie odpowiedzi. Słyszysz je?” Słuchałam więc i słuchałam. Nadstawiałam uszu, próbując zapamiętać każdą nutę. Nigdy tak naprawdę nie usłyszałam żadnej odpowiedzi, ale kiwałam głową, jakbym słyszała. Nie chciałam, żeby tata się pogiewał i wyłączył muzykę albo zamknął się w swojej sypialni na wiele godzin, jak to czasami robił. Z moim tatą zawsze trzeba było postępować ostrożnie, jakby się chodziło po oblodzonym chodniku. Ślizganie się po nim było świetną zabawą, ale bardzo łatwo można się było przewrócić.

Mocno zaciskam powieki i odpędzam od siebie to wspomnienie. Przewracam się w łóżku, nucąc *Requiem* raz za razem, i słyszę w tych nutach tylko jedną odpowiedź: 7 kwietnia.

Ściany naszego starego domu o drewnianej konstrukcji są cienkie i słyszę, jak mama i Georgia krzątają się po kuchni. Wyobrażam sobie, że się obejmują. Georgia oplata ramionami cienką talię mamy, a mama przeczesuje palcami jej lśniące, upięte w kucyk włosy. Pasują do siebie idealnie, za-
zębają się, tak jak matki z córkami powinny. Pasują do siebie w sposób, w jaki ja nigdy nie pasowałam. Zęby w moim kole zawsze były za ostre, wręby za głębokie. Właśnie to powinni wypisać na moim nagrobku: „Aysel Leyla Seran, dziewczyna, która nigdy nie pasowała”. A skoro nigdy nie pasowałam, zarówno zanim mojemu tacie odbiło, jak i później, mojej mamie będzie się żyło znacznie lepiej beze mnie. Kiedy już odejdę, nie będzie musiała sobie przypominać o moim ojcu za każdym razem, gdy zobaczy mój kanciasty nos, kręcone czarne włosy, okrągłe policzki czy

dołączki w nich. Wiem, że to te dołączki najbardziej jej doskwierają. Na szczęście są tak naprawdę widoczne tylko, gdy się uśmiecham, a ostatnimi czasy nie robię tego za często.

Kiedy mnie już nie będzie, moja mama nie będzie musiała spędzać nocy na zamartwianiu się, czy ojciec nie przekazał mi swojego genu mordercy i lada dzień nie wysadzę szkoły w powietrze, czy coś w tym stylu. Wiem, że nie byłaby w stanie znowu przez to przejść – policja, media, plotki. Wiem też, że nie chce o tym myśleć, ale widzę, że w głębi serca walczy z tym strachem i wątpliwościami. Widzę, jak zerka na mnie dyskretnie, zadaje mi ostrożne, badawcze pytania – to dla niej jedyny sposób na ustalenie, jak bardzo jestem nienormalna.

Chciałabym powiedzieć, że wiem na pewno, iż jestem inna niż ojciec. Że moje serce bije w innym

rytmie, krew pulsuje z inną prędkością. Ale nie jestem przekonana. Może smutek poprzedza obłąd? Może on i ja dzielimy tę samą energię potencjalną?

Wiem na pewno tylko jedno: że nie zamierzam zostać tu na tyle długo, aby przekonać się, czy zmienię się w potwora jak on. Nie mogę tego zrobić mojej mamie. Nie mogę tego zrobić światu.

środa, 13 marca

25 dni do końca



Jedynym plusem czirliderskich popisów Georgii jest to, że od czasu do czasu mam dom tylko dla siebie, co oznacza, że mogę do woli używać komputera. Normalnie nie wolno mi tego robić, w każdym razie nie bez niechcianych świadków. W naszym domu jest tylko jeden komputer, pochodzący prawdopodobnie z epoki lodowcowej. Działa wolniej od żółwia, a klawiatura jest lepka

od owocowego ponczu, który wylał na nią Mike. Chociaż mama myśli, że Steve jest mężczyzną jej marzeń – zamożnym, odnoszącym sukcesy uczciwym biznesmenem – prawda jest taka, że Steve pracuje przy taśmie produkcyjnej w fabryce Sparkle’a.

Sparkle, producent kiepskiej pasty do zębów i płynu do płukania ust, generalnie zapewnia zatrudnienie większości mieszkańców Langston. Owszem, Steve uczciwie zarabia na życie i na razie udało mu się nie wylądować w więzieniu, czego nie da się powiedzieć o moim ojcu, ale to nie znaczy, że stać go na to, by kupić nam wszystkim laptopy, więc musimy korzystać z tego gruchota. Lecz dziś wieczorem ten gruchot jest cały mój.

Loguję się na portalu Smooth Passages. Sama strona główna ładuje się z dziesięć minut – Steve

nie zamierza płacić za szerokopasmowe łącze. Gdy w końcu udaje mi się zalogować, widzę, że dostałam wiadomość od FrozenRobota:

Jeśli naprawdę traktujesz sprawę poważnie, powinniśmy ustalić czas i miejsce spotkania. Ale musisz być rzeczywiście zdecydowana. Nie chcę, żeby zwracała mi głowę niepoważna osoba.

Roman

Nie mogę uwierzyć, że ktoś, kto kryje się za nickiem FrozenRobot, podejrzewa mnie o bycie niepoważną. Za to jego prawdziwe imię brzmi dość posepnie. Odpisuję mu bez drwiny:

Jestem śmiertelnie poważna. Nie no, na serio. Jestem zdecydowana. Jak pisałam,

pochodzę z Langston. Gdzie chcesz się spotkać?

Zostaję na portalu odrobinę dłużej. Według informacji zamieszczonej na forum Partnerzy do Samobójstwa ElmoRains i TBaker14155 zdecydowali się na wiadomy krok. Nie wiem, w jaki sposób użytkownik SovietSummer231 zdobył tę informację, ale mam nadzieję, że FrozenRobot i ja odniesiemy podobny sukces. Wstrząsa mną dreszcz i z trudem przełykam ślinę. Boże, to wszystko jest takie pokręcone.

Wlepiam wzrok w sufit. Zastanawiam się, czy odważyłabym się powiesić. Gdybym zebrała się na odwagę, nie musiałabym szukać pomocy na Smooth Passages.

Komputer wydaje dźwięk podobny do dzwonka do drzwi. Pochyliłam się nad monitorem i widzę, że FrozenRobot mi odpowiedział. Wygląda na to, że

on też nie ogląda żadnych meczów barażowych.
Otwieram wiadomość:

Może jutro o 17:30? Możemy się spotkać przy barze z piwem imbirowym na poboczu drogi stanowej nr 36. Wiesz, gdzie to jest? To powinno być blisko ciebie. Włożę czerwoną czapkę, żebyś mnie rozpoznała.

Roman

Jestem trochę zaniepokojona, że FrozenRobot alias Roman chce się spotkać w tak publicznym miejscu. Chyba to oznacza, że nie jest seryjnym mordercą ani gwałcicielem czy kimś podobnym. Ale czy byłoby tak źle, gdyby się nim okazał? Przynajmniej szybko miałabym to z głowy. Chyba że kręciłyby go tortury. To nie byłoby dobre. Nie chcę umierać długo. Chcę błyskawicznej śmierci. Takim już jestem tchórzem.

Odpisuję mu, że godzina i miejsce mi pasują. Kończę pracę o siedemnastej, więc po prostu skłamię mamie, że muszę posiedzieć w firmie do późna. To będzie łatwe. Nie za bardzo podoba mi się lokalizacja, którą wybrał FrozenRobot, ale nie chcę zaczynać naszej znajomości od marudzenia. To miejsce jest popularne wśród dzieciaków takich jak moja siostra. Po meczach robi się tam straszny tłok. Czirliderki dzielą się napojami z pływającą w nich gałką lodów, a koszykarze pożerają porcje frytek z chili z wołowiną i żółtym serem. Ohyda. Rozumie się samo przez się, że ja tam nie pasuję. Nie, żebym pasowała gdziekolwiek.

Wylogowuję się z portalu, wyłączam komputer i wracam na górę. Wyciągam z plecaka podręcznik do fizyki. To dziwne, ale im bliżej jestem śmierci, tym bardziej mam ochotę na naukę. Chyba po prostu nie chcę umrzeć jako kompletny debil.

Otwieram zeszyt i przepisuję zadania z końca rozdziału, które kazał nam rozwiązać pan Scott. Zaczynamy omawiać dział dotyczący zasady zachowania energii. Według pana Scotta energii nie można wytworzyć czy zniszczyć – można ją tylko przenieść. Energia potencjalna może się zmienić w kinetyczną i odwrotnie, ale energia nie może tak po prostu zniknąć. To nie ma dla mnie zbyt dużego sensu. Ponownie czytam pierwsze zadanie: „Spadochroniarz ważący 65 kilogramów stoi w samolocie, który znajduje się 600 metrów nad ziemią. Oblicz energię potencjalną spadochroniarza przed wyskoczeniem z samolotu”.

Ołówek trzęsie mi się w dłoni. Zwalczam chęć obgryzania gumki. To nie zadanie przysparza mi problemów. Wiem, którego wzoru powinnam użyć, a kalkulator może wszystko za mnie policzyć. Chodzi o to, że skoro energii nie da się

zniszczyć, to nie potrafię pojąć, co się z nią dzieje, kiedy odchodzimy. Robi mi się niedobrze na samą myśl o tym. Układam własne zadanie: „Szesnastoletnia Aysel Seran zwisa z sufitu na wysokości dwa i pół metra. Jej masa wynosi pięćdziesiąt dwa kilogramy. Ile energii potencjalnej ma nastolatka? Co stanie się z całą tą energią, kiedy dziewczynka umrze? W co ta energia zostanie zamieniona?”. Czy martwe ciało wciąż posiada energię potencjalną, czy też przechodzi ona w coś innego? Czy energia potencjalna może po prostu wyparować i zmienić się w nicłość? To pytanie, na które nie znam odpowiedzi. To pytanie mnie prześladowuje.

czwartek, 14 marca

24 dni do końca



Nie mam własnego samochodu, ale mogę dojeżdżać do pracy starym fordem taurusem. Auto śmierdzi śmieciowym żarciem i ma porwane siedzenia, ale silnik wciąż daje radę, a mnie to wystarcza. Steve kupił je kilka lat temu od swojego kumpla. Kiedy Georgia skończy szesnaście lat, to ona je dostanie. Na szczęście mnie już tu nie będzie, więc nie będziemy musiały się nim dzielić.

Wyjeżdżam z parkingu TMC, skręcam w lewo i ruszam w kierunku drogi stanowej numer trzydzieści sześć. Nawierzchnia jest wyboista i pełna dziur. Nikt tutaj nie ma ochoty płacić podatków, żeby było ją za co naprawić. To smutne, bo trasa biegnie wzdłuż rzeki i mogłaby być naprawdę malownicza. Nie, żeby było się czym chwalić. Rzeka Ohio jest mętna, zanieczyszczona i wiąże się z nią paskudna historia, ale niezależnie od tego, jak obrzydliwie wygląda, w rzekach zawsze jest coś magicznego, bo stale się poruszają. Rzeki nigdy nie utykają w miejscu.

Kiedy wydarzyło się to wszystko z moim tatą, wyobrażałam sobie, że spływam rzeką Ohio. Fantazjowałam, że zbuduję tratwę i będę płynąć bez celu z prądem aż do miejsca, w którym Ohio łączy się z Missisipi, a tam znajdę jakąś miłą rodzinę, która mnie przygarnie. Wyobrażałam sobie

bezdzielną parę, która z radością zaopiekuje się małą dziewczynką. Nie wiedzieliby, kim jest mój ojciec ani co zrobił. Kochaliby mnie, odpędziliby wszystkie złe uczucia... Nigdy nie zbudowałam tej tratwy. A teraz już wiem, że nikomu nie uda się uwolnić mnie od tych wszystkich złych uczuć.

Jadę więc drogą stanową numer trzydzieści sześć i myślę o tym, jak łączy ona Langston z Willis. Łączy mnie z FrozenRobotem, kimkolwiek on jest. Nie da się określić, kiedy Langston przechodzi w Willis – oddziela je tylko ten odcinek sfatygowanej drogi, obramowany przez mętną rzekę z jednej strony i przez kępy palusznika z drugiej. Zarówno Langston, jak i Willis to zapadłe miejsciny pełne rozchwierutanych domów, butwiejących ławek i zardzewiałych pomników upamiętniających wojnę secesyjną. W obu jest stacja benzynowa, a w zeszłym roku największą

sensacją było otwarcie supermarketu Wal-Mart w Langston. Oba miasteczka reklamują się jako urocze, próbując zachęcić podróżnych, aby zatrzymali się i wypili orzeźwiający napój w starej restauracyjce przy Main Street albo zrobili sobie zdjęcie tuż obok dużej fontanny z brązu stojącej przed budynkiem administracji hrabstwa. Ale nikt nigdy nie przyjeżdża do Langston czy Willis z własnej woli. To są miejsca, które się mija, a nie odwiedza.

Docieram do barku z piwem imbirowym i zauważam, że jest dość tłoczno. Drużyna liceum w Langston nie grała dziś meczu, więc może to uczniowie z Willis. Zatrzymuję samochód na wysypanym żwirem parkingu i siedzę w nim jeszcze przez kilka minut. Oddycham głęboko i stawiam kołnierz mojej pasiastej koszuli. Serce kołacze mi w piersi. Myślałam, że takie emocje

towarzyszą raczej pierwszym randkom. Nie, żebym kiedykolwiek była na prawdziwej randce. No chyba żeby liczyć spotkanie w piątej klasie w galerii handlowej, na którym mój rzekomy chłopak zjadł za dużo cheetosów i wytarł pomarańczowy pył w moją nowiutką koszulkę. Nie powinnam się przecież stresować. Ten chłopak to najwyraźniej nieudacznik, tak samo jak ja. Potrzebujemy siebie nawzajem. Ukradkiem przeglądam się w lusterku i czuję się jak idiotka, że w ogóle przejmuję się swoim wyglądem. Przecież nie biorę udziału w przesłuchaniu do roli dziewczyny FrozenRobota.

Ktoś stuka w okno mojego samochodu. Podskakuję przerażona, dociskając klatkę piersiową do kierownicy. Widzę chłopaka mniej więcej w moim wieku. Gapi się na mnie. Ma czerwoną czapkę. Pochyla się i stuka jeszcze raz. Opuszczam szybę.

– ALS0109?

To mój nick z portalu Smooth Passages. Powinam coś powiedzieć, ale usta wypełnia mi wata. Patrzę na niego tępym wzrokiem. Chłopak odchrząkuje i spuszcza wzrok.

– O, przepraszam. Chyba się pomyliłem.

– Nie – udaje mi się wydusić. – Jestem Aysel.

Marszczy brwi. Zmarszczki na jego czole układają się w kształt gwiazdy. Ściąga czerwoną czapkę i trzyma ją przy boku.

– ALS0109 – powtarzam dla pewności.

Uśmiecha się półgębkiem. Ja nie uśmiecham się chyba od trzech lat. Może FrozenRobot powinien przemyśleć swoje życiowe wybory. Może nie jest aż w takiej depresji, jak mu się wydaje.

– Chyba nie zdążyłaś się już rozmyślić, co? – pyta, zaglądając do mojego samochodu.

Zastanawiam się, czy zauważył wszystkie te opakowania po fast foodach na podłodze. „Dlaczego miałyby cię to obchodzić?” – zastanawiam się, ściskając dłońmi kierownicę. Kusi mnie, żeby odpalić silnik, wcisnąć gaz do dechy i odjechać.

Nie byłam na to gotowa. Zupełnie nie tego się spodziewałam. Zupełnie. Ten chłopak wcale nie jest wymizerowanym pryszczatym nastolatkiem wyglądającym, jakby nigdy nie widział słońca. Nie. Jego nick nie koresponduje z aparycją. FrozenRobot jest wysoki jak koszykarz, ma krótko przystrzyżone kasztanowe włosy i głęboko osadzone piwne oczy. Jest szczupły, ale nie wychudzony. Można chyba powiedzieć, że jest tyczkowaty. Może nawet nieco niezdarny, mimo wszystko nie tak go sobie wyobrażałam.

– Hej – zwraca się do mnie. – Mówiłem ci, że interesują mnie tylko poważne oferty. – Kręci głową. – Wiedziałem, że tak będzie. Zwłaszcza gdy dowiedziałem się, że jesteś dziewczyną.

Wyciągam kluczyk ze stacyjki i wysiadam z samochodu. Niemal nokautuję go drzwiami. Ups.

– Co to, do cholery, ma znaczyć? – pytam.

– Cóż, pewnie znasz statystyki. Że faceci rzeczywiście to robią, a dziewczyny tylko o tym gadają.

Piorunuję go wzrokiem.

– Co za seksistowska bzdura. A skoro jesteś takim twardzielem, to po co w ogóle zakładałeś konto na Smooth Passages? Po co w ogóle potrzebujesz partnera?

Chłopak się cofa.

– Ej, spokojnie, nie chciałem... – milknie i krzywi się, jakby zastanawiał się nad tym, co

właśnie powiedziałam. – Nie jestem seksistą. –
Spuszcza wzrok na swoje białe tenisówki. –
I zdecydowanie nie jestem twardzielem.

– Ale takie sprawiasz wrażenie.

– Że jestem twardzielem? – Podnosi na mnie
wzrok i szczyrzy zęby w uśmiechu.

Jego piwne oczy błyszczą bardziej, niż pow-
inny. Nic się tu nie zgadza.

– Nie. Seksistą. – Nie odwzajemniam uśmiechu.

– Posłuchaj – mówi powoli niskim i łagodnym
głosem. – Nie przeszkadza mi, że jesteś dziew-
czyną. Serio. Dziewczyny w ogóle mi nie
przeszkadzają.

– Dziewczyny ci nie przeszkadzają? – powtar-
zam, zachowując kamienny wyraz twarzy.

– No przecież wiesz, co mam na myśli.

– Nie, nie wiem.

Chłopak marszczy brwi i obraca czapkę w dłoni.

– Naprawdę mi przykro. Możemy zacząć od początku?

– Nie – mówię szybko. – Nie możemy zacząć od początku.

Zmarszczki na jego czole się pogłębiają. Przesłupuje z nogi na nogę. Już wcześniej był lekko zgarbiony, ale teraz zaczyna się kulić coraz bardziej. Jeszcze przez chwilę obserwuję, jak się męczy, po czym mówię:

– Ale jestem gotowa cię wysłuchać, jeśli potrafisz mi wyjaśnić, dlaczego potrzebujesz partnera.

Chłopak wzdycha i z powrotem naciąga czapkę na głowę, poprawiając daszek tak, żeby rzucał cień na jego twarz.

– Dobra, wyjaśnię ci wszystko. Pomyślałem tylko, że moglibyśmy zająć jakiś stolik i porozmawiać o tym w trakcie jedzenia... – urywa i wpatruje się we mnie odrobinę za długo jak na mój gust. – Chyba że już zdecydowałaś, że jestem totalnym dupkiem i wolisz dać sobie spokój.

Rozważam przez chwilę tę sugestię, w końcu kręcę głową.

– Nie jestem gotowa, żeby zrezygnować, w każdym razie jeszcze nie. Poza tym nie zamierzam odjechać, dopóki nie zjem porcji frytek z serem. – Ruszam w kierunku barku.

Podbiega, żeby za mną nadążyć. W milczeniu docieramy do blatu, przy którym składa się zamówienia. Barek, który oficjalnie nazywa się chyba U Tony’ego, ale wszyscy nazywają go po prostu barkiem z piwem imbirowym, to tak naprawdę zwykła przyczepa kempingowa.

Zamawiasz i jedzenie jest przygotowywane wewnątrz, a potem przynoszą ci je tam, gdzie usiadłeś. Stoi tu cyrkowy namiot, w którym znajduje się kilka stołów piknikowych, ale w te wieczory, kiedy do baru ściąga więcej osób, zalezenie wolnego miejsca graniczy z cudem.

Zamawiam pierwsza. Frytki z serem i koktajl truskawkowy. Biorę mój plastikowy numerek z siódmką i znajduję miejsce w głębi namiotu. Patrzę, jak FrozenRobot zamawia. Najwyraźniej zna tu sporo osób. Kiwa im głową, mówi „cześć”. Dziwne. Skoro ma tylu przyjaciół, dlaczego chce ze sobą skończyć? I jak na kogoś, kto chce się zabić, ewidentnie wciąż za bardzo przejmuje się swoim wyglądem. Sprawia wrażenie, jakby dopiero co odwiedził fryzjera, i chociaż jest ubrany swobodnie, w bluzę z kapturem i spodnie od dresu, to ten sportowy strój wygląda modnie. Generalnie

Roman – pewnie powinnam zacząć nazywać go po imieniu, choć wydaje mi się to zbyt osobiste – wygląda na kogoś, kto mógłby umówić się na randkę z Georgią albo machać z platformy na paradzie z okazji zjazdu absolwentów, a nie na kogoś, kto marzy o rzuceniu się pod koła ciężarówki. Robi mi się niedobrze i zaczynam się zastanawiać, czy to nie jest jakiś chory żart, zaaranżowany przez moją siostrę. Potrząsam głową, odpędzając tę myśl. Georgia nie jest wystarczająco zainteresowana tym, co robię, żeby marnować energię na organizowanie czegoś takiego.

FrozenRobot zaczyna iść w moim kierunku, ale zatrzymują go jacyś dwaj kolesie. Obaj są dość wysocy, ale nie tak wysocy jak on. Klepią go po plecach, a on kiwa głową, jakby zgadzał się z tym, co mówią. Obserwuję go i zastanawiam się, czy chciałabym się zabić, gdybym była taka jak on,

gdybym miała przyjaciół, gdyby moje istnienie uszczęśliwiało innych. Ale w głębi serca wiem, że to nie brak przyjaciół mną kieruje. Kiedyś targowałam się sama ze sobą, szukając argumentów za pozostaniem przy życiu: może jeśli ludzie przestaną obgadywać mojego ojca, może jeśli mama znowu zacznie na mnie patrzeć jak na normalną córkę, może jeśli będę w stanie zagwarantować, że nie stanę się taka jak on... Ale właśnie ten ostatni problem jest nie do przeskoczenia. Nie potrafię tego zagwarantować, zwłaszcza że wiem, że coś jest ze mną nie tak. Coś się zepsuło. Ludzie nie rozumieją, że depresja nie jest stanem zależnym od świata. Że płynie z wewnątrz. Że to coś we mnie za nią odpowiada. Pewnie są w moim otoczeniu rzeczy, przez które czuję się samotna, ale żadna z nich nie wywołuje we mnie takiego doznania izolacji i przerażenia jak głos w mojej

głowie. Głos, który przypomina mi, że prawdopodobieństwo, iż skończę jak ojciec, jest bardzo wysokie.

Założę się, że gdyby ktoś rozciął mi brzuch, wyślizgnąłby się z niego nagi czarny ślimak depresji. Szkolni psychologowie uwielbiają powtarzać: „Po prostu myśl pozytywnie”, ale to nie jest możliwe, kiedy coś wewnątrz ciebie tłamsi każdą odrobinę radości, jaką jesteś w stanie z siebie wykrzesać. Moje ciało to wydajna maszyna do zabijania szczęśliwych myśli.

W te najgorsze dni zastanawiam się, czy mój ojciec miał w sobie takiego samego czarnego ślimaka. Czy to dlatego zrobił te wszystkie straszne rzeczy. Może linia między samobójstwem a zabójstwem jest bardzo cienka. To takie myśli mnie przerażają. To one sprawiają, że nie chcę czekać

nawet do 7 kwietnia. Muszę pozbyć się tego ślimaka. Muszę pozbyć się siebie samej.

– Hej – mówi FrozenRobot, kładąc swój numerek osiem obok mojego.

Osiemdziesiąt siedem. Chciałabym, żeby ta liczba miała jakieś znaczenie. Ostatnio próbuję znaleźć znaczenie we wszystkim. Jakbym czekała na to, że wszechświat da mi przyzwolenie, powie: „Tak, teraz możesz już odejść. Ruszaj”.

FrozenRobot poprawia numerki, żeby równo stały. Może też szuka w nich potwierdzenia. A może ma po prostu zaburzenia obsesyjno-kompulsyjne.

– Jesteś tu popularny – zagajam rozmowę.

Krzywi się.

– Kiedyś byłem.

– Wygląda na to, że wciąż jesteś.

Kelnerka przynosi moje frytki i koktajl. Uśmiecha się przy tym do FrozenRobota i mogłabym przysiąc, że nawet trzepocze rzęsami. Kiedy odchodzi, zauważam, że chłopak się zarumienił.

– Widzisz? Jesteś popularny.

– Nie ja. – Podaje mi keczup. – Ktoś, kim kiedyś byłem.

Przekładam kilka frytek na serwetkę i wkładam jedną do ust. To pewnie niegrzeczne z mojej strony, że zaczynam jeść, zanim on dostanie swój posiłek, ale nie sądzę, by FrozenRobot wybierał partnera do samobójstwa na podstawie dobrych manier. Zresztą po chwili kelnerka wraca z jego jedzeniem. Zamówił cheeseburgera, frytki i koktajl czekoladowy. I dodatkowe papryczki jalapeño. Na odchodnym kelnerka rzuca mu kolejny flirciarski uśmiech, a on znowu robi się czerwony jak burak.

Biorę łyk mojego koktajlu i przewracam oczami. Jest bardziej kwaśny, niż się spodziewałam, ale przyjemnie chłodzi gardło.

– Tylko nie komentuj – ostrzega mnie FrozenRobot.

– Przecież ja nic nie mówię.

– Nie tego się spodziewałaś. Prawda?

Wrzuca frytkę do ust, ale to wymuszony gest. Zbyt szybki. Tak naprawdę chłopak nie jest głodny. Znam to. Nie odpowiadam na jego pytanie. Zamiast tego zadaję swoje:

– A ty spodziewałeś się kogoś takiego jak ja?

Wpatruje się we mnie przez kilka sekund.

– Szczerze mówiąc, to nie. Ale to dobrze.

– Chyba jednak muszę choć odrobinę pasować do twoich wyobrażeń, skoro wyśledziłeś mnie na parkingu?

Ból wykręca mu twarz, ściąga rysy. Sięga po dwie ostre papryczki i wrzuca je do ust.

– Co...? – unoszę brwi.

Chłopak dalej chrupie marynowane jalapeño ze słoika, sok ścieka mu po palcach. Krzywi się lekko, kiedy dociera do zadrapania, które ma na lewej ręce.

– No dalej, powiedz mi – zachęcam go. – Skąd wiedziałeś, że to ja?

Podnosi wzrok i mówi:

– Nie chcę cię obrazić.

– Serio? – pytam ostrzejszym tonem, niż zamierzałam. Zaczynam siorbać koktajl przez słomkę, żeby jakoś rozładować atmosferę. Nie chcę, żeby myślał, że jestem podła. W każdym razie jeszcze nie. Jeśli pomyśli, że jestem za bardzo wredna, może wybierze inne pogrążone w depresji dziwadło.

Chłopak wyciąga pestki z jednej z papryczek i kładzie je na języku. Przełyka je. Jego twarz pozostaje bez wyrazu, chociaż wiem, że gardło musi go nieznośnie piec. W końcu mówi:

– Po prostu wyglądasz, jakbyś chciała umrzeć. Wyglądasz na kurewsko nieszczęśliwą.

Patrzy na mnie, a ja odwzajemniam spojrzenie. Moja mina niczego nie wyraża. Biedny koleś wirci się na ławce i w końcu wlepia wzrok w swoje tenisówki. Pochyla głowę, dociska podbródek do piersi i widzę, że zaczerwieniony kark ma pokryty piegami. Przez moment zastanawiam się nad tym, co powiedział, po czym wybucham śmiechem. Śmiech sprawia, że czuję ból w gardle. Zapijam go kolejnym łykiem koktajlu. FrozenRobot spogląda na mnie, unosząc brew.

– Jestem straszny, prawda?

Kręcę głową.

– Jesteś szczerzy. Podoba mi się to. I teraz już wiesz, że nie jestem niepoważna.

Chłopak wzrusza ramionami i zaczyna się bawić suwakiem bluzy.

– Tego nie wiem. Mówię tylko, że zdecydowanie wyglądasz jak ktoś, kto chce umrzeć, ale nie jestem całkowicie przekonany, że będziesz w stanie pociągnąć za spust.

Marszczę brwi.

– Cóż, właśnie dlatego się na to piszę. Potrzebuję nieco... zachęty. – Gapię się na jego bluzę. Jest na niej wypisane wielkimi czarnymi drukowanymi literami „UNIVERSITY OF KENTUCKY BASKETBALL”. – Gra zespołowa, moralne wsparcie. To sportowe terminy, prawda?

Opuszcza wzrok na swoją bluzę.

– Już nie gram.

– Nie o to cię pytałam.

– Tak, wiem. Chyba rozumiem, o co ci chodzi. Myślisz, że w ten sposób będzie łatwiej, niż gdybyś robiła to sama.

Przenoszę ciężar ciała na łokcie i pochylam się ku niemu, naśladowując pewność siebie, którą emanowała nasza kelnerka.

– A więc... nadajesz się do tej roboty? Zrobimy to razem czy nie?

To nie w moim stylu, ale z jakiegoś powodu czuję potrzebę przymuszenia FrozenRobota, żeby wybrał mnie. Nie pamiętam, kiedy ostatnio byłam taka asertywna.

Chłopak poprawia się na ławce i skubie cheeseburgera. Odkłada na bok pomidory. Do tej pory nie wziął ani gryza.

- Jeszcze nie jestem pewien.
- Co chcesz wiedzieć?
- Coś więcej o tobie, na początek.

– Na przykład?

– Co to za imię „Aysel”? – Wymawia je poprawnie. Udaję, że nie zrobiło to na mnie wrażenia.

– Tureckie.

– Twoi rodzice pochodzą z Turcji?

Kiwam głową. Nie mówię mu o nich nic więcej. Unikam też podawania swojego nazwiska. Moja matka ubiega się o to, abym mogła legalnie przejąć jej nowe nazwisko: Underwood. Ale sprawa jest jeszcze w toku. Nie chcę, żeby FrozenRobot wygoogłował mnie i dowiedział się o moim tacie. Niezależnie od tego, jak popieprzony jest ten koleś, wątpię, żeby chciał połączyć swoje marzenia o samobójstwie z moimi, gdyby poznał historię mojej rodziny.

– Mówisz po turecku?

Kręcę głową. Ojciec nigdy mnie nie nauczył. Czasami zbierałam się na odwagę, żeby zapytać o Turcję, i jeśli był w dobrym nastroju, opowiadał mi o wąskich uliczkach jego starej dzielnicy, gdzie wieczorami grywał w piłkę nożną z przyjaciółmi. Ale kiedy miał zły dzień (a z czasem te złe dni zdarzały się coraz częściej), puszczały mu nerwy i mówił, żebym przestała drążyć. Mówił, że mam szczęście, że urodziłam się w Ameryce, bo nie będę musiała przeprowadzić się na drugi koniec świata tylko po to, żeby znaleźć pracę. Co do mojej mamy, to cóż, robi, co może, żeby oderwać się od swoich korzeni. Moi rodzice rozeszli się kilka miesięcy po moim urodzeniu. Od kiedy mama zaczęła się spotykać ze Steve'em, udaje, że jest rodowitą białą Amerykanką. Ma jaśniejszą cerę niż ja, więc przeszkadzają jej tylko resztki tureckiego akcentu. Ja odziedziczyłam ciemniejszą karnację

ojca, więc zdecydowanie bardziej wyglądam na cudzoziemkę.

– Czy to wprawia cię w zakłopotanie? – pyta FrozenRobot, przeżuwając burgera. Najwyraźniej nie smakuje mu tak bardzo jak papryczki. Wygląda, jakby zmuszał się do gryzienia, i robi to powoli, skubiąc kawałeczek po kawałeczku.

– Nie – mówię. – Po prostu nie rozumiem, dlaczego tak bardzo obchodzi cię moje pochodzenie. Ja nie urządzam ci przesłuchania.

Obdarza mnie uśmiechem. Kompletnie go nie rozumiem.

– Jestem po prostu ciekaw, bo uważam, że Aysel to fajne imię.

– Możesz je sobie wziąć.

– Zabawne – kwituje, ale się nie śmieje.

– Dlaczego siódmy kwietnia? – To moja kolej na pytanie.

– Wtedy to się wydarzyło.

– Wtedy co się wydarzyło?

– To, co sprawiło, że chcę umrzeć. Wydarzyło się to rok temu, siódmego kwietnia. – Chłopak zaciska szczękę i odwraca wzrok.

– Zgaduję, że nie zamierzasz mi powiedzieć, co się stało...

Zanim zdąży odpowiedzieć, tamci dwaj kolesie, których spotkał wcześniej, podchodzą i siadają obok niego.

– Jak leci? – zagaduje mnie jeden z nich, podczas gdy drugi klepie Romana po plecach.

– Nie wiedziałem, że się z kimś spotykasz, Roman – droczy się z nim ten drugi. – Co na to Kelly?

Kelly? Tylko mi nie mówcie, że FrozenRobot ma dziewczynę. Obrzucam go spojrzeniem pod tytułem: „Co, do cholery?!”.

– Chłopaki, poznajcie Aysel. – Spogląda na mnie błagalnie.

Nie jestem najmilszą osobą w historii wszechświata, ale przecież nie skompromituję go przy znajomych. Chociaż fajnie popatrzeć, jak się stresuje. Zachowuję neutralny wyraz twarzy, wieje ode mnie chłodem większym, niż mogłoby od zamrożonego robota.

– Aysel, to jest Travis i Lance. – W głosie Romana wyczuwam drzenie i zauważam, że mała wysepka piegów wokół jego nosa czerwieni się coraz bardziej, odkąd podeszli.

– Chodzisz do Willis? – pyta Lance, unosząc jasne brwi w kolorze piasku.

– Zauważylibyśmy ją, gdyby chodziła do Willis – mówi Travis z obleśnym uśmiechem.

Już sam ton jego głosu sprawia, że tracę zainteresowanie swoim koktajlem. Rozumie się samo

przez się, że gdybym rzeczywiście uczęszczała do liceum w Willis, Travis w życiu nie zwróciłby na mnie uwagi. Chłopcy pokroju Trávisa i Lance'a, którzy chodzą do mojego liceum, zdecydowanie mnie nie zauważają. W każdym razie nie w pozytywny sposób.

– Nie strasz dziewczyny – mówi Lance.

Najwyraźniej bardziej subtelnie obchodzi się z kobietami. I bardziej niż Travis, z seksownie potarganą blond fryzurą, wielkimi niebieskimi oczami i szerokimi barami, przypomina typowy obiekt kobiecych westchnień.

Na kilka sekund zapada krępujące milczenie.

– Aysel chodzi do Langston – wyjawia Roman niechętnie.

– Zaraz, skoro chodzisz do Langston, to musisz znać Briana Jacksona, nie? – pyta Lance, szeroko otwierając błękitne oczy.

Wstrzymuję oddech i wlepiam w niego wzrok, próbując ustalić, czy już dodał dwa do dwóch.

– Och, a więc to tak się poznaliście? Przez Briana? – pyta Travis, pochylając się w stronę Romana i podkradając kilka jego frytek.

Wymieniamy z Romanem spojrzenia.

– Eee... nie – mówi w końcu. – Poznaliśmy się w zeszłym tygodniu.

Naprawdę?

– Gdzie? – pyta Travis.

Roman znowu na mnie zerka. Widać, że wyczuwa, że coś jest nie tak. Przełykam i wysyłam malutkie życzenie do wszechświata: „Proszę, nie wykręć mi numeru. Proszę, nie pozwól, aby się dowiedzieli, kim jestem”.

– Na starym placu zabaw. Przy boisku – mówi Roman, a ja zapamiętuję sobie, że ten dzieciak potrafi kłamać jak z nut.

Travis ożywia się i wyrzuca ręce w powietrze.

– Wiedziałem, stary! Wciąż chcesz grać. Mówiłem ci, że trener na pewno przyjąłby cię z powrotem do drużyny. Musisz przestać się obwiniać...

– Możemy o tym tutaj nie rozmawiać? – pyta Roman lodowatym tonem.

– Serio, człowieku. – Lance kręci głową i również sięga po frytki Romana. – Po co w ogóle poruszasz ten temat?

Travis robi się czerwony jak burak. Nie sądziłam, że chłopcy tacy jak on mogą odczuwać zażenowanie, ale najwyraźniej niektóre rzeczy potrafią wytrącić z równowagi nawet takich koleś. Sporo się dziś dowiaduję na temat płci przeciwnej.

– Przepraszam – mamrocze Travis i odwraca wzrok. Uśmiech powraca mu na twarz, gdy tylko

zauważa naszą kelnerkę. – Ale Suzie nieźle wygląda, nie?

– Chyba dobrze się jej układa – odpowiada Roman rzeczowym tonem, po czym zwraca się do mnie: – Suzie to kelnerka, która nas obsługiwała. Chodzi z nami do liceum.

Kiwam głową, jakbym rozumiała, co się dzieje, ale jestem pewna, że nie łapię podtekstu całej tej sytuacji. Travis szturcha Romana łokciem.

– Nie no, ale serio. Myślę, że ona wciąż na ciebie leci.

Lance zerka na mnie, potem na Romana, po czym przenosi wzrok z powrotem na Travisa.

– Okaż trochę szacunku, człowieku.

Mam zamiar mu powiedzieć, że nic nie łączy mnie z Romanem. Już sama myśl o tym, że uważa nas za parę, sprawia, że mam ochotę znowu się zaśmiać. Zamiast tego biorę łyk koktajlu. Obracam

w ustach truskawkowy płyn, przesuując językiem po zębach. Nie obchodzi mnie, jak nieatrakcyjnie może to wyglądać.

Lance znowu przybywa nam na ratunek, przerywając krępujące milczenie:

– Więc zaraz, to w końcu znasz Briana Jacksona?

Mam nadzieję, że nie widać po mnie, jak się pocę. Skubię frytki i skupiam wzrok na keczupie. Nie jestem w stanie spojrzeć na żadnego z nich.

– Nie bardzo.

– Przecież on jest teraz sławny, nie? – pyta Travis. Wyciąga rękę i znowu klepie Romana po plecach. – Mogłeś być na jego miejscu, koleś.

Roman odburkuje coś, a ja nie mogę się powstrzymać, żeby nie zadać pytania:

– Jak to?

Lance z zakłopotaniem popatruje to na Romana, to na mnie.

– Mogę jej powiedzieć?

Roman zaciska dłoń na karku i odwraca twarz, żeby móc spoglądać w dal.

– Rób, co chcesz.

Mija kolejna krępująca chwila ciszy.

– Roman grał z Brianem w drużynie selekcyjnej. Wiesz, co to jest selekcyjna drużyna koszykówki? – pyta Lance.

Mam ogólne pojęcie, ale kręcę głową, żeby dowiedzieć się jak najwięcej o tym, co łączy FrozenRobota z Brianem Jacksonem. Odnoszę wrażenie, że w mojej głowie uruchomił się właśnie alarm samochodowy – same piski i syreny. Próbuje się uspokoić, odtwarzając w myślach początek *Cwału Walkirii* z opery Wagnera.

– Czy ty nucisz? – pyta Travis, zanim Lance zdąży dokładnie wytłumaczyć, jak poznali się Brian i Roman. Travis zaczyna się śmiać, ale Roman go gasi:

– Nie bądź dupkiem – mówi, piorunując go wzrokiem. W jego piwnych oczach błyska gniew. Wydają się przez to bardziej złote niż zielonkawe.

Krew napływa mi do policzków i wlepiam wzrok w blat stołu. Widzę kałużę keczupu obok swoich frytek. Ciekawe, czy FrozenRobot tak by mnie bronił, gdyby wiedział o moim tacie. A potem zastanawiam się, dlaczego FrozenRobot w ogóle mnie broni. Czuję, że wszyscy się na mnie gapią, ale FrozenRobot patrzy inaczej niż Travis czy Lance. Spojrzenia tamtych są palące jak spojrzenia moich kolegów i koleżanek z klasy – chcą za wszelką cenę poznać moje sekrety, zajrzeć do środka. Wzrok FrozenRobota jest łagodny. On

wie, co znajdzie, jeśli zacznie kopać głębiej. Nie spieszy się, żeby wyciągnąć wszystko, co we mnie siedzi. Rozumie, że nie ma nic wyjątkowego w pustce, nic interesującego w depresji.

Zbieram się na odwagę, żeby na niego spojrzeć. Posyła mi lekki uśmiech. Jestem pewna, że znalazłam odpowiedniego partnera do samobójstwa.

Jego przyjaciele milczą. Obserwują go. Chociaż twierdzi, że był popularny w poprzednim życiu, wygląda na to, że jest i w obecnym. Zaczyna uderzać dłońmi w blat stołu.

– Brian i ja przyjaźniliśmy się w dzieciństwie. Graliśmy razem w kosza w drużynie selekcyjnej, czyli takiej, do której dostają się tylko wybrani zawodnicy. To była drużyna objazdowa – graliśmy w Louisville i w Cincinnati, i w Lexington. Potem, gdy trochę podrośliśmy, Brian i ja zaczęliśmy razem trenować. Biegaliśmy i podnosiliśmy

ciężary. Nic ekscytującego. – Roman znowu drapie się w kark, patrzy przed siebie zamglonym wzrokiem. Trudno coś wyczytać z jego oczu. – Teraz on jest grubą rybą. Ma brać udział w olimpiadzie i w ogóle. Nie rozmawiamy za często. – Spogląda mi prosto w oczy. – To niezbyt interesujące, prawda?

Lance najwyraźniej jest przekonany, że mnie i Romana coś łączy, i próbuje pomóc przyjacielowi, dodając:

– Problem polega na tym, że nasz chłopak tutaj jest świetnym sportowcem.

– Tak. Gdyby Roman nie zrezygnował, pewnie załapałby się w przyszłym roku na stypendium koszykarskie na Uniwersytecie Kentucky – dodaje Travis i jak dumny brat otacza Romana ramieniem, ale Roman strząsa jego rękę.

– Przestań – mówi, wlepiając wzrok w ziemię. – Aysel nie obchodzą takie rzeczy.

Tłumaczenie: tej dziewczynie nie muszę imponować. Nie próbuję się z nią przespać, zamierzam z nią umrzeć. Ale ani Travis, ani Lance najwyraźniej nie tak to zinterpretowali. Obaj unieśli przepraszająco dłonie, mówiąc: „*Sorry*, mój błąd”. Patrzę na nich i wiem, że powinnam ich uważać za totalnych głupków reagujących automatycznie w taki sam sposób, ale potrafię myśleć tylko o tym, że nigdy nie byłam z nikim tak zgrana. Zastanawiam się, czy FrozenRobot był z nimi zgrany, ale z jakiegoś powodu wypadł z orbity. Zastanawiam się, co się wydarzyło, że z niej wypadł. Co takiego zmieniło Romana – gwiazdora sportu i przyjaciela rokujących nadzieję olimpijczyków – we FrozenRobota, tragicznego

chłopaka odwiedzającego strony internetowe dla samobójców.

Zerkam na niego kątem oka. Głowę ma pochyloną, plecy zgarbione. Przygląda się ostatniej pestce z papryczki jalapeño, która mu została, przesuwając ją palcem po papierowym talerzyku. Powoli podnosi ją do ust i połyka. Wszyscy mu się przyglądamy, więc w końcu mamrocze:

– Fajnie było was spotkać, chłopaki, ale Aysel musi mnie podwieźć do domu. Zobaczymy się później, okej?

– Pewnie, stary. – Travis ściska go za ramiona.

– Dbaj o siebie. Jesteśmy tu, gdybyś nas potrzebował.

– Spotkajmy się niedługo – dodaje Lance. – Fajnie by było razem porzucać do kosza na starym boisku. Jak za dawnych czasów.

– Tak – mówi Roman chłodno. – Jak za dawnych czasów.

Wstaje od stołu i wrzuca niedojedzone resztki do kosza na śmieci.

Macham zdawkowo Travisowi i Lance'owi i ruszam za Romanem. Wyrzucam frytki, i tak już prawie wszystko zjadłam, ale biorę ze sobą koktajl.

– A więc podwożę cię do domu? – pytam szeptem, mając nadzieję, że Lance i Travis mnie nie usłyszą.

– Ta. Nie prowadzę.

– Przecież masz siedemnaście lat?

Obdarza mnie tym samym półuśmiechem, którym przywitał mnie na początku.

– Przeglądałaś mój profil...

– Chciałam się upewnić, że nie jesteś kurą domową pogrążoną w depresji czy coś – wyjaśniam i ruszam w stronę samochodu.

Nie dodaję, że żałuję, iż nie chwalił się w profilu swoją znajomością z Brianem Jacksonem. Nigdy nie zgodziłabym się na to spotkanie.

Otwieram auto i przerzucam śmieci leżące na siedzeniu pasażera do tyłu. Zostawiam kilka zatłuszczonych toreb po fast foodzie na podłodze. Uznaję, że może po prostu postawić na nich stopy. Nieważne. Przecież mnie nie odrzuci dlatego, że jestem bałaganiarą.

Roman wsiada i klepie dłońmi w zakurzoną deskę rozdzielczą.

– Niezła bryka. – Stare torby chrzęszczą pod jego tenisówkami. – Widać, że o nią dbasz.

Ignoruję jego komentarze i wkładam kluczyk do stacyjki. Silnik charkocze. Manewruję kierownicą i wyprowadzam auto z parkingu. Potem zerkam na niego. Spogląda prosto przez przednią szybę. Jego piwne oczy są szeroko otwarte, ale puste. Po raz

pierwszy naprawdę to widzę. FrozenRobot nie żartuje. FrozenRobot chce umrzeć. W nim też mieszka czarny ślimak.

czwartek, 14 marca

24 dni do końca



Przez jakiś czas jedziemy w milczeniu. Obawiam się trochę, że FrozenRobot w pewnej chwili otworzy drzwi i rzuci się na zwirowaną drogę. Nie jestem pewna, czy upadek by go zabił, ale i tak znalazłabym się w kłopotliwej sytuacji. Kiedy zamiast do klamki sięga do pokrętła radia, z ulgą wypuszczam powietrze z płuc. Wybiera ulubioną stację Georgii – tę, w której puszczają w kółko

tych samych pięć przebojów. Wszystkie piosenki zdają się opowiadać o upijaniu się, brokatowych minisukienkach i tańczeniu przez całą noc. Robię wymowną minę.

– Co? – pyta.

– Nie rozumiem cię. Sprawiasz wrażenie, jakbyś był takim...

Roman krzyżuje ręce w powietrzu. Odbieram to jako sygnał, że mam się zamknąć, więc się zamykam. Jedna rzecz, która nieźle mi wychodzi, to wykonywanie rozkazów. Zaraz, to chyba jednak nie jest prawda. Nigdy nie wypełniam rozkazów pana Palmera, chociaż przez większość czasu przynajmniej próbuję udawać, że owszem.

Roman wyłącza radio.

– Przepraszam. Nie wiedziałem, że jesteś taką snobką, jeśli chodzi o muzykę.

– Nie jestem snobką – bronię się.

– Nie jesteś snobką i nie jesteś kurą domową w depresji – kwituje. – Masz wiele do zaoferowania.

– Owszem – mówię i postanawiam wybadać grunt. – Dużo potencjału do zmarnowania siódmego kwietnia. – Dużo energii potencjalnej. Ciekawe, czy FrozenRobot zastanawia się nad fizyką śmierci.

– Wypijmy za to – proponuje on, udając, że unosi kieliszek w powietrze. – Zdrówko.

Chyba piosenki z ulubionej stacji radiowej Georgii korespondują z jego zainteresowaniami.

Jeszcze przez jakiś czas jedziemy w milczeniu, podskakując na wybojach. Sięgam do pokrętki radia i włączam stację z muzyką klasyczną. Roman nie komentuje mojego wyboru. Krajobraz powoli staje się bardziej pagórkowaty. Docieramy do ostrego zakrętu i oddalamy się od rzeki w stronę

wzgórz. Trawa wciąż jest brązowa i wyschnięta po zimie, a większość drzew jest naga. Wiosna spóźnia się w tym roku. Opuszczam odrobinę szybę i wilgotne, chłodne powietrze wślizguje się do samochodu. W niektóre dni można w nim wyczuć zapach burbona, słodki zapach żyta napływający z gorzelni oddalonej o kilka mil. Ale dziś czuję tylko błoto i mokrą trawę. Wiatr uderza mnie w policzki. Opieram się pokusie, żeby spojrzeć na mojego towarzysza. Skupiam wzrok na drodze.

– Nie mogę siadać za kółkiem ze względu na to, co stało się w zeszłym roku – odzywa się w końcu – dlatego to ty będziesz musiała zawsze prowadzić. Wcześniej to mama podrzuciła mnie do baru. Była taka uszczęśliwiona, że wychodzę z domu po raz pierwszy od miesiący, żeby spotkać się z koleżanką. – Spogląda na mnie. – Powiedziałem

jej, że jesteś moją nową koleżanką. Mama jest totalnie podekscytowana.

Więc jego rodzice martwią się o niego. W sumie to niedobrze. To oznacza, że bardziej go pilnują. Pewnie dlatego potrzebuje mnie, swojej zaufanej partnerki do samobójstwa.

– Łapię – mówię. – Myślisz, że mógłbyś przynajmniej podać mi jakieś wskazówki, żebym wiedziała, gdzie cię podrzucić?

Milknie na chwilę i wykręca dolną wargę, jakby się zastanawiał, czy powiedzieć coś, czy nie.

– Co takiego? – zachęcam go.

– Mogę cię prosić o przysługę?

Moje pierwsze zadanie w roli jego partnerki. Coś wewnątrz mnie kołysze się jak bujany fotel w pustym pokoju – to jednocześnie świadczący o samotności i dodający otuchy obraz.

– Pewnie. O co chodzi?

– Czy możemy się zatrzymać przy sklepie dla wędkarzy na Main Street?

Marszczę nos.

– Przy sklepie dla wędkarzy?

– Tak, muszę kupić trochę dżdżownic.

Mrugam i zerkam na niego ukradkiem. Patrzy prosto przed siebie. Mięśnie twarzy ma zrelaksowane, nic nie świadczy o tym, że żartuje.

– Hmm, okej – odpowiadam. – Tylko powiedz mi, jak tam dojechać.

– Jedź prosto tą drogą, aż dotrzemy do rozwidlenia przy moście. Zostań po lewej stronie, a znajdziesz się na głównej ulicy Willis. Sklep wędkarski będzie po prawej, na skrzyżowaniu Main i Burns – recytuje FrozenRobot spokojnym, monotonnym głosem.

Wygląda na to, że jest stałym klientem tego sklepu. Dziwne.

Mocniej zaciskam dłonie na kierownicy i próbuję się skupić na muzyce. W radiu grają *XL Symfonię* Mozarta, ale nawet czyste nuty skrzypiec w minorowej tonacji nie są w stanie odwrócić mojej uwagi.

– Dlaczego potrzebujesz dżdżownic? Fascynuje cię wędkarstwo czy co?

FrozenRobot wydaje dźwięk będący skrzyżowaniem odchrząknięcia i śmiechu.

– Nie.

Najwyraźniej nie jest zbyt rozmowny.

– Nie?

– Nie, nie interesuje mnie wędkowanie. – Wierci się i przesuwa bliżej drzwi. Uderza kolanami o deskę rozdzielczą i zastanawiam się, czy nie zaproponować mu, żeby odsunął siedzenie, jeśli jest mu niewygodnie, ale nie robię tego.

– Okej. No to nie rozumiem.

– He?

Chyba chce mnie zmusić, żebym przeliterowała to pytanie.

– Po co ci dżdżownice, skoro nie interesuje cię wędkarstwo?

– Karmię nimi mojego żółwia – mówi, jakbym powinna wiedzieć od początku, że ma żółwia. Jakby to było coś, czego należy się spodziewać po ludziach. Może Willis w stanie Kentucky to żółwia stolica Stanów Zjednoczonych.

W pierwszej chwili dziwię się, że ma jakieś zwierzątko. Nie wygląda na takiego. Ale jeśli już, to bardziej przypomina właściciela golden retrievera. Wygląda na grającego w kosza, jadającego hamburgery, kochającego psy Amerykanina z krwi i kości. Ale potem, kiedy ten fakt w pełni do mnie dociera, czuję dławienie w gardle. On ma zwierzątko... Mówię to na głos:

– Masz zwierzaka...

– Mam zwierzaka – powtarza, a po chwili odgaduje, o czym myślę, i spogląda na mnie. – Ale nie przejmuj się. To mnie nie powstrzyma.

Głęboko wciągam powietrze w płuca i spoglądam na brudny dywanik leżący na podłodze auta. Zgnieciona puszką po coca-coli wciśnięta w kąt. Jej metaliczna powierzchnia odbija światło słońca. Wygląda, jakby do mnie mrugała.

– Powinnaś patrzeć na drogę – mówi.

– Słucham?

– Patrz na drogę.

– Słyszałam, co powiedziałaś – oświadczam w napięciu. – Ale skoro chcesz umrzeć, czemu cię obchodzi, czy skupiam się na drodze?

Roman wciąga powietrze w płuca. Kątem oka widzę, że jego szerokie barki opadają. Wygląda jak

łość, który właśnie został postrzelony przez myśliwego.

– Chcę umrzeć, ale nie chcę, żeby komuś innemu stała się przez to krzywda.

– W porządku. – Zaciskam zęby i wlepiam wzrok w szybę. Nie mówię mu o puszcze po coli. Pewnie pomyślałby, że stanowią zagrożenie dla otoczenia.

Dojeżdżam do rozwidlenia, które opisał FrozenRobot, zgodnie z jego wskazówkami trzymając się lewego pasa. Suniemy po głównej ulicy Willis, wzdłuż której stoją domy w stylu wiktoriańskim, mieszczące pretensjonalne lokale. Lodziarnia Creamy Whip, jadłodajnia Fried Egg, pralnia Suds and Bubbles.

– Jak ma na imię twój żółw?

– Kapitan Nemo – mówi, po czym dodaje: – To nie ja wybierałem imię.

Nie naciskam. Nieznana mi osoba, która nadała imię Kapitanowi Nemo, zawisa w powietrzu między nami niczym zaklejona koperta. Oboje wiemy, że w środku jest list, cała historia, ale w tej chwili żadne z nas nie ma wystarczająco dużo odwagi, aby ją rozerwać.

Zwalniam, kiedy zbliżamy się do niebieskiego domu z naklejkami w kształcie ryb w oknie. Na trawniku przed sklepem stoi znak z napisem „Bob’s Fishing Supply & Co”. Znajduję miejsce do zaparkowania po drugiej stronie ulicy.

– To zajmie tylko chwilę – mówi Roman. Zaczynam wyjmować kluczyk ze stacyjki, ale on kręci głową. – Możesz zostać tutaj.

Zanim zdążę cokolwiek powiedzieć, on już biegnie ku drzwiom wejściowym do sklepu. Porusza się zwawiej niż wcześniej. W barku z piwem imbirowym zachowywał się ospale, niemrawo.

Musi naprawdę kochać tego żółwia. Czuję skurcz w sercu, ale powoli emocje znikają. Klepię się po brzuchu. „Dobra robota, czarny ślimaku”. Czeka-
jąc, aż Roman wróci, zamykam oczy i wsłuchuję się w muzykę. Zaczęli grać fragment z *Jezióra łabędziego* Czajkowskiego. Nie przepadam za nim. Jest zbyt lekki, za ładny. I za dużo w nim tęsknoty. Nie lubię utworów o pragnieniu. Lubię piosenki o odpuszczaniu sobie, o pożegnaniach.

Ani się obejrzałam, a FrozenRobot wraca, trzymając w dłoniach papierowy kubeczek. Wciska się z powrotem na siedzenie, a ja mówię:

– Lepiej ich nie wysyp.

– Dlaczego? Bo tak dbasz o czystość auta? –
Wykręca wargi w krzywym uśmiechu.

Ten chłopak naprawdę za dużo się uśmiecha. Zwłaszcza jak na kogoś, kto miał czelność

oskarżać mnie, że jestem niepoważna. Marszczę brwi.

– Bo to byłoby obrzydliwe.

– Dobra, dobra. Będę pilnował, żeby się nie wysypały.

Wycofuję samochód z miejsca parkingowego i jadę dalej Main Street.

– To gdzie mieszkasz?

Roman udziela mi wskazówek, a na koniec pyta:

– Jak możesz tego słuchać?

Wskazuję na radio.

– Tego? To jest prawdziwy geniusz.

Żałuję, że leci akurat Czajkowski. Wolałabym bronić czegoś mocniejszego, na przykład jednej z toccat Bacha. Mimo wszystko... *Jezioro łabędzie* ma więcej głębi niż którakolwiek z popowych ballad, których on wolałby słuchać.

– Nie ma tekstu – zauważa.

– Właśnie o to chodzi. To zabawne, że ze wszystkich ludzi akurat ty na to narzekasz.

Znowu wierci się na siedzeniu. Uderza nogami w drzwi auta.

– Co masz na myśli?

– Chodzi mi o to, że nie sprawiasz wrażenia, jakbyś był miłośnikiem konwersacji. Pomyślałam więc, że docenisz brak tekstu.

Wykrzywia szyję, żeby na mnie popatrzeć. Czuję jego wzrok na swojej twarzy. Nie jest to palące spojrzenie, ale je czuję.

– Lubię słowa innych ludzi. Wypełniają mnie.

– Na przykład słowa o upijaniu się i ocieraniu o panienki na parkiecie?

Prycha śmiechem.

– Nie. To po prostu hałas. Ale to też lubię. To pomaga mi zapomnieć.

– Zapomnieć o czym?

– O tym, co sprawia, że chcę umrzeć.

Docieramy do jego dzielnicy. Wygląda podobnie do mojej. Te same stare domy, tyle że podwórka tutaj są lepiej utrzymane. Nie ma przypadkowych kęp palusznika czy mleczy.

– Nie rozumiem cię – mówię zgodnie z prawdą i możliwe, że to najszczęśliwsza rzecz, jaką powiedziałam, od kiedy się poznaliśmy. Nie rozumiem, dlaczego chce, żeby coś go wypełniło, dlaczego szuka czegoś w muzyce. Kiedy ja jej słucham, odnajduję miejsce, w którym mogę się ukryć, miejsce, w które mogę uciec przed moją pustką.

Widzę, że bawi się dżdżownicami. Kubek podskakuje na jego kolanach, chociaż stara się trzymać go nieruchomo. Zastanawiam się, dlaczego tak się cacka ze stworzeniami, które i tak wkrótce umrą. Nic nie mówi, więc drażę dalej:

– Nie rozumiem, dlaczego tego chcesz. Dlaczego chcesz być częścią tego wszystkiego.

– Pytasz mnie, dlaczego chcę się zabić czy dlaczego nie chcę robić tego w samotności?

– I jedno, i drugie – mówię, żując dolną wargą.
– Szczerze mówiąc, tak naprawdę mnie nie obchodzi, dlaczego chcesz się zabić. – To kłamstwo, ale ja nie chcę powiedzieć jemu, dlaczego chcę umrzeć, więc to chyba sprawiedliwe, że nie będę żądać tego od niego. – Po prostu muszę wiedzieć, że nie jesteś niepoważny.

Wyrywa mu się śmiech całkowicie pozbawiony radości.

– Och, a więc teraz to ciebie martwią niesolidne osoby?

– Widziałam twoich przyjaciół. Muszę być pewna, że to nie jest jakiś chory dowcip. – Czego

mu nie mówię, to: „Muszę się upewnić, że mnie nie podpuszczasz, skoro znasz Briana Jacksona”.

– Przyjaciół? – powtarza z obrzydzeniem. – Ci ludzie nie są moimi przyjaciółmi.

– Nie jestem specjalistką od bliskich relacji, ale z pewnością sprawiali wrażenie, jakby nimi byli.

– Słuchaj, nie wiesz, o czym mówisz, więc powinnaś się zamknąć – ucina.

Słońce wisi nisko na niebie. Jego blask wlewa się do samochodu, sprawiając, że jego piwne oczy połyskują złotem. Chciałabym, żeby znowu stały się bardziej zielone. Nie wyglądał na tak wrednego, tak rozwścieczonego, kiedy były zielonkawe.

– To niezbyt miłe z twojej strony.

Zadziera podbródek, jakby chciał zasignalizować, że nie zamierza przeproszać.

– Skręć tutaj w lewo – wskazuje małą uliczkę odchodzącą od Southwind, głównej drogi w jego dzielnicy. – To będzie czerwony dom po prawej.

Stary dom jest w podobnie opłakanym stanie jak mój, ale drewniany siding wygląda na zadbane i ktoś najwyraźniej troszczy się o ogród. Jest tu rabatka kwiatowa świeżo okryta ściółką i chociaż jeszcze nic nie kwitnie, wyobrażam sobie, że w czerwcu będzie tu mnóstwo lilii i nagietków. Skrzynka na listy w kolorze karmelowym stoi na końcu podjazdu. Jest doniej przyczepiony szyld z nazwiskiem „FRANKLINOWIE”.

– Urocze – stwierdzam.

– Moja mama się stara – wyjaśnia Roman, wysiadając z samochodu z kubeczkim dżdżownic w lewej dłoni.

Chyba wszystkie mamy się starają.

– Czekał – mówię. – To zrobimy to razem czy nie?

Podchodzi do drzwi od strony kierowcy. Opuszczam szybę do samego końca.

– Tak, wchodzę w to, jeśli ty też – zgadza się.

– Zdecydowanie w to wchodzę – zapewniam. – Ale po prostu nie rozumiem.

– Czego nie rozumiesz?

– Dlaczego mnie potrzebujesz.

Jak na dany znak otwierają się drzwi do jego domu. Niska, pulchna kobieta w średnim wieku zbiega po schodkach. Ma włosy w tym samym kasztanowym kolorze co Roman, ale siwiejące. Jest ubrana w kuchenny fartuszek i chodaki z nadrukiem w kwiatki. Gdybym przygotowywała ulotkę turystyczną dla Willis w stanie Kentucky, czego dzięki Bogu nie robię, umieściłabym tę

panią na okładce. Wygląda jak uosobienie tego miasteczka.

– Roman! – woła, dyskretnie machając do nas obojga w sposób, w jaki machają królowe konkursów piękności. Większość starszych kobiet w tej okolicy opanowała ten gest do perfekcji – sztywny nadgarstek, powolny skręt dłoni. – Roman! – powtarza. – Przedstaw mnie swojej koleżance.

Palą mnie policzki, a żołądek ściska się i rozwiiera niczym pięść. Nie chodzi o to, że mam wyrzuty sumienia – ostatecznie to nie moja wina, że jej syn chce się zabić. Ale nie chciałam poznawać jego rodziny. Właśnie takich problemów próbowałam uniknąć. FrozenRobot zarobił już dwa minusy – domowy zwierzak i kochająca mama. Gdybym była bardziej wybredna, powiedziałabym, że to za duży balast. Ale biorąc pod uwagę moją sytuację, nie mogę sobie pozwolić na wybrzydzenie.

– Eee, mamó... – mówi Roman drżącym głosem, łyka powietrze, jabłko Adama gwałtownie przesuwa mu się pod skórą – ...to jest Aysel.

Gładko poszło, FrozenRobot. Naprawdę gładko.

– Aysel – powtarza jego mama, unosząc brwi.

Podaje mi dłoń przez otwarte okno. Wiem, że nie zdałam testu na dobrze wychowaną młodą damę. Powinnam wysiąść z samochodu i dygnąć, gdybym chciała mieć jakąkolwiek szansę, by mnie zaakceptowała. Ale nie potrzebuję jej akceptacji. Przecież nie zamierzam wyjść za Romana. A zresztą za miesiąc już nie będzie kogo akceptować.

– Miło mi panią poznać – zdawkowo odwzajemniam uścisk jej dłoni.

– Aysel to piękne imię – mówi.

Zdążyłam się już nauczyć, że to sformułowanie to taktowny zamiennik pytania: „Aysel? Co to, do cholery, za imię?”.

– Tureckie – wyjaśniam.

Obserwuję jej twarz, czekając na jakąś reakcję. Jestem ciekawa, czy opowieści o moim ojcu mają tu tę samą moc, co w Langston. Czy istnieje możliwość, że Roman, jego przyjaciele czy jego matka wiedzą o moim ojcu i o tym, co zrobił. Jestem pewna, że mój tata jest jedynym Turkiem, o którym trąbiono w wiadomościach w tym rejonie Kentucky. A od niedawna, ponieważ Brian Jackson zyskuje coraz większą sławę, informacje o nim stają się częstsze. Ale nawet jeśli mama Romana skojarzyła fakty, nie okazała tego. Na jej twarzy w kształcie serca wciąż widniał ten sam szczery uśmiech.

– Twoja rodzina mieszka tutaj, w Willis? – pyta mnie.

– W Langston – odpowiadam.

– Mam przyjaciół, którzy uczęszczają do Kościoła Łaski Bożej w Langston. To twoja parafia?

Chce wiedzieć, czy chodzę do kościoła. Spryt nie. Muszę przyznać, że ma tupet.

– Moja mama chodzi do kościoła St. Columbia.

To nie jest kłamstwo. Mama, Steve, Georgia i Mike chodzą do kościoła w każdą niedzielę. Kiedyś chadzałam z nimi. Tuż po tym, jak się do nich wprowadziłam, mama zmuszała mnie do tego, ale w końcu się poddała. Jest dobra w rezygowaniu z walki. Już od dawna nie byłam na mszy. Jestem pewna, że wszyscy w kościele zauważyli moją nieobecność. Pewnie plotkują o tym, że wrodziłam się w mojego opętanego diabłem ojca.

Na wspomnienie o kościele St. Columbia w oczach mamy Romana pojawia się błysk. Kładzie dłonie na szerokich biodrach i pochyla się ku mnie, kucając przy oknie. Zapach jej lakieru do włosów wypełnia samochód.

– Słyszałam, że to miła społeczność. Byłam tam na jasełkach kilka lat temu. Dyrektor ich chóru jest naprawdę niezwykły, prawda?

Nie mam bladego pojęcia, o kim mówi. Nie jestem pewna, na ile sposobów można zaśpiewać *W żłobie leży* albo *Cichą noc*, ale kiwam głową, jakbym się z nią zgadzała, jakbym była normalną ludzką istotą ucinającą sobie miłą pogawędkę na temat swojego kościoła, a nie tykającą bombą zegarową.

– Moja siostra śpiewa w chórze.

To naprawdę ją uszczęśliwia. Jej uśmiech jest szeroki i bezpośredni, w niczym nie przypomina zdawkowych grymasów Romana.

– Och, to cudownie! Zachęcam Romana, żeby bardziej zaangażował się w działalność kościoła. Miło jest patrzeć na młodych ludzi chwalejących Pana.

Ostatkiem sił powstrzymuję się, żeby nie przewrócić oczami. Szczerze mówiąc, tak naprawdę nie wiem nic o mojej siostrze. Nie rozmawiałyśmy normalnie od jakichś dwóch lat, ale jestem całkiem pewna, że nie chwali Pana. Nie ma czasu na wielbienie kogokolwiek innego poza sobą.

– Naprawdę lubi śpiewać dla innych. – Nie wspominam, że Georgia uwielbia też słuchać własnego głosu.

Uśmiech mamy Romana staje się tak szeroki, że zaczynam się obawiać, iż jej twarz przerwie się na pół. Obraca się, żeby spojrzeć na Romana.

– O, kupiłeś dżdżownice dla Kapitana Nemo.

Roman garbi się, jakby chciał ukryć przed nią kubek. Nie wiem, co chce w ten sposób osiągnąć, ale to i tak nie działa.

– Owszem, kupiliśmy je w drodze powrotnej z baru.

Jego mama obdarza mnie promiennym uśmiechem.

– Jak miło!

Kiwam głową, bo nie wiem, co miałabym powiedzieć. Powstrzymuję się od pytania, kto nazwał żółwia Kapitanem Nemo. Może ona? Wygląda na miłośniczkę zwierząt.

Po kilku sekundach milczenia Roman odchrząkuje i szura nogami.

– Hej, mamó? Dałabyś nam chwilkę?

Jego mama wygląda na zdeorientowaną, a po chwili na jej twarzy pojawia się rumieniec. Wygląda jak ludzie, którzy właśnie ukończyli triathlon albo wspięli się na górską grań. Uśmiecha się do mnie, jakbym była aniołem, który zszedł na ziemię, by ocalić jej nieszczęsnego syna. Myśli, że rozumie, ale zdecydowanie nie rozumie. Nie ma pojęcia. Biedna kobieta.

– Pewnie, do zobaczenia w środku, kochanie.

Zdejmuje mu czapkę i przesuwa palcami po krótkich brązowych włosach. Oddaje mu ją, a w zamian on podaje jej kubek z dżdżownicami.

– Możesz je zabrać? Zaraz go nakarmię – mówi Roman.

– Pewnie. – Ostrożnie bierze od niego kubek, jakby robaki stanowiły jakiś cenny towar. Zanim się odwróci, aby odejść, obdarza mnie ostatnim

uśmiechem. – Miło było cię poznać. Powinnaś wpaść do nas kiedyś na obiad.

– Uhm, byłoby super – kłamię.

Odchodząc, matka Romana woła przez ramię:

– Poszukam nawet jakichś tureckich przepisów! Przygotuję dla ciebie coś tradycyjnego!

Pędzi już w kierunku drzwi, a jej chodaki stukają po asfalcie pokrywającym podjazd.

Próbowałam tureckiego jedzenia tylko kilka razy w życiu, kiedy tatę odwiedzali jacyś przyjaciele spoza miasta. Żona jednego z nich przejęła rządy w kuchni i pamiętam, że zapach oregano, sumaku i oliwy wypełnił cały dom.

– Właśnie dlatego cię potrzebuję – mówi Roman.

– Mówisz o swojej mamie? Wydaje się miła.

Roman kręci głową, zaciskając usta w linijkę.

– Pewnie, jest miła, ale zdecydowanie nadopiekuńcza. Będę potrzebował pomocy, żeby się jej wymknąć, żebyśmy mogli, no wiesz...

To jeden z problemów, z jakimi borykają się nastoletni samobójcy. Trzeba uciec przed czujnym wzrokiem opiekuna na wystarczająco długo, żeby na pewno zdążyć umrzeć, zanim ktoś ich odnajdzie. Nie ma nic gorszego niż ktoś odcinający linę, zanim rzeczywiście zdołasz się udusić, albo wyciągający cię z samochodu, zanim dwutlenek węgla zrobi swoje. Najwyraźniej Roman zorientował się już, że nie może skończyć ze sobą we własnym domu. Matka pilnowała go jak oka w głowie.

– No i nie masz środka transportu – dodają.

Zrozumiałam, że Roman potrzebuje mnie, żebym zawiozła go na miejsce, w którym umrze. Nie przywykłam do tego, żeby ktoś mnie

potrzebował, ale w sumie to mi się nawet podoba. Chciałabym, żeby tkwiący we mnie czarny ślimak pożarł to uczucie. Jest niebezpieczne.

– To też – przyznaje.

– Czemu nie poprosisz Trávisa czy Lance’a? – Mrugam do niego porozumiewawczo. – Obaj mają prawo jazdy, prawda? Mógłbyś ich poprosić, żeby wysadzili cię na moście przy Main. Mógłbyś im powiedzieć, że wybierasz się w podróż. W bardzo długą podróż.

Roman piorunuje mnie wzrokiem.

– Nie uważam, żeby to było zabawne, Aysel.

Kreśli tenisówką linię na trawie. „Wiesz, jak sprawić, żebym poczuła się beznadziejnie, FrozenRobot”.

– Przepraszam – mówię.

– Spędzimy razem trochę czasu w sobotę?

– Czy spędzimy razem trochę czasu?

Chyba jeszcze nigdy w życiu nie spędzałam z nikim czasu. Nawet kiedy przyjaźniłam się z Anną Stevens, nasze spotkania zawsze miały konkretny cel: zebrać i skatalogować jesienne liście, zbudować model samolotu, obejrzeć dokument na temat żuków afrykańskich na PBS.

– Wiesz, co mam na myśli. Czy spotkamy się, żeby to zaplanować – mówi Roman.

Przerzuca baseballową czapeczkę z ręki do ręki, po czym w końcu ją wkłada. To zabawne, ale przez moment udaję, że planujemy coś innego niż wspólne samobójstwo, na przykład napad na bank, jakiś psikus albo nawet coś tak prostego jak prezentacja na lekcję angielskiego. Wyobrażam sobie, że jesteśmy dwojgiem normalnych nastolatków. Że naprawdę go odwiedzę i pozwolę, by jego mama ugotowała mi jakiś turecki posiłek,

że spędzimy wieczór na słuchaniu muzyki i zaśmiewaniu się z głupich filmików w internecie.

Nabieram powietrza w płuca i czuję, jak moja klatka piersiowa się rozszerza. Nie, nie jesteśmy normalnymi nastolatkami. Tak, czarny ślimak wciąż we mnie tkwi, pożerając wszelkie wesołe myśli, na jakie sobie pozwalam.

– Sobota mi pasuje. Wpiszę to sobie do kalendarza jako planowanie dnia śmierci.

Roman rzuca mi uśmiezek. Tym razem nie półgębkiem. Wyciąga komórkę z kieszeni.

– Powinniśmy wymienić się numerami.

Jest coś poetyckiego w fakcie, że pierwszy chłopak, który poprosił mnie o numer telefonu, będzie tym samym, z którym umrę. Założę się, że John Berryman byłby zachwycony. A właściwie to nie. Najprawdopodobniej uznałby, że to bardzo nudne.

Daję Romanowi mój numer i dodaję jego do kontaktów. Zapisuję go pod nickiem FrozenRobot. Zerka na mój ekran.

– Co takiego?

– Dlaczego nie użyłaś mojego imienia?

– Łatwiej mi o tobie myśleć w ten sposób.

Roman znowu kręci głową.

– Powinnaś zrezygnować z prób ułatwiania sobie sprawy. To i tak nie będzie łatwe.

„Wiem, FrozenRobot. Wiem”.

piątek, 15 marca

23 dni do końca



Pan Scott uderza stopą o linoleum pokrywające podłogę, jakby brał udział w przesłuchaniu do roli w sztuce *Czekając na Godota*. Rozbrzmiewa dzwonek na lekcję, a on natychmiast rozpoczyna swoją gadkę:

– Dziś jest jeden z moich ulubionych dni w roku.

Zerkam na datę. Dzień Liczby Pi był wczoraj. Zastanawiam się, co jeszcze może tak ekscytować pana Scotta. Nauczyciel marszczy brwi i przesuwa wzrokiem po klasie. Wszyscy siedzimy zgarbieni w naszych ławkach. Większość stara się udawać, że nie spędza całej lekcji na zerkaniu na zegar. Pan Scott wzdycha.

– Czy nikt nie chce wiedzieć, dlaczego jestem taki podekscytowany?

– Ja chcę, panie Scott – mówi Stacy Jenkins. Odrzuca lśniące kasztanowe włosy i obdarza go markowym lizusowskim uśmiechem.

– Ktoś jeszcze? – zachęca nas pan Scott.

Wszyscy wydają jęk.

– Cieszy mnie, że wasze młode serca wypełnia taki entuzjazm.

Jego sarkastyczny żart nie wypala. Dalej patrzymy na niego pustym wzrokiem, z ustami

lekko rozchylonymi. Założę się, że gdyby ktoś sfilmował zajęcia w liceum w Langston, a potem porównał ten materiał z nagraniem prezentującym mieszkańców oceanu, podobieństwo byłoby uderzające.

– No co tam, panie Scott? – zachęca go Stacy.

Nie przepadam za nią z wielu powodów, ale muszę przyznać, że ma jaja... to jest jajniki, żeby przemawiać do nauczyciela fizyki, jakby był szczeniakiem. Ale panu Scottowi najwyraźniej to nie przeszkadza.

– Dziś zadam wam mój światowej sławy fizyczny projekt fotograficzny!

Po klasie znowu przechodzi fala jęku. Projekty są najgorsze.

– Będziecie go wykonywać w parach.

Więcej jęków. Zapomnijcie o tym, co powiedziałam wcześniej. To grupowe projekty są najgorsze.

– Och, dajcie spokój – mówi pan Scott z uśmiechem. – Moi uczniowie uwielbiają to zadanie.

– Jakie zdjęcia będziemy robić? – pyta Stacy, obracając ołówek między palcami.

– Cierpliwości, Stacy. Zaraz to wyjaśnię – mówi pan Scott i po raz pierwszy wyczuwam cień irytacji w jego głosie.

Zastanawiam się, czy pan Scott marzył o zostaniu nauczycielem fizyki, kiedy był w naszym wieku. Wątpię. Założę się, że wierzył, iż zdobędzie ekscytującą posadę w NASA lub coś w tym stylu. Biedny facet. Niewiele rzeczy jest gorszych od uczenia młodzieży z Langston w stanie Kentucky.

– Wykonacie pięć fotografii, które będą ilustrować zasady zachowania energii w prawdziwym świecie – kontynuuje pan Scott. – Zdjęcia muszą być związane z tematem, który wybieriecie.

– Z tematem? – przerywa mu Tyler Bowen.

– Tak, z tematem – powtarza pan Scott. – W przeszłości uczniowie wykorzystali na przykład grę w koszykówkę. Wszystkie zdjęcia zostały wykonane podczas meczu drużyny z Langston. Inni wybrali na temat parki rozrywki, psy...

– A na przykład robienie zakupów może być tematem? – pyta Tanya Lee.

Pan Scott się krzywi, po czym szybko przybiera neutralny wyraz twarzy.

– Teoretycznie mogłabyś zrobić wszystkie zdjęcia w galerii handlowej.

Tyler Bowen podnosi rękę. To coś nowego, że zgłasza się zamiast po prostu wyrzucić z siebie słowa, które akurat przyszły mu do głowy.

– Tak? – wskazuje na niego pan Scott.

– Czy musimy sami robić zdjęcia, czy możemy po prostu ściągnąć je z internetu?

Kolejny grymas przebiega po twarzy nauczyciela.

– Dobre pytanie. Musicie sami je zrobić. To będzie się składać na dużą część waszej oceny końcowej...

– To niesprawiedliwe – protestuje Stacy. – To nie jest kurs fotografii!

Stacy nie jest tak dobra w udawaniu, że jej narzekania to solidne argumenty jak Georgia, ale i tak dałabym jej piątkę za starania.

– Nie będziecie oceniani za samą jakość zdjęć – wyjaśnia szybko pan Scott. – Ale będę oczekiwał, że... – urywa. – Poczekajcie. Zamiast gadać równie dobrze mogę wam rozdać opis projektu, który lepiej to wszystko wyjaśni.

W klasie słychać szmer, mieszaną jęków i westchnień. Twarz pana Scotta czerwienieje, podczas gdy grzebie w papierach.

– Czy ktoś pomoże mi je rozdać?

Nie ma ochotników.

– Aysel? – pyta błagalnym tonem.

– Eee, pewnie.

Wstaję, chociaż wolałabym najeść się zszywek, niż wchodzić w jakiegokolwiek interakcje z ludźmi z klasy. Rozdaję opisy, unikając nawiązywania kontaktu wzrokowego z kimkolwiek. Nikt też nie próbuje patrzeć na mnie. Za każdym razem, gdy podchodzę do czyjejś ławki, wyczuwam, jak ta osoba sztywnieje, wstrzymuje oddech, czeka, aż sobie pójdę. Mam ochotę wykrzyknąć, że nie muszą się mnie bać, ale coś mnie przed tym powstrzymuje, bo tak naprawdę nie jestem tego pewna.

Wracam do ławki, a pan Scott zaczyna wyjaśniać założenia projektu. Mówi nam, że oczekuje, iż nakleimy zdjęcia na biały pergamin, a następnie

zrobimy z nich broszurkę. Każde zdjęcie powinno być szczegółowo opisane. Mamy przedstawić historię zasady i korespondujące z nią wzory. Będziemy oceniani za przejrzystość fotografii, opisy i wyjaśnienia ujętych w nich zasad. Dostaniemy też punkty za to, jak zorganizujemy broszurkę i jak kreatywnie podejdziemy do tematu. A jeśli nie mamy dostępu do cyfrowego aparatu fotograficznego, możemy go wypożyczyć z biblioteki – pan Scott nie zostawia zbyt wiele miejsca na wymówki.

– Teraz musicie jeszcze tylko dobrać się w pary – mówi w końcu, splatając dłonie. – Myślę, że najsprawiedliwiej będzie urządzić losowanie.

Jak można było się spodziewać, wszyscy zaczynają protestować:

– To totalnie nie fair – mówi Stacy.

– Tak – wtóruje jej Tanya. – Powinniśmy sami móc wybrać sobie partnerów. Zwłaszcza że nasza ocena od nich zależy.

Pan Scott drapie się po karku, powieki mu drgają.

– W latach, w których pozwalałem uczniom wybierać partnerów, projekty były mało oryginalne, a zdjęcia mało inspirujące. Gdy partnerzy byli dobierani losowo, dostawałem bardziej kreatywne prace. Myślę, że ma to związek z tym, że uczniowie opuszczali wtedy swoją strefę komfortu.

Uczniowie dalej się kłóca, ale wszyscy wypisują swoje nazwiska na karteczkach i podają je. Pan Scott sięga na biurko po czapeczkę Cincinnati Reds i wrzuca do niej wszystkie karteczki. Zaczyna wyciągać pary, a jęki stają się coraz głośniejsze. Zaciskam zęby, żałując, że nie byłam wystarczająco sprytna, żeby nie podać swojej

karteczki. Może skończyłoby się na tym, że mogłabym pracować nad projektem sama. I nie musiałabym słuchać, jak mój partner wpada w panikę, słysząc, że jest na mnie skazany.

– Aysel Seran – ogłasza pan Scott, wyciągając moje nazwisko z czapeczki.

W klasie zapada cisza.

– Twoim partnerem będzie Tyler Bowen – kończy radośnie, kompletnie nieświadomy, że jestem tu traktowana jak trędowata.

– O Boże – komentuje Stacy. Wyciąga dłoń, żeby poklepać Tylera po ramieniu. – Tak mi przykro, Ty.

Twarz Tylera pochmurnieje, jakby ktoś właśnie zamordował mu matkę. Chociaż ze względu na historię mojej rodziny chyba powinnam powstrzymać się od takich żartów. Niemal żal mi Tylera. Wiem, że wszelkie kontakty ze mną

zaszkodzą jego pozycji. No ale termin oddania projektu to 10 kwietnia, więc w ostatecznym rozrachunku to nie ma znaczenia. Już mnie tu wtedy nie będzie.

sobota, 16 marca

22 dni do końca



Ostatnie dziesięć minut mojej zmiany w TMC zawsze ciągnie się w nieskończoność. Zastanawiam się, czy zadzwonić do kolejnej osoby z listy, ale to by oznaczało, że faktycznie zależy mi na tym, by być dobrą pracownicą. A nie zależy. Zamiast tego zaglądam na portal Smooth Passages. Czytam więcej ogłoszeń z działu Partnerzy do Samobójstwa. To dziwne, że niektórzy ludzie ogłaszają się

wielokrotnie. Czy nie przypadli im do gustu kandydaci, którzy im odpowiedzieli? Zastanawiam się, czy jeszcze ktoś zgłosił się do Romana. Czy wybrał mnie zamiast kogoś innego? Ta myśl sprawia, że żołądek skręca mi się w sposób, do którego nie jestem przyzwyczajona. Głównie dlatego że nigdy w całym moim życiu nie zostałam wybrana, jeśli istniała inna możliwość. Choć jeśli mam być ze sobą naprawdę szczerą, Roman prawdopodobnie nie miał wyjścia. Willis w stanie Kentucky to kompletne zadupie. Na szczęście dla niego Langston leży tylko piętnaście minut na zachód od zadupia.

– Mówiłam ci, żebyś nie siedziała na portalach randkowych, kiedy jesteś w pracy – gdera Laura.

– Właściwie to co cię to obchodzi, co robię? – szybko minimalizuję okno, zanim zdąży lepiej przyjrzeć się stronie.

Laura skubie polakierowany na różowo paznokiec, i tak już pełen odprysków.

– Nie obchodzi mnie to. Ale muszę ci powiedzieć, że znajdziesz tam samych świrów.

Laura nie ma pojęcia, że trafiła w sedno.

– Dzięki za radę. – Staram się zachować powagę, ale nie udaje mi się to.

Laura kręci głową.

– Tylko nie zwalaj winy na mnie, kiedy twój komputer zaatakuje jakiś wirus. – Wskazuje na monitor.

– Z pewnością poinformuję pana Palmera, że to ja przeglądałam stronę z samymi świrami.

Puszczam do niej oko, po czym podnoszę słuchawkę, próbując powstrzymać śmiech, i wybieram następny numer z listy: pan Earl Gorges zamieszkały przy Rowan Hill Drive.

– Halo? – rozbrzmiewa głęboki głos po drugiej stronie linii.

– Czy mogłabym rozmawiać z panem Earlem Gorgesem?

– Przy telefonie.

– Dzień dobry, panie Gorges, z tej strony Aysel Seran. Dzwonię z Tucker's Marketing Concepts w imieniu firmy Fit and Active Foods. Chciałabym zadać panu kilka pytań.

– Idź do diabła – odpowiada i się rozłącza.

Zwracam się do Laury:

– Ten pan właśnie mi powiedział, żebym poszła do diabła.

Tym razem to ona się śmieje.

Postanawiam pojechać po Romana okrężną drogą. Dłonie zaczynają mi drżeć, kiedy skręcam w Tanner Lane. Unikałam tej ulicy od dnia, gdy wydarzyła się ta historia z moim tatą. Tanner Lane

znajduje się na obrzeżach miasta. Są tu tylko centrum rekreacji i kilka podniszczonych sklepów. Jadę ulicą i pozwalam sobie zerknąć w lewo.

I wtedy to widzę.

Stary sklep spożywczy mojego ojca. Obskurny, szary cementowy budynek nic się nie zmienił, od kiedy został opuszczony, co mówi więcej o jego dawnym stanie niż o obecnym. Władze miasta wciąż dyskutują o tym, żeby go zburzyć. Najwyraźniej kupił go jakiś deweloper i planuje postawić tu jedną z tych eleganckich stacji benzynowych, gdzie można uraczyć się sokiem z kruszonym lodem w każdym kolorze, kupić gorącą pizzę i zatankować. W sklepie taty można było dostać tylko batonik, kubek kawy i gazetę.

Wiem, że powinnam pochwalać plan zburzenia sklepu. Powinnam chcieć zobaczyć, jak wspomnienia obracają się w pył – może jeśli miejsce

zbrodni zostanie usunięte, ludzie zaczną zapominać. Ale nie sądzę, aby tak miało się zdarzyć. A nawet jeśli, to nie chcę, żeby go zniszczono. Tak czy siak, to część mojego dzieciństwa.

Patrzę na budynek i przypominam sobie, jak siadywałam w środku za ladą, obok taty. Dzieliliśmy się snickersem i słuchaliśmy Bacha. Opowiadał mi, że kiedy był młodszy, marzył o tym, by nauczyć się grać na fortepianie. Mówił, że kiedy zarobi wystarczająco dużo pieniędzy, znacznie płacić za moje lekcje gry. Zamierzał wysłać mnie na obóz muzyczny. Chyba sprawy nie ułożyły się po jego myśli...

Parking jest pusty. Podjeżdżam do budynku i gaszę silnik. Wsiadam i przesuвам dłońmi po znajomych betonowych ścianach. Chodzę po krawężniku przed wejściem i szukam miejsca, gdzie wcisnęłam dłonie w mokry cement chodnika,

kiedy miałam dziesięć lat. Gdy tata odkrył, co zrobiłam, w jego oczach zapłonął gniew, a żyła na jego czole napęczniała. Ale potem zaczął się wpatrywać w te drobne odciski, spojrzął na mnie i w końcu wybuchnął śmiechem. Przerzucił mnie sobie przez ramię i powiedział: „W porządku, Zelle. Przynajmniej wszyscy będą wiedzieć, że to miejsce należy do ciebie”.

Zaciskam powieki i przykładam dłonie do starych zagłębień. Są już za małe, ale i tak mam wrażenie, że pasują do nich bardziej niż do reszty świata. Odchylam głowę i powoli otwieram oczy. Niebo jest szare i nieruchome, jakby wstrzymywało oddech. Ja też wstrzymuję oddech i czekam, aż przestanie mnie ścisnąć w gardle. Nie przestaje.

– Tęsknię za tobą, tato – szepczę i spoglądam z powrotem na cementowy krawężnik. – Wiem, że nie powinnam, ale tęsknię.

Mój telefon wydaje dźwięk i widzę, że dostałam wiadomość od Romana. Piszę mu, że jestem już w drodze, i wskakuję z powrotem do auta. Kiedy dojeżdżam do domu FrozenRobota, wysyłam mu esemesa, żeby wyszedł na zewnątrz. Chcę uniknąć kolejnego spotkania z jego mamą. Ale kiedy drzwi się otwierają, widzę, że stoi w nich pani Franklin. Szybkim krokiem podchodzi do mojego samochodu. Wciągam głęboko powietrze do płuc i opuszczam szybę.

– Aysel – wita mnie napiętym głosem. – Tak się cieszę, że tu jesteś.

Kiwam głową, bo nie jestem pewna, co powinnam na to odpowiedzieć. Jej ton wcale o tym nie świadczy.

– Roman nie wstał wczoraj z łóżka i nie chciał pójść do szkoły. Ale właśnie powiedział, że planuje spotkać się z tobą. Czy to prawda? –

Mruży oczy, jakby próbowała ocenić, co Roman we mnie widzi.

Biedna kobieta. Nie ma pojęcia, że to nie mną jest zauroczony jej syn, lecz śmiercią. Raz jeszcze kiwam głową.

– Tak. Zamierzamy spędzić razem trochę czasu – staram się zachować neutralny ton. Obawiam się, że najłżejsze drzenie w moim głosie zdradzi nasz prawdziwy plan, prawdziwy powód, dla którego się spotykamy.

– Gdzie? – Kładzie dłonie na biodrach.

Zapadam się głębiej w siedzenie. Nie przygotowałam się na przesłuchanie. Gorączkowo szukam dobrej odpowiedzi, kiedy Roman staje obok matki.

– Jedziemy na plac zabaw.

Kobieta przenosi wzrok ze mnie na niego i z powrotem. Po jej twarzy przebiega cień

niepokoju. Zaciska usta. Potem uśmiecha się powoli, ale zdawkowo.

– Będziecie grać w kosza?

Spoglądam na Romana. Plecy ma zgarbione, jakby ledwie stał o własnych siłach, jakby przeszkadzał mu własny wzrost. Ale należy do tych osób, które nie mogą stać się niewidzialne, nawet gdyby chciały.

– Tak. Nauczę Aysel rzucać do kosza. – Wskazuje na mnie powolnym, ospałym gestem. Zastanawiam się, czy kiedyś dużo gestykulował, tylko wyszedł z wprawy. – Patrzysz na nową gwiazdę koszykówki.

Zmuszam się do uśmiechu i mogę sobie tylko wyobrazić, jak fałszywie on wygląda.

– Twierdzi, że mógłby nauczyć nawet kota rzucać do kosza, więc podsunęłam mu bardziej opornego ucznia. Mnie.

Pani Franklin śmieje się, ale wciąż wyczuwam w jej głosie wahanie.

– Okej. Cóż, bawcie się dobrze. Ale, Roman...
– kładzie synowi rękę na ramieniu, widzę jej polakierowane na różowo paznokcie – ...zadzwonisz do mnie, jeśli postanowisz wrócić późno?

– Pewnie, nie ma sprawy, mamó.

Obejmuje ją zdawkowo, a ja odwracam wzrok, kiedy kobieta pieszczotliwie mierzwi mu krótko ostrzyżone włosy. Potem macha nam na pożegnanie, wracając w stronę domu. Roman wślizguje się na miejsce pasażera i przez chwilę siedzimy w milczeniu.

– Też się cieszę, że cię widzę – zagajam w końcu.

– Mówiłem ci, żebyś przestała żartować.

– To nie był żart. – Uruchamiam silnik. –
A więc naprawdę zamierzamy spędzić czas na pla-
cu zabaw?

Celowo używam tego samego zwrotu, którym
on się wcześniej posłużył. „Spędzać czas” brzmi
mniej makabrycznie niż: „Gdzie powinniśmy po-
jechać, żeby zaplanować naszą wspólną śmierć?”.

– Pewnie. Stary plac zabaw brzmi okej.

Roman gapi się przez okno i wydaje się jeszcze
bardziej nieobecny, niż kiedy go poznałam.

Opuszczam jego ulicę i skręcam w Main.

– Zapomniałeś, że nie jestem z Willis. Nie
wiem, co masz na myśli, mówiąc „stary plac
zabaw”.

Może Roman zamienia kłamstwa w prawdę
w swojej głowie? Skoro powiedział przyjaciołom,
że poznaliśmy się na starym placu zabaw, w jakiś

sposób wszechświat sprawił, że zaczęło wydawać mu się to prawdą?

– Jedź dalej tą drogą, a potem skręć w prawo, w Possum Run.

Tylko w Willis w stanie Kentucky ktoś mógł nazwać ulicę na cześć oposa.

– To miasteczko coraz bardziej podbija moje serce – oświadczam.

Roman piorunuje mnie wzrokiem.

– Okej, okej. Już nie będę.

– Przerażasz mnie – mówi.

– Dlaczego?

– Tymi swoimi żartami. Sprawiasz wrażenie, jakbyś podchodziła poważnie do całej tej sprawy, ale kiedy tylko zaczynasz o tym mówić, robisz się wesolutka.

Wyrywa mi się śmiech. Taki sam jak podczas rozmów z Laurą. Przenikliwy i tłumiony.

– Widzisz?

– Przepraszam. Śmieję się, kiedy jestem podenerwowana.

– Dlaczego jesteś podenerwowana?

Skręcam w prawo.

– Bo wątpisz w moje motywy. Poza tym przeczytałam kiedyś, że skutkiem ubocznym depresji jest przytłaczająca potrzeba rzucania głupimi żartami.

Roman marszczy brwi.

– Mówię serio.

– Nie sędzę, żeby to była prawda.

– Możesz to sobie sprawdzić.

– Okej, sprawdzę. – Krzyżuje ramiona na piersi i wygląda przez okno. – A więc zamierzasz mi powiedzieć czy nie?

– Co takiego?

Samochód podskakuje na wyboju.

– Dlaczego chcesz to zrobić.

Widzę plac zabaw po lewej stronie ulicy. „Stary plac zabaw” najwyraźniej składa się z kilku zarzewiałych huśtawek, popękanego boiska do koszykówki z koszem z łańcuchową siatką oraz z trzech butwiejących stołów piknikowych. Wygląda na to, że kiedyś była tu piaskownica, ale w końcu piasek został zastąpiony przez żwir. Wszędzie puszki po napojach i torebki po chip-sach. Pod pewnymi względami to miejsce bardziej przypomina cmentarz niż plac zabaw. Jest jak popadające w ruinę świadectwo lepszych czasów. Może dlatego FrozenRobot tak bardzo lubi to miejsce.

Parkuję samochód i spoglądam na niego. Kolana ma przyciągnięte do klatki piersiowej, uderza nimi o deskę rozdzielczą, ale najwyraźniej

mu to nie przeszkadza. Szeroko otwartymi oczami wpatruje się w plac zabaw.

– Ty mi nie powiedziałaś, dlaczego chcesz to zrobić. Nie wiedziałam, że będziemy się sobie spowiadać – atakuję. Czuję ucisk w płucach. To ostrzeżenie, żebym nie dzieliła się z nim żadnymi informacjami, których ujawnienia będę potem żałować.

Roman otwiera drzwi i wysiada z samochodu. Ja siedzę jeszcze przez kilka sekund, mocno zaciskając powieki. Wiem, że to sprzeczne z całą ideą znalezienia partnera do samobójstwa, ale nie chcę zdradzić FrozenRobotowi moich powodów. Nie chcę, żeby zaczął na mnie patrzeć w taki sposób, w jaki patrzą na mnie ludzie w szkole. Jakbym była tykającą bombą zegarową. Podoba mi się to, że Roman uważa, iż jesteśmy do siebie podobni. Lubię mieć kogoś, kto mnie rozumie. Nie

chcę tego zepsuć. Co gorsza, biorąc pod uwagę jego znajomość z Brianem Jacksonem, nie sądzę, żeby lekko potraktował wiadomość o tym, co zrobił mój ojciec. Nie ma mowy, żebym powiedziała, że to mój ojciec jest odpowiedzialny za tragedię, która dotknęła rodzinę Briana – za to, że jego brat nie wystąpił na olimpiadzie. Nie będę ryzykować, że mnie odrzuci. Musi wiedzieć tylko to, że jestem gotowa umrzeć. To powinno mu wystarczyć.

Stuka w szybę z mojej strony. Wsiadam z auta i opieram się o nie.

– Przepraszam – mówi. – Czasami zachowuję się jak dupek, od kiedy... – milknie i przysłania dłonią oczy, spoglądając w niebo. Słońce niemal już zaszło, więc nie wiem, dlaczego to robi. Może to po prostu nawyk. To zabawne – rzeczy, które robimy nawykowo.

– Od kiedy...? – podchwytnę watek.

Roman podchodzi do jednego ze stołów piknikowych i siada na nim. Zajmuję miejsce obok niego i wdycham zapach wilgotnego butwiejącego drewna. Niebo ma kolor zamglonego indygo. Marcowe zachody słońca zawsze takie są w Kentucky. Jakby niebo było zbyt wilgotne, by wyprodukować kolor, który nie byłby jakimś odcieniem niebieskiego.

– Od kiedy umarła.

– Kto umarł? – pytam natychmiast. To prawdopodobnie niezbyt uprzejme z mojej strony, ale uznaję, że standardowe normy społeczne nie mają zastosowania w moich relacjach z FrozenRobotem.

– Moja siostra. Moja malutka siostrzyczka. Miała tylko dziewięć lat.

Obgryzam skórę wokół paznokcia kciuka i wpatruję się w profil Romana. Przyciągnął kolana do podbródka i złożył się jak krzesło.

– Była bardzo młoda. – Przez chwilę myślę o Mike’u. Ma dziewięć lat, prawie dziesięć.

– Za młoda.

– Siedemnaście lat to też młody wiek – zauważam.

– Będziesz teraz próbowała mnie przekonać, żebym tego nie robił?

– Nie. Po prostu chciałam powiedzieć, że nie wydaje mi się, byś musiał umierać tylko dlatego, że ona umarła. Jest tyle...

Przerywa mi:

– Ona nie żyje przeze mnie. – Jego głos przypomina warkot.

Odsuwam się od niego.

– Jak to?

Jego ramiona drżą, kiedy głośno wypuszcza powietrze z płuc.

– Któregoś wieczoru robiłem za opiekunkę do dzieci. Ale tak naprawdę jej nie pilnowałem, rozumiesz?

Nie rozumiem, ale oczywiście mu tego nie mówię. Nieznacznie kiwam głową, zachęcając, żeby mówił dalej.

– Była u nas moja dziewczyna i Madison... tak miała na imię moja siostrzyczka... – Roman kilka razy oddycha z trudem i boję się, że zaraz zacznie płakać. Nigdy nie wiem, jak się zachować, kiedy ludzie płaczą. Nie płakałam, od kiedy skończyłam dziesięć lat. Myślę, że to dlatego, że czarny ślimak wysysa wszystkie moje łzy. Ale Roman ciągnie: – Madison chciała wziąć kąpiel, a ja jej pozwoliłem. Tylko... widzisz, Maddie miewała ataki.

Naprawdę paskudne ataki. Więc tak naprawdę nie powinna sama się kąpać.

– Yhm – chrząkam, posługując się telemarketin-
gową sztuczką Laury.

– Ale ja chciałem, no wiesz... z Kelly...

– Czekał – mówię. – Kelly to była ta kelnerka,
która nas obsługiwała?

Roman kręci głową.

– Nie. To była Suzie.

– Ale przecież Travis zasugerował, że
spotykałeś się z Suzie.

– To było wieki temu.

– Miałeś kilka dziewczyn? – Staram się nie gap-
ić na niego z otwartymi ustami.

– Naprawdę to teraz ważne? – Roman wyrzuca
ręce w powietrze. – Opowiadam ci tę historię, a ty
zadajesz mi takie pytanie?

Wzruszam ramionami i z powrotem zaczynam obgryzać kciuk. Kopię w nogę stołu piknikowego. Trzęsie się i przez chwilę wygląda na to, jakby miała się złamać.

– Mów dalej.

– Nie zamierzasz mnie przeprosić?

– Nie wydaje ci się, że to już nic nie znaczy? To słowo? Zwłaszcza gdy każesz mi je wypowiedzieć?

Roman ściąga brwi, jakby naprawdę rozważał, czy słowo „przepraszam” ma jeszcze jakąś moc. Robi mi się głupio, że tak go potraktowałam, więc mówię:

– Masz rację, przepraszam.

– Ta, okej. – Wraca do swojej pozycji złożonego krzesła. – No więc w każdym razie powiedziałem Maddie, że może wziąć kąpiel, bo byłem idiotą i myślałem tylko o tym, że zyskamy w ten

sposób z Kelly piętnaście minut dla siebie. Więc poszliśmy z Kelly do mojego pokoju, a ja włączyłem muzykę, naprawdę głośno, żeby Maddie nas nie słyszała... No wiesz...

Naprawdę nie wiem. W sumie to jestem zdumiona, że FrozenRobot najwyraźniej uważa, iż kiedykolwiek uprawiałam seks.

– No więc Kelly i ja... – Roman obdarza mnie zażenowanym spojrzeniem i porusza dłońmi przy bokach. Łapię niewerbalny przekaz. – A potem wyszedłem z sypialni, żeby sprawdzić, co u Maddie, i... – jego głos załamuje się i słyszę, jak tłumiszloch – ...znalazłem moją siostrę martwą w wannie. Utonęła w trakcie ataku. Jeśli krzyczała, wołając o pomoc, nie słyszałem jej, bo byłem zbyt zajęty figlowaniem z moją głupią dziewczyną.

Jakby ktoś dźgnął mnie łopata w pierś. Nabieram powietrza w płuca, próbując przetrwać to, co

właśnie mi wyznał. Wiem, że powinnam wyrazić swoje współczucie, powiedzieć coś miłego i pocieszającego, ale czarny ślimak zamieszkujący we mnie pożarł wszelkie pokrzepiające słowa, jakie mogłabym z siebie wydusić. Zamiast tego więc wypalam:

– Ale co to ma wspólnego z prowadzeniem samochodu? Myślałam, że brałaś udział w jakimś strasznym wypadku samochodowym czy coś.

Roman podrywa głowę i widzę, że ma zaczerwienione oczy. Zeskakuje ze stołu.

– Wiesz co, zapomnij. Myślałem, że mogę to z tobą zrobić niezależnie od tego, jak dziwna i pokręcona jesteś. Ale nie sądzę.

– Roman, proszę. – Staję na ławce i spoglądam na niego z góry. – To nie fair. Nie wiem, czego ode mnie oczekujesz.

Roman przesuwa palcami po włosach. Nie chce na mnie patrzeć. W zamian wlepia wzrok w błotnistą ziemię.

– Oczekuję, że nie będziesz się ze mnie nabijać.

– Nabijać się z ciebie? W jaki sposób się z ciebie nabijam? To ty właśnie powiedziałeś, że jestem pokręcona.

– Nie uważasz, że jesteś pokręcona?

– Wiem, że jestem pokręcona.

Roman klaszcze powoli.

– Dziękuję, panie i panowie. Przynajmniej co do tej jednej rzeczy się zgadzamy.

Zeskakuję na ziemię i staję obok niego. Powstrzymuję chęć, by złapać go za ramię.

– Daj spokój. Wciąż możemy to zrobić. Po prostu nie wiedziałam, co powiedzieć. Nie jestem psychiatrą.

– Najwyraźniej – mówi i potrząsa głową. Na jego usta powoli wypływa krzywy uśmiech.

– Chciałeś, żebym ci współczuła?

Podchodzę do huśtawek, chwytam za łańcuchy i opadam na metalowe siedzisko pokryte resztkami farby. Zaczynam odpychać się nogami, by szybko rozbujać się jak najwyżej. Może gdybym odepchnęła się wystarczająco mocno, poleciałabym w powietrze, a moja energia kinetyczna wypchnęłaby mnie z tego wszechświata? To mało prawdopodobne, ale pomarzyć można.

Roman nie odpowiada, więc mówię:

– Ja nie współczuję nikomu.

– Dlaczego? Bo niczyje życie nie może być gorsze od twojego?

Roman siada na huśtawce obok mnie, ale nie próbuje się rozbujać. Huśtawka lekko porusza się pod ciężarem jego ciała.

– Nie – mówię. – Po prostu uznałam, że już cały świat ci współczuje. Ewidentnie nie szukasz kogoś, kto będzie robił to samo, co wszyscy.

Huśtam się coraz wyżej i wyżej i czuję, jak huśtawka trzeszczy.

– Uważaj – mówi.

– Dlaczego?

Nie myślę o ostrożności. Myślę o tym ostatnim bujnięciu, o tym, aby wypuścić łańcuchy z dłoni, wylecieć w powietrze i spaść.

– Nie wolno ci umrzeć beze mnie – szepcze.

sobota, 16 marca

22 dni do końca



Roman prosi mnie, żebym podjechała do Crestville Pointe. To park leżący na wzgórzach nad rzeką Ohio. Na jednym jego skraju znajdują się skaliste klify i Roman wbił sobie do głowy, że to idealne miejsce, by się zabić. Ja nie jestem co do tego przekonana.

– A co, jeśli upadek nas nie zabije? – pytam. –
Jeśli pozostaniemy przy życiu jeszcze przez

godzinę, w wodzie, jęcząc i znosząc oślepiający ból? Mogłoby minąć dużo czasu, zanim rzeczywiście umrzemy. Nie chcę długiej, bolesnej śmierci. Nie na to się pisałam.

– Jesteś naprawdę pokrecona. Wiesz o tym? – komentuje Roman, idąc ścieżką obok mnie.

Próbujemy znaleźć najłatwiejsze dojście do klifów. Parkowi strażnicy starają się ten dostęp utrudnić. Głównie dlatego, że nie chcą, by nastolatki skakały z urwiska dla zabawy, bo to może grozić śmiercią. Ja wolałabym, żeby pomijali słowo „może”.

– Myślałam o tym dłużej niż jedenaście miesięcy – mówię mu. – Pewnie, że jestem pokrecona. Ale mam też więcej spostrzeżeń na ten temat.

– Nie wyjeżdżaj mi tu z tymi jedenastoma miesiącami. Chcę tego tak samo jak ty. Poza tym

nie masz pojęcia, jak to jest żyć z takim poczuciem winy – mówi Roman lodowatym tonem, wspinając się na wzgórze. Praktycznie biegnie i z trudem za nim nadążam.

– Masz rację. Nie wiem. Ale ty też głównie o mnie wiesz – ledwie wypluwam te słowa.

Pochyliłam się i chwytam za bok, ciężko oddychając. Naprawdę powinnam spędzać więcej czasu na świeżym powietrzu. Chłodna trawa laskocze mnie w kostki, wkradając się w szczelinę między nogawką dzinsów a trampkami. Dzinsy są na mnie trochę za krótkie, ale wolałabym najeść się tłuczonego szkła, niż iść na zakupy z mamą i Georgią. Uznaję, że przetrwam jeszcze kilka tygodni bez nowych spodni.

– Nie wiem nic o tobie, bo nic nie chcesz mi powiedzieć – zauważa Roman. W ogóle nie ma zadyszki. Niech go szlag.

Wskazuję na ścieżkę wydeptaną w trawie.

– Założę się, że jeśli pójdziemy tędy, zbliżymy się do wody.

Idzie za mną po trawie. Ściemnia się i właściwie nie widać, co mamy pod stopami. Zastanawiam się, czy jak na ironię nie spadniemy z klifu przypadkiem. To byłby ostateczny żart ze strony wszechświata: nie możesz zaplanować swojej śmierci, nawet jeśli próbujesz.

Ścieżka powoli skręca z powrotem w stronę drzew. Otaczają nas ciemne, grube pnie, mi-ażdżymy podeszwami liście i gałązki. Niemal potykam się o wystający korzeń i Roman mnie podtrzymuje. Problem z rzeką Ohio polega na tym, że nie wydaje żadnych dźwięków. Żadnego plusku czy bulgotania. Mimo wszystko wiem, że się zbliżamy – czuję jej zapach i niemal smak zimnej, stęchłej wody. Wilgotne leśne podłoże przechodzi

w kamienie. Dotarliśmy na skraj parku. Wpatrujemy się w rzekę; słysząc tylko szczebiot kilku ptaków.

– Nie rozumiem, dlaczego nie chcesz mi nic powiedzieć – przerywa milczenie Roman.

– Dlaczego jesteś taki ciekawy? Czy to w ogóle ma znaczenie, dlaczego chcę umrzeć?

– W pewnym sensie tak – odpowiada.

– Dlaczego?

– Bo jeśli z głupiego powodu, spróbowałbym cię przekonać, żebyś tego nie robiła.

Śmieję się.

– Nie zrobiłbyś tego.

– Owszem, zrobiłbym.

– Nie, bo straciłbyś szofera. Pamiętasz? Nie dasz rady sam uciec od najdroższej mamuśki. Swoją drogą tego mi nie wyjaśniłeś.

Mimo że słońce już nie świeci, Roman znowu osłania oczy dłońmi, spoglądając w niebo. Stoimy wystarczająco blisko siebie, bym widziała dziury w kołnierzyku jego czarnego T-shirtu. Jego obojczyk ostro odznacza się pod skórą; chłopak jest szczuplejszy, niż sądziłam.

Przyłapuje mnie na tym, że się na niego patrzę, i odchodzi nieco, żeby zachować dystans.

– Po śmierci Maddie rodzice wysłali mnie na terapię. Mnóstwo terapii. Lekarze zasugerowali im, żeby zabronili mi prowadzić samochód, bo obawiali się, że nie będę w stanie skupić się na teraźniejszości. Zasugerowali też, żeby nie zostawiano mnie samego bez nadzoru. Najwyraźniej przebywanie w całkowitej samotności wpędza ludzi w większą depresję, ale z tego, co zauważyłam, moje uczucia w związku ze śmiercią

Maddie nie zależą od tego, czy jestem sam, czy nie.

Terapia. Tuż po tym, jak aresztowano mojego ojca, władze szkoły zmusiły mnie do odwiedzania psycholożki trzy razy w tygodniu. Ale spotkania nie były produktywne. Po prostu siedziałam tam, nuciłam utwory muzyki klasycznej i wpatrywałam się w jej ogromną kolekcję roślin doniczkowych. W końcu zrezygnowała z prób nawiązania ze mną kontaktu.

– Co takiego? – pyta.

Musiałam zrobić jakąś minę.

– Nic. Mnie też posłano kiedyś do psychologa, więc uznałam, że to zabawne, że terapia nie pomogła i tobie.

– Zabawne?

– Nie zabawne. Ironiczne.

– Nie jestem pewien, czy poprawnie używasz słowa „ironiczny”, ale wyglądasz na mądrzejszą ode mnie, więc ci zaufam.

– Zaufasz mi?

Roman nie odpowiada. Siada niedaleko krawędzi, potem kładzie się i zakłada ręce za głowę. Siadam obok niego i przyciągam kolana do podbródka.

– Chcesz umrzeć w wodzie ze względu na to, jak ona umarła?

Roman zamyka oczy i nieznacznie kiwa głową.

– To wydaje się sprawiedliwe.

– Możemy to zrobić tutaj, jeśli chcesz. Po prostu się tego boję. – Puszczam kolana i dotykam dłonią ziemi. Wyczuwam pod palcami szorstkie kamienie.

– Jestem pewien, że to normalna reakcja.

Głośno wypuszczam powietrze z płuc.

– Nie boję się samego aktu odebrania sobie życia.

– Och, a więc jesteś taką twardzielką, że myśl o skoczeniu z tego klifu nawet odrobinę nie wytrąca cię z równowagi? – Roman przekręca się na bok, żeby na mnie popatrzeć.

– Okej, może jestem trochę przestraszona. Ale bardziej boję się tego, co będzie potem.

Roman z powrotem kładzie się na plecach.

– Chodzi ci o to, co się z nami stanie po śmierci?

Nabieram garstkę żwiru i pozwalam, by przesyłała mi się między palcami.

– Ty nigdy o tym nie myślisz? A co, jeśli to nie jest koniec i trafimy do miejsca, które będzie jeszcze gorsze niż to?

Roman siada, bierze kamyk i ciska nim w czołość. Wydaje się, jakby kamyk rozpląnął się

w powietrzu, zanim zdążył uderzyć w wodę. Był za mały, żebyśmy mogli usłyszeć plusk.

- Każde miejsce musi być lepsze niż to.
- Ale myślisz, że można naprawdę umrzeć?

Twarz mu kamienieje, mięśnie szczęk napinają się, a oczy błyszczą, jakby płonęły. Zastanawiam się, czy FrozenRobot wyglądał inaczej, zanim Maddie umarła. Z tymi kasztanowymi włosami, czystą cerą i mocną szczęką zdecydowanie można go uznać za klasycznie przystojnego. Wiecie, przystojnego w oczywisty sposób. To taki koleś, który wygrywa castingi do reklam o nastolatkach robiących zakupy przed rozpoczęciem kolejnego roku szkolnego. Moglibyście spotkać go gdziekolwiek i sama jego twarz powiedziałaaby wam, że był popularny w liceum. Tak, Roman jest jedną z takich osób. Ale im dłużej na niego patrzę, tym bardziej oczywiste dla mnie jest, że coś

odróżnia go od Tylerów Bowenów i Toddów Robertsonów mojego świata. Cofam to, co pomyślałam, kiedy go poznałam – FrozenRobot ma w sobie coś lodowatego. Wszystkie jego miny i ruchy są pełne napięcia, jakby został wykuty w kamieniu, zamknięty w lodowej komnacie i dopiero niedawno przywrócony do życia. Nie wiem, jak to opisać, ale dostrzegam żal spowijający go niczym pęta, których nigdy nie będzie mógł zrzucić. Próbuję go sobie wyobrazić bez niego, bez tego ciężaru, bez chłodu, ale trudno jest nie widzieć w nim rozpaczliwie smutnego człowieka. Owszem, wygląda jak ktoś, kto miał być popularny i odnosić sukcesy, ale wygląda też na kogoś, kto został stworzony do noszenia żałoby. Do twarzy mu z nią.

– Jak możesz w ogóle o to pytać? – Jego głos sprowadza mnie na ziemię. – Oczywiście, że

można umrzeć. Maddie umarła. Jest martwa. Nie ma jej.

Wzruszam ramionami i pocieram powierzchnię żwiru wnętrzami dłoni. Ostre krawędzie kaleczą mi skórę.

– Dużo myślałam o energii wszechświata. Skoro nie można jej stworzyć ani zniszczyć, tylko przenieść, jak myślisz, co dzieje się z energią ludzi po ich śmierci?

Roman kręci głową, wstaje i podchodzi do krawędzi. Staję za nim. Patrząc w dół na rzekę, próbuję sobie wyobrazić, jakie to będzie uczucie, kiedy uderzę w powierzchnię wody. Rzeka Ohio płynie tak powoli, leniwie, woda w ogóle nie jest wzburzona. Może otuli mnie mocno i wycisnie całe powietrze z moich płuc. Może poczuję, jakby coś kołysało mnie do snu. Może zostanę

wciągnięta pod powierzchnię i wszystko stanie się czarne i będzie przypominać sen. Może.

– Zdecydowanie można umrzeć – Roman powtarza swój wcześniejszy argument. – Maddie nie żyje. Nie widzę nigdzie jej energii.

– To, że jej nie widzisz, nie oznacza, że zniknęła.

Roman podnosi kolejny kamyk i rzuca go w przepaść.

– Musisz przestać o tym ze mną rozmawiać. Ciarki mnie od tego przechodzą.

– Mnie też – mówię cicho.

– Muszę myśleć, że kiedy umrzemy, będziemy martwi. Nie mogę rozważać innych możliwości.

– Okej – zgadzam się, że przestanę o tym mówić, ale to nie oznacza, że będę w stanie przestać o tym myśleć.

Wpatrujemy się w rzekę w milczeniu. Znowu wyobrażamy sobie śmierć w wodzie.

poniedziałek, 18 marca

20 dni do końca



Poniedziałkowy poranek to prawdopodobnie mój najmniej ulubiony moment tygodnia. Nie mogę nawet pospać z piętnaście minut dłużej, bo Georgia zawsze wstaje wyjątkowo wcześnie, żeby przetrząsnąć całą swoją szafę. Boże broń, żeby wybrała nieodpowiedni strój. Najwyraźniej to, jak się zaprezentujesz w poniedziałek, jest naprawdę ważne. Wedle Georgii to, co wtedy włożysz,

determinuje przebieg reszty tygodnia. Jeśli na przykład ubierzesz się naprawdę ładnie i dostaniesz mnóstwo komplementów w poniedziałek, to zdasz test z algebry w czwartek. Naprawdę nie sędzę, żeby wielomiany miały cokolwiek wspólnego z pantoflami na koturnie czy obcisłymi dżinsami, ale Georgia jest o tym święcie przekonana. Całe szczęście, że ja codziennie noszę to samo – szare T-shirty w paski z długim rękawem, czarne dżinsy, szare trampki. Nie ma szans, żeby cokolwiek w moim życiu poszło inaczej niż zawsze.

– Aysel – syczy Georgia. – Aysel, obudź się.

– Georgia – jęczę i przewracam się na bok. Wciskam twarz w poduszkę w nadziei, że ją zagłuszę. – Naprawdę mnie nie obchodzi, czy włożysz fioletową sukienkę z dzianiny czy

czerwoną spódnicę ołówkową. Jestem pewna, że i tak wszyscy stwierdzą, że wyglądasz pięknie.

Słyszę skrzypienie w nogach łóżka. Georgia zaczyna mnie dźgać palcem w bok, a ja wiję się, próbując przed nią uciec, ale nogi mam zaplątane w kołdrę.

– Co, do cholery?

– Obudź się! – Georgia zrywa się z mojego łóżka i zaczyna przechadzać po pokoju. – Wyjrzyj przez okno.

Pocieram skronie. Zamierzałam pospać jeszcze co najmniej piętnaście minut. Dwadzieścia, gdybym zrezygnowała ze szczotkowania włosów. Wzdycham jednak i zwlekam się z łóżka. Zataczając się, docieram do małego okna znajdującego się na samym środku tylnej ściany sypialni. To okno wyznaczało linię demarkacyjną dzielącą nasz pokój przez ostatnie trzy lata – lewa strona dla

mnie, prawa strona dla Georgii. W jej części dominują strony wyrwane z magazynów modowych, jej zdjęcia z przyjaciółmi i jej kolekcja solniczek. Ma dziwną obsesję na punkcie nietypowych solniczek w kształcie sówek, ciężarówek i wilków. Wynajduje je w sklepach z używanymi rzeczami. Moja ściana jest pusta.

– Popatrz – poganiam mnie, wskazując na okno.

Wyglądam na zewnątrz i widzę, że trawa jest przykryta warstwą śniegu. Mrugam, bo słońce świeci jasno i sprawia, że całe podwórze połyskuje w jego blasku. Śnieg piętrzy się przy pniach dębów i z tego, co widzę, musiało go napadać co najmniej dziesięć centymetrów.

– Niesamowite, prawda?! – woła Georgia, klaszcząc w dłonie. – Odwołali lekcje!

– W marcu nigdy nie pada śnieg – mówię.

– Raz padał, kiedy byliśmy małe. Pamiętasz?

Pamiętam. To był dobry dzień. Mogłam mieć najwyżej dziewięć lat, Georgia musiała mieć siedem, a Mike – dwa. Tata przywiózł mnie tutaj, żebym spędziła dzień z mamą, bo mimo wszystko chciał otworzyć sklep. Miał nadzieję, że skoro dzieciaki nie muszą iść do szkoły, zwiększy mu się ruch. Tego ranka mama zrobiła nam naleśniki z dropsami czekoladowymi, a potem spędziliśmy resztę dnia na lepieniu bałwana na podwórku i zjeżdżaniu z górki przy Vine Street. Czuliśmy się wtedy jak prawdziwa rodzina, a ja przez te kilka godzin nie byłam intruzem, który przyjeżdża z wizytą tylko w weekendy. Ale to było dawno temu.

Milczymy przez chwilę. Ja gapię się przez okno na świeży śnieg, a Georgia na mnie. Już nie wiemy, jak ze sobą rozmawiać.

– Chyba wrócę do łóżka – mówię.

Właśnie to oznacza teraz dla mnie śnieg. Nie naleśniki czy lepienie bałwana, ale parę dodatkowych godzin w łóżku. W samotności.

Słyszę, jak Georgia wydaje z siebie dźwiękowy ekwiwalent zmarszczenia brwi – prychnięcie połączone z narzekaniem:

- Wciąż jesteś zmęczona po sobotniej nocy?
- Co?
- Wróciłaś późno – wyjaśnia.

Zwałam się z powrotem na łóżko i naciągam kołdrę na twarz. Nie zamierzam rozmawiać z Georgią o Romanie. Za żadne skarby świata. Ale Georgia znowu siada w nogach mojego łóżka.

- Z kim byłaś? Masz teraz chłopaka czy coś?

Nie potrafię powstrzymać śmiechu. Jeśli mam chłopaka, ma na imię Śmierć. Jestem całkiem pewna, że Roman też jest w nim zakochany. To jak jakiś pokręcony trójkąt miłosny. A może to

najlepszy z trójkątów. Oboje zdobędziemy nasz obiekt westchnień siódmego kwietnia.

Georgia wzdycha i czuję, jak materac porusza się, gdy wstaje z łóżka.

– W porządku, śmieję się ze mnie. Po prostu próbowałam porozmawiać ze starszą siostrą. Przepraszam, że się staram.

Och, a więc teraz chcesz ze mną rozmawiać? Znowu mam ochotę się roześmiać. Co za ironia. Georgia jest zainteresowana rozmową ze mną tylko wtedy, gdy śnieżne zaspasy utrudniają jej dostęp do przyjaciół.

– Z przyrodnią siostrą – poprawiam ją i przez sekundę czuję się głupio. Ale potem czarny ślimak przybywa mi na ratunek.

– Jesteś niemożliwa – kwituje, wzdychając. Gdybym nie znała jej lepiej, pomyślałabym, że jest

smutna. – Do twojej wiadomości: mama zrobiła naleśniki.

Słyszę, jak zatrzaskuje za sobą drzwi. Kilka sekund później otwiera je znowu.

– Och, i jeszcze jedno. Steve... – wymawia to imię w dokładnie taki sposób, jak ja to zawsze robię, rozciągając sylabę jak gumkę. Milknie na chwilę, a potem kontynuuje: – Tak, Steve jest w pracy. Sparkle nie zamknęło dziś fabryki.

– Chciałaś powiedzieć „twój tata” – poprawiam ją znowu. – Twój tata jest w pracy.

– Tak, mój tata. Ten, którego z niezrozumiałych przyczyn nienawidzisz. Ten, który dał ci dach nad głową.

Mam tego dość. Odrzucam kołdrę i siadam na łóżku.

– Jak wspaniałomyślnie z jego strony. I nie nienawidzę go, Georgia.

– Nie? Cóż, ale zachowujesz się tak, jakbyś go nienawidziła. Mam już dość tego, że każdego dnia użalasz się nad sobą z powodu tego, co zrobił twój ojciec. Zdradzę ci wiadomość z ostatniej chwili: nie jesteś swoim ojcem. I powinnaś przestać obwiniać wszystkich wokół za to, co zrobił. Ze sobą włącznie.

„Gdyby jeszcze wszyscy wokół przestali obwiniać mnie”, myślę sobie. Gniewnie wykrzywiam twarz, mając nadzieję, że zostawi mnie w spokoju, ale ona nie rusza się z miejsca. Gapi się na mnie z dłońmi opartymi na szczupłych biodrach. Odwzajemniam to spojrzenie, próbując zrozumieć, jak to możliwe, że jesteśmy choćby przyrodnimi siostrami. Z jasną skórą, miodowymi włosami i drobnym noskiem Georgia wygląda na typową uczestniczkę konkursu piękności z Kentucky. Jest jak słońce, a ja jestem jak pokryty kraterami

ponury księżyc. Jedyne, co mamy ze sobą wspólnego, to oczy. Obie odziedziczyłyśmy ciemne oczy mamy o migdałowym kształcie. W tej chwili Georgia ma włosy zaplecione w warkocz. Ma na sobie męskie bokserki i przyduży podkoszulek Kentucky Wildcats. Zastanawiam się, czy zrezygnowała ze swojej poniedziałkowej zasady. Chcę to skomentować, ale zanim zdążę, ona mówi:

– Po prostu chciałabym, żebyś nie była taka smutna przez cały czas, Aysel.

„Ja też bym tego chciała, Georgia. Ja też”.

Oddycham głęboko i wstaję z łóżka.

– Spotkamy się na dole przy śniadaniu. Pozwól tylko, że umyję zęby.

Georgia uśmiecha się, jakbym właśnie jej powiedziała, że śpiewająco zaliczyła test z algebry, i w podskokach opuszcza pokój. Ja chyba nie

podskakiwałam od ostatniego razu, kiedy śnieg padał w marcu.

Idę korytarzem do łazienki i wyciskam trochę pasty na szczoteczkę. Zabieram szczoteczkę z powrotem do naszego pokoju i szoruję zęby, spoglądając przez okno. Podśłuchuję rozmowę mamy z Georgią i Mikiem w kuchni.

– Zaraz zejdzie – mówi Georgia.

– Och, świetnie! – woła mama. – Tak się cieszę, że przekonałaś ją do wstania z łóżka.

Zapach syropu klonowego wypełnia cały dom. Słyszę, jak Mike uderza pięściami w kuchenny stół.

– Tylko dodaj więcej czekoladowych dropsów – mówi. – Aysel uwielbia czekoladowe dropsy.

Serce wzbiera mi wzruszeniem i czekam, aż czarny ślimak mi je odbierze, ale tego nie robi. Pozwala mi je zachować. Wzruszenie zamienia się

w ostry ból – będzie mi trudniej ich zostawić, niż sądziłam.

Wkładam kapcie i schodzę po schodach, marząc o tym, żeby każdy dzień był taki jak ten. Gdyby każdy dzień był taki, nie sądzę, bym tak bardzo chciała odejść. Problem polega na tym, że śnieg w marcu graniczy z cudem. A nie można żyć w oczekiwaniu na cud.

środa, 20 marca

18 dni do końca



Tyler Bowen czeka na mnie przy stoliku w szkolnej bibliotece. Byłam pewna, że oleje całą sprawę, ale najwyraźniej czasami się mylę co do ludzi. Biblioteka przypomina raczej centrum medialne. Ulokowaną w środkowej części budynku przestrzeń wypełniają komputery, stoliki i liche plastikowe półki na książki. Na tylnej ścianie niedawno powieszono bannery z Brianem

Jacksonem – te same, które wiszą w siedzibie TMC. Nie mogę przed nimi uciec.

– Cześć, siostró Georgii – wita mnie Tyler, gdy dosiadam się do niego.

– Wiesz, że mam własne imię, prawda?

Otwieram plecak i wyciągam z niego zeszyt do fizyki. Na bladej twarzy Tylera wykwita rumieniec, a jego piegi stają się przez to jeszcze bardziej widoczne.

– No co?

Zdejmuję skuwkę z długopisu i stukam nim w blat stołu.

– Nie wiem, jak się je wymawia.

Śmieję się, a on czerwieni się jeszcze bardziej.

– To nie jest zabawne – mówi, wlepiając wzrok w swoje buty. – Masz dziwne imię. Twój tata je wybierał?

Mrugam, nieco zaskoczona, że z własnej woli poruszył ten temat.

– Raczej mama. Ale nie jestem pewna.

– No więc jak się je wymawia?

– *Uh-zell*.

– Rozumiem, Aysel – akcentuje przesadnie, ale to zawsze jakiś początek.

– Naprawdę nie wiedziałeś, jak wymawiać moje imię?

– Mniej więcej wiedziałem, ale nie byłem pewien. Wiesz, to nie jest łatwe słowo.

– W porządku. – Wzruszam ramionami. Dociera do mnie, że sama postrzegam siebie tak, jak widzi mnie Tyler Bowen: jako nieznaną zmienną. – Chyba powinniśmy zacząć, nie?

– Tak, pewnie tak. – Przeczesuje dłonią kasztanowe włosy.

Ciekawe, czy wydaje mu się, że dzięki temu wygląda układnie.

– Masz jakieś pomysły?

Obgryzam końcówkę długopisu. Mnie bowiem zdecydowanie brakuje ogłady.

Tyler nie odpowiada. Odchyła się na krzesło i macha do jednego z kumpli z drużyny koszykarskiej, który właśnie wszedł do biblioteki. Kolega woła coś do niego, ale zostaje uciszony przez panią Silver, bibliotekarkę.

– Daj mi chwilkę, dobrze? – prosi.

– Jasne...

Patrzę, jak biegnie na spotkanie przyjaciół. Widzę, że szepczą coś między sobą i wskazują w moją stronę. Tyler przestępuje z nogi na nogę i wzrusza ramionami. Zapewne wyjaśnia, że został zmuszony do współpracy ze mną.

– Do zobaczenia, człowieku – słyszę jednego z jego kumpli.

– Ta, powodzenia – dodaje drugi.

Tyler wraca do stolika, ale powoli, jakby chciał pokazać, że traktuje to wszystko jako karę, że nie ma wyboru.

– Przepraszam – mówi.

Wzruszam ramionami.

– Nie ma za co. Po prostu wracajmy do pracy.

– Pewnie, Aysel.

– Nie musisz teraz wymawiać mojego imienia przy każdej możliwej okazji.

Sięgam do plecaka i wyciągam podręcznik do fizyki. Pozwalam, żeby z trzaskiem upadł na blat.

– No więc, wymyśliłeś jakiś temat dla naszego projektu?

– Temat?

Tyler Bowen najwyraźniej nie uważa na lekcjach.

– Tak, temat. Pan Scott powiedział, że każdy projekt musi mieć konkretny temat.

– Ach, ten temat. – Chłopak wyciąga przed siebie długie nogi. – Może by tak koszykówka?

Patrzę na niego nierozumiejącym wzrokiem.

– Mówisz poważnie?

– No pewnie! – Pochyliła się nad stołem w moją stronę. – Pan Scott podał to jako przykład. Musi uwielbiać ten temat.

– Albo chciał podkreślić, że wykorzystano go już setki razy. Powinniśmy być kreatywni.

Sama jednak nie wiem, dlaczego przejmuję się tym projektem. Przecież moja ocena nie ma znaczenia. Już mnie tu nie będzie, kiedy będziemy musieli oddać pracę. Ale chcę to zrobić porządnie – ze względu na pana Scotta. Nawet jeśli nie będę

mogła zobaczyć jego reakcji, chcę, aby wiedział, że traktowałam jego zajęcia poważnie.

Otwieram więc zeszyt na pustej stronie. Stukam długopisem w kartkę, mając nadzieję, że wpadnę na jakiś pomysł.

– Co masz na myśli, mówiąc „kreatywni”? – Tyler wymawia to słowo, jakby brzmiało dla niego równie obco jak moje imię.

– No, oryginalni. Może pojedziemy do zoo czy coś? – notuję swój pomysł.

Tyler robi minę.

– Do zoo? Przecież to miejsce dla małych dzieci.

– Och, daj spokój. Założę się, że je uwielbiałeś.

– Owszem, kiedy miałem jakieś jedenaście lat. – Znowu przygładza włosy.

Trzeba mu przyznać, że są lśniące i wyglądają na miękkie. I najwyraźniej Tyler zdaje sobie z tego sprawę.

– Zoo to doskonały temat – ciągnę. – Jest tam mnóstwo okazji do zrobienia zdjęć. Na przykład nietoperze wiszące głową w dół mają energię potencjalną. Może moglibyśmy nawet sfotografować lwa jedzącego surowe mięso i podpisać sytuację jako przeniesienie energii.

– Ale zoo jest w Louisville. Dojazd tam zajmie z milion godzin. Nie możemy wybrać czegoś łatwiejszego?

Nie mogę po prostu powiedzieć mu prawdy: że chcę odwiedzić zoo po raz ostatni w życiu. Że bardzo chciałabym zobaczyć lwy wygrzewające się w słońcu czy niedźwiedzie polarne chlapiące się w basenie. FrozenRobot uznałby pewnie, że

próbuję w ten sposób wykręcić się od naszej umowy, ale nie potrafię nic na to poradzić.

– Tak, to cała wyprawa, ale kiedy już dotrzemy na miejsce, będzie łatwo. Moglibyśmy zrobić zdjęcia tyłu zjawisk... – upieram się, w myślach trzymając kciuki, żeby się zgodził.

– No dobrze, Ay-sel. Zapiszmy ten temat.

Sięga po mój długopis i łapie za zeszyt. Wymachuje nim w powietrzu. Wyciągam dłoń, żeby mu go wyrwać, ale jest za późno. Tyler robi wielkie oczy, wpatrując się w jedną ze stron.

– Ej...

Zabieram mu zeszyt i zerkam na obrazek. Oddycham z ulgą. Nie jest tak źle. To tylko prosty rysunek postaci z pętlą wokół szyi. Chyba naryso-
wałam go kilka tygodni temu na zajęciach, kiedy pan Scott rozwodził się na temat kątów

i prędkości, a ja zastanawiałam się nad destrukcją energii.

– Co to za historia z tym... wisielcem?

– Zwyczajnie, nudziłam się na lekcji. Ty się nigdy nie nudzisz? Pan Scott ciągle gada o tych kątach... – Serce wali mi jak szalone, ale staram się jak mogę, żeby mój głos brzmiał normalnie.

Tyler zmarszczył brwi.

– Jesteś pewna, że nie powinienem się o ciebie martwić?

– Bo gram w wisielca?

– To nie przypomina raczej gry – mówi cicho.

Znowu wzruszam ramionami i posyłam mu wymuszony uśmiech.

– Może to po prostu jakaś jej dziwna wersja.

– Okej...

Chłopak przełyka ślinę. Widzę, że nie wie, co powiedzieć. Sprawiałam, że Tyler Bowen

zaniemówił. Chyba mogę to wykreślić z listy rzeczy do zrobienia przed śmiercią.

– Słyszałem kiedyś – zaczyna w końcu, również udając luz – że ryby to najlepsze zwierzęta do obserwacji, jeśli ma się depresję czy coś w tym stylu – wymierza mi żartobliwy cios w ramię, jakbyśmy byli starymi przyjaciółmi – a w tym zoo jest świetne akwarium.

Zerkam na banner z Brianem Jacksonem. Kusi mnie, by powiedzieć Tylerowi, że ten rysunek to nie był żart. Ale czekam, aż to pragnienie zniknie. Nie znika. Jestem jak ceramiczny granat – twardy, ciężki i zimny, ale wciąż bardzo kruchy. Mogę eksplodować w każdej chwili. Nie chcę eksplodować przy Tylerze. Jak najspokojniej pytam więc:

– To kiedy chcesz tam pojechać? Pewnie powinniśmy to zrobić jak najszybciej, żeby zacząć

projekt. Wiem, że uznasz mnie za kujonkę, ale naprawdę chcę się do tego przyłożyć.

– Moglibyśmy pojechać w sobotę – proponuje.

– W trakcie dnia? – Wydaje mi się, że w sobotę mam zmianę, ale chyba mogłabym poprosić kogoś o zastępstwo. Albo po prostu nie przyjść. Moja praca wydaje mi się teraz bardziej bezsensowna niż kiedykolwiek.

Tyler robi zdziwioną minę.

– A co? Masz jakieś wielkie plany na sobotni wieczór?

– Nie – mówię, przygotowując się na jakąś kąśliwą uwagę, ale Tyler tego nie komentuje.

– To może przyjadę po ciebie koło dziesiątej?

– Może być.

Nie muszę mu mówić, gdzie mieszkam. Kilka razy przyjeżdżał po moją siostrę. Założę się, że Georgia dostanie zawału serca, kiedy zobaczy

Tylera Bowena na naszym podjeździe, ale czekającego na mnie. Ta myśl sprawia, że niemal się uśmiecham.

– Co takiego? – pyta.

– Nic – mówię i kładę splecione dłonie na blacie stołu. – Po prostu bardzo się cieszę na wycieczkę do zoo.

czwartek, 21 marca

17 dni do końca



Dziś są dziesiąte urodziny Mike'a. Wszyscy zebraliśmy się w salce imprezowej Laserpleksu Pirata Jacka – udekorowanego pirackimi motywami podniszczonego ceglanego budynku, z zakurzonymi okienkami i poplamioną, wyłożoną kafelkami posadzką, gdzie można postrzelać w laserowy paintball. Steve zawsze ma wolne w czwartki, a mama wzięła dzień urlopu. Georgia

i ja przyszyliśmy tu prosto po szkole, żeby pomóc mamie ozdobić salę czarnymi i czerwonymi serpentynami, opaskami na oczy i fałszywymi złotymi monetami. Jeśli zamkniesz oczy, zatkasz uszy i obrócisz się kilka razy wokół własnej osi, możesz niemal uwierzyć, że jesteś na pirackim statku, a nie w Langston w stanie Kentucky. Niemal.

Siedzę sama przy stoliku w głębi sali. Na kolanach trzymam prezent dla Mike'a, a w lewej dłoni – kubeczek z pomarańczowym napojem gazowanym. Próbuję udawać, że nie czuję się idiotycznie w papierowym pirackim kapeluszu na głowie. Steve siedzi z przodu ze swoimi kumplami, wypijając jedną puszkę taniego piwa za drugą i bijąc brawo za każdym razem, gdy Mike otwiera kolejny prezent, zawierający piłkę czy rękawiczki do koszykówki. Georgia, mama i kilka jej przyjaciółek siedzą przy stoliku obok, plotkując

o drużynie czirliderek i narzekając, że Christine Beth Thomas pokonała Sandrę Dewitt w konkursie piękności, który odbył się w zeszłym miesiącu. Mama zerka na mnie od czasu do czasu. Jak już mówiłam, ona, Georgia i ja mamy takie same oczy, ale jej powieki różnią się od naszych. Są bardziej śniade. W jej oczach widać smutek. Mama przyłapuje mnie na tym, że na nią patrzę, więc odwracam wzrok.

Mike przedarł się przez stos prezentów niczym tornado. Chyba nadeszła moja kolej. Ostrożnie odstawiam kubeczek na stół. Odrobina słodkiego pomarańczowego napoju wylewa się przez krawędź i ścieka mi po dłoni. Wycieram rękę o koszulkę i sięgam po prezent dla Mike'a. Jest lekki, chociaż chciałabym, żeby był ciężki, pełen znaczenia. Podchodzę do brata. Mike bierze ode mnie prezent.

– Hej, Aysel – mówi z błyskiem w szarzielonych oczach. Jest niesamowicie podobny do Steve’a. Wygląda jak jego miniaturka. Obaj mają falujące blond włosy, szarzielone oczy małe jak paciorki i ostre podbródki.

– Hej, Mikey – odpowiadam. – Wszystkiego najlepszego.

W salce zapada cisza. Wszyscy nas obserwują. Zawinęłam prezent w papier ozdobiony wzorem $E=mc^2$, ale Mike najwyraźniej nie zwrócił na to uwagi. Szybko rozdziera papier, a potem wlepia wzrok w podarunek. Wytrzeszcza małe oczka tak, że zaczynają przypominać piłeczki do baseballa. Piszczy z zachwytu i zaczyna wymachiwać prezentem. To komiks zatytułowany *The Amazing Spider-Man* z autografem Stana Lee. Mike przyciska go do piersi i obdarza mnie promiennym uśmiechem.

– Spider-Man? Ekstra!

Wpatruje się w okładkę i jak zahipnotyzowany wodzi palcem po autografie. Potem ostrożnie kładzie komiks na pobliskim stoliku i szeroko rozkłada ramiona, żeby mnie przytulić.

Czuję suchość w ustach, a żołądek ciąży mi jak kula do kręgli. Z trudem odwzajemniam uścisk i przeczesuję palcami jego falujące włosy.

– Proszę bardzo, braciszku. Mam nadzieję, że będziesz się nim cieszył przez lata.

Zerka na mnie, jakby uznał, że to, co powiedziałam, zabrzmiało dziwnie. Sęk w tym, że nie mogę mu powiedzieć tego, co naprawdę bym chciała. A chciałabym mu powiedzieć, że wydałam piętnaście wypłat, żeby kupić mu ten komiks, bo rozpaczliwie pragnę, by miał coś fajnego, co będzie mu o mnie przypominać. Żeby myślał o mnie jako o dobrej, fajnej, troskliwej siostrze,

a nie psychicznie chorej córce mordercy, która skończyła ze sobą, gdy miał dziesięć lat. Chcę być dla niego kimś więcej. Wiem, że może tak się nie stanie, ale marzy mi się, że za kilka lat, kiedy mnie już nie będzie, a Mike za mną zatęskni, sięgnie po ten komiks, a jego lektura poprawi mu nastrój. Poczuje się bezpieczny. Będzie wiedział, że może pokonać swoje demony, co mi się nie udało.

– Hej! – słyszę wołający mnie szorstki głos.

Puszczam Mike'a i się odwracam. To jeden z kumpli Steve'a w czapce z daszkiem ozdobionej maskującym wzorem, spod której opadają na ramiona strąkowate brązowe włosy.

– Hej! – powtarza. – Takie rzeczy są naprawdę drogie. – Wskazuje na komiks butelką z piwem, którą trzyma w prawej dłoni. – Mam nadzieję, że zdobyłaś to legalnie.

Szczerzy się w uśmiechu, odsłaniając krzywe poźółkłe zęby i spojrzeniem dając mi do zrozumienia, o czym dokładnie myśli: o moim ojcu.

– Bez obaw – mówię. – Zdobyłam go całkowicie legalnie. Kupiłam za własną, ciężko zarobioną gotówkę.

Mężczyzna odwraca głowę, żeby zerknąć na moją matkę.

– A więc wdała się w ciebie, Melda?

Mama sztywno kiwa głową i podchodzi do nas. Kładzie dłoń na plecach Mike'a i odwraca się do mnie.

– To wspaniały prezent, Aysel. Dziękuję.

Przełykam gniew, który targa moimi wnętrznościami. „Kocham mojego braciszka. To chyba oczywiste, że kupiłam mu fajny prezent. Dlaczego jesteś taka zaskoczona, mam?” Zaciskam szczęki,

bojąc się, co mogłabym powiedzieć, gdybym otworzyła usta.

Mike jedyny nie potraktował moich przenosin do nich jako czegoś dziwnego. Pierwszego dnia, kiedy przybyłam do domu Steve'a, czekał na mnie na schodkach przed drzwiami wejściowymi i szczyrzył się tak szeroko, że myślałam, że twarz pięknie mu na pół. Serce wezbrało mi wzruszeniem, kiedy zobaczyłam ten jego szczyrbaty uśmiech. Teraz to wspomnienie wywołało we mnie ból. Kiedy się wprowadziłam, czytywałam mu bajki na dobranoc w te wieczory, gdy mama pracowała do późna. A czasami błagał mnie, żebym pobawiła się z nim na podwórku za domem. Biegaliśmy, kopaliśmy ubłoconą piłkę. Ostatnio jednak brakowało mi energii na takie rzeczy.

Mama wymija mnie, żeby stanąć za małym stolikiem, na którym czeka tort urodzinowy.

– Mike, chodź tutaj i pomóż mi pokroić tort.

Mike patrzy na nią, a potem przenosi wzrok na mnie. Jeszcze raz przytula mnie mocno i w końcu w podskokach biegnie do mamy. Wprost kipi energią, radością i miłością. Mikey zawsze taki był.

Gardło mam wyschnięte na wiór, kiedy wracam na swoje miejsce i patrzę, jak mama kroi tort czekoladowy. Pokrywają go sople rozpuszczonego lukru. Mama popędza wszystkich, żeby szybko jedli, bo za dwadzieścia minut mamy zagrać w laserowy paintball. Przyjaciele Mike’a pożerają ciasto i po kolei oglądają prezenty. Kiedy jeden z nich z palcami umazanymi czekoladowym lukrem wyciąga rękę po komiks, Mike zabiera mu go sprzed nosa i woła:

– Nie pobrudź go!

Spogląda na mnie, a ja czuję ucisk w sercu. Mam wrażenie, że lada chwila mi pęknie, że teraz

znowu przypomina czarną dziurę. Jest tak gęste, że nie ma w nim miejsca na światło, ale to nie znaczy, że nie może wciągnąć do środka mnie. Za Mikiem będę tęskniła najbardziej. Będę za nim tęskniła tak bardzo, że prawie nie mogę tego znieść.

Wbijam widelec w swój kawałek ciasta i wzdycham. Wstaję i kieruję się do drzwi. Mama rusza za mną i kładzie mi dłoń na ramieniu.

– Dokąd idziesz? – Powieki ciążyą jej nad oczami, jakby w każdej chwili mogły opaść, żeby nie musiała dłużej na mnie patrzeć.

– Do łazienki.

– W porządku, ale wracaj szybko. Chyba nie chcesz, żeby ominął cię laserowy paintball?

Jej słowa są proste. Łagodne. Ale ja wiem, co tak naprawdę próbuje mi powiedzieć. Żebym nie zachowywała się jak przygnębiona ofiara losu, że to przyjęcie urodzinowe Mike'a i muszę wziąć się

w garść. A najgorsze jest to, że ma rację. To nie byłoby w porządku, gdybym przesiedziała nadąsana całą imprezę w łazience.

Mam ochotę na nią krzyknąć. Nigdy nie zadaje sobie trudu, żeby zapytać, co się stało, co się ze mną dzieje. Ona nie chce wiedzieć. Chociaż nigdy nie brała udziału w konkursach piękności, regularnie urządzanych w Kentucky, i tak nauczyła się, jak odstawiać tę szopkę. Świetnie jej idzie olśniewanie uśmiechem, nawet gdy ma ochotę się popłakać. Albo mówienie opanowanym głosem, kiedy wiem, że wolałaby krzyczeć. Czasami nawet żałuję, że nie krzyczy. Zawsze zachowuje się tak, jakby wszystko było w porządku, przez co mam wrażenie, że jestem jeszcze większą wariatką niż w rzeczywistości.

Zastanawiam się, czy ta fasada w końcu by runęła, gdybym powiedziała jej, co zamierzam zrobić.

Gdyby wiedziała, co planujemy z FrozenRobotem. Potrząsam głową, żeby pozbyć się tej myśli. Wyznanie jej prawdy przyniosłoby więcej szkody niż pożytku. Nic, co ma do powiedzenia, nie może mnie uratować. Muszę o tym pamiętać.

Idę korytarzem, wpatrując się w drobiny ziemi leżące na wyłożonej płytkami posadzce. Otwieram drzwi i wychodzę na zewnątrz. Zamykam oczy, kiedy zimny wiatr smaga moją twarz. Wkładam dłonie w śnieg, który jeszcze nie do końca stopniał. Opuszki palców drętwieją mi z zimna.

Siedemnaście dni do końca.

piątek, 22 marca

16 dni do końca



– Nie mogę uwierzyć, że wystawiasz mnie jutro do wiatru – mówi Roman.

Siedzi na łóżku, bujając się na materacu w górę i w dół. Chociaż jest wysoki, czasami wygląda jak mały dzieciak. Jego strój też mnie zaskakuje. Nie ma na sobie bluzy z kapturem i dresowych spodni jak zawsze, ale odprasowane ciemne spodnie i elegancką kremową koszulę. Chyba niezbyt dobrze

czuje się w tym ubraniu, jakby mama kazała mu je włożyć.

– Wystawiam do wiatru?

Krążę po jego pokoju. Jest prosto urządzone, dokładnie tak, jak go sobie wyobrażałam. Nie żebym poświęcała dużo czasu na wyobrażanie sobie pokoju Romana. Z beżowymi ścianami, brązowymi listwami i obowiązkowym plakatem drużyny koszykarskiej University of Kentucky Wildcats mógłby należeć do każdego innego licealisty. Na nocnym stoliku widzę fotografię szczerzącej zęby w uśmiechu dziewczynki. Usta ma szeroko otwarte i pokazuje język osobie, która robiła zdjęcie. Włosy ma tego samego koloru co Roman i tak samo głęboko osadzone piwne oczy. To musi być Madison.

Mama Romana jest na dole. Szykuje kolację, testując dania kuchni tureckiej. To powinno być

interesujące doświadczenie. Jego tata wciąż jest w pracy, ale podobno ma wrócić do domu w samą porę, by wziąć udział w Wielkim Wydarzeniu. Jestem zaskoczona, że mama Romana nie ma nic przeciwko temu, byśmy siedzieli sami w jego sypialni. Wydawało mi się, że uważa, iż coś wisi w powietrzu między nami, ale może jest mądrzejsza, niż sądziłam. Chociaż kazała mu zostawić otwarte drzwi...

– Hej – odwracam się, żeby na niego spojrzeć. – Dlaczego pozwoliłeś mamie na to wszystko?

– Na co?

Wzruszam ramionami.

– Na tę całą kolację. Nie czujesz się źle, myśląc o tym, jak ona tam haruje?

Roman przestaje podskakiwać na materacu i wlepia wzrok w ziemię.

– Chyba trochę tak. Ale to musiało się wydarzyć.

Marszczę brwi, nie rozumiejąc.

– Ona naprawdę musi uwierzyć, że stajemy się sobie bliscy – wyjaśnia powoli. – Żeby pozwoliła mi być z tobą sam na sam siódmego kwietnia. Przecież nie pozwoli mi oddalić się z zupełnie obcą osobą w pierwszą rocznicę śmierci Maddie. Nie jest taka głupia.

„Jestem więc pionkiem w twojej grze”. Choć chyba już wcześniej zrozumiałam, że Roman tylko dlatego potrzebuje partnera do samobójstwa. Zresztą tak naprawdę ja też go tylko do tego potrzebuję. Jest moim środkiem prowadzącym do celu. Czy też raczej: do Końca.

Wracam do myszkowania po jego pokoju. Patrzę na piłeczkę baseballową z autografem, strategicznie umieszczoną w czapce Cincinnati Reds.

– Mój tata to dla mnie zdobył – wyjaśnia Roman. – Zabrał mnie na mecz, kiedy byłem mały.

Kiwam głową i znów zaczynam szperać w jego rzeczach. Zastanawiam się, czy mu to przeszkadza, fakt, że próbuję odkryć przy nim jego sekrety. Zerkam na niego przez ramię i widzę, że leży na plecach na łóżku. Jeśli ma coś przeciwko, nie okazuje tego. Może to skutek uboczny świadomości, że wkrótce umrzesz: twoje sekrety nie mają już znaczenia, i tak zostaną odkryte, kiedy ciebie już nie będzie, dokładnie przestudiowane przez innych ludzi.

Nie podoba mi się myśl, że ludzie będą grzebać w moich sekretach. Nie wiem nawet, czy jakieś mam. Poza znajomością z FrozenRobotem. I faktem, który ukrywam przed nim: o tym, co zrobił mój tata.

– A więc jedziesz jutro do zoo?

– Ta – potwierdzam, kartkując jego egzemplarz *Podróży do wnętrza ziemi*. To niemal urocze, że najwyraźniej ma lekką obsesję na punkcie Juliusza Verne’a. Wsuwam książkę z powrotem na miejsce, a w zamian wyciągam *Dwadzieścia tysięcy mil podmorskiej żeglugi*.

– Lubilem te książki, kiedy byłem młodszy.

– Aha.

Odwracam kolejne kartki, wpatrując się w czarno-białe ilustracje. To bardzo ładne wydanie, za które płaci się dodatkowo. Edycja kolekcjonerska czy jakoś tak. Odrażający morski potwór odzwajemnia moje spojrzenie, a jego oczy są wielkie jak grejpfruty. Zatrząskuję książkę. Kiedy to robię, wypadają z niej luźne kartki. Łapię jedną z nich. To szkic przedstawiający małego żółwia, tak dobry, że zwierzak wydaje się prawie trójwymiarowy. Chociaż został narysowany

ółówkiem, można niemal poczuć chropowatą skórę jego szyi i gładkość skorupy. Ale jest w nim też coś nierealnego – zupełnie jakby autor patrzył na żółwia przez nieostre soczewki. Rysunek wydaje się surrealistyczny. Tarczki na skorupie są nadmiernie podkreślone, a przednie łapy wydłużone i cieńsze niż w rzeczywistości.

Przeoglądam pozostałe rysunki. Większość z nich przedstawia tego samego żółwia, ale znajduję jeden, który wygląda na portret Madison. Oczy dziewczynki są szeroko otwarte i mistrzowsko wycieniowane. Szkic idealnie oddaje jej uśmiech. Ale chociaż Madison się uśmiecha, w rysunku czuć smutek, jakby artysta znał jej ostateczny los, chociaż ona jeszcze go nie знаła. Nie mogę oderwać od niego wzroku. Jest przejmujący.

FrozenRobot podrywa się i siada w nogach łóżka.

– To głupie. Nie patrz na nie.

Wracam do pierwszego szkicu żółwia i podchodzę do szklanego terrarium, w którym rezyduje słynny Kapitan Nemo. Żółw pluska się w płytkiej wodzie, przebierając skórzastymi łapkami.

– Wcale nie są głupie. Właściwie to są naprawdę dobre.

Porównuję szkic z pierwowzorem. Podobieństwo jest uderzające, jeśli pominie się fantastyczny aspekt rysunku. Żółw, którego narysował Roman, wydaje się smutny, jakby pogrążony w żałobie. Jego paciorkowate oczy są ciemne, a tylne łapki wyglądają na zbyt ciężkie i opuchnięte, żeby mogły pomagać w pływaniu.

– To twoje rysunki? – upewniam się.

– Tak – mówi cicho. Słyszę, jak wierci się na łóżku, a materac wzdycha pod jego ciężarem. – Możesz je odłożyć? Wstydzę się ich.

– Dlaczego? To znaczy faktycznie, Kapitan Nemo wygląda na nich odrobinę bardziej emo niż w rzeczywistości, ale poza tym oddałeś go idealnie. – Przykładam szkic do szyby terrarium. – To naprawdę niesamowite.

Roman nie komentuje, ale słyszę, jak wzdycha cicho w ramach protestu. Odwracam się do niego. Przyciągnął kolana do piersi i objął je ramionami.

– Nie wiedziałam, że rysujesz. Ja czasami coś gryzmołę, ale głównie ludziki z kresek.

Wpatruję się w obrazek i przesuвам palcami po skorupie żółwia, wyglądającej na gładką, niemal spodziewając się, że poczuję ją pod palcami.

– Te rysunki są imponujące.

– Nieważne. Żaden ze mnie artysta. – Wzrusza ramionami Roman. – Po prostu bazgrzę sobie, kiedy siedzę tutaj sam. Zabijam w ten sposób czas.

Kiwam głową i wkładam kartki z powrotem za skrzydełko okładki kolekcjonerskiego wydania *Dwudziestu tysięcy mil podmorskiej żeglugi*. Roman wyraźnie się odpręża, kiedy książka trafia na półkę.

– Zgaduję, że Kapitan Nemo został nazwany po bohaterze Juliusza Verne’a?

– Już ci mówiłem. To nie ja go tak nazwałem – odpowiada Roman zimnym głosem.

Ignoruję jego szorstkość:

– Maddie to zrobiła?

– Tak.

Nie ciągnę tego tematu, za to dalej wpatruję się w prawdziwego żółwia. Nie wiem za wiele na temat tych zwierząt, ale ten wygląda na wyjątkowo zadbanego. Ma miskę pełną świeżych owoców, czerwone piłeczki pingpongowe do zabawy i duży gładki kawałek płaskiej skały, na której może się

wygrzewać w słońcu. Zastanawiam się, jak Roman może znieść myśl o jego porzuceniu i czy wie, co się stanie z tym biedakiem, kiedy jego już nie będzie. Zagryzam wargę. Nie jestem wystarczająco odważna, by zapytać. A może nie chcę znać odpowiedzi.

– A więc chodzisz z tym koleśkiem czy coś? Z tym, z którym jedziesz do zoo? – pyta Roman znienacka.

Próbuję powstrzymać śmiech i postanawiam zignorować głupie pytanie. Pochylam się, żeby obejrzeć trofea na jednej z półek. Czytam napisy – sporo standardowych nagród z Małej Ligi, ale wśród nich wyróżnia się wielka srebrna tabliczka: „NAJBARDZIEJ WARTOŚCIOWY ZAWODNIK REPREZENTACJI KOSZYKARZY LICEUM W WILLIS”. Podnoszę ją, żeby lepiej się przyjrzeć. Cięży mi w dłoni.

– A więc twoi przyjaciele mieli rację. Naprawdę byłeś dobrym koszykarzem. Dlaczego jesteś taki skromny?

Wzrusza ramionami.

– Dlatego.

– Dlatego że...?

– To nie jest tak, że kiedyś byłem dobry. Ja wciąż jestem dobry. I nie lubię się przechwalać.

– Ale już nie grasz?

– Nie. – Roman z powrotem opada na łóżko. – Ja już nic nie robię.

– Poza zamęczaniem mnie pytaniami na temat wycieczki do zoo. Przecież nie mieliśmy żadnych planów na jutro, FrozenRobot.

– Nie nazywaj mnie tak.

– Dobra, dobra.

Roman rzuca we mnie poduszką i trafia w głowę.

– Ej! – wołam, pocierając prawy policzek, jakby poduszka naprawdę mogła zostawić na nim ślad.

– Przepraszam. Po prostu chciałem zwrócić twoją uwagę, bo coś przyszło mi do głowy.

– Mianowicie?

Roman zsuwa się z łóżka na podłogę i klepie miejsce obok siebie. Siadam przy nim. Chyba ma dość tego mojego grzebania w jego sekretach. Odchyłam głowę, opierając ją o krawędź materaca.

– Zdałem sobie sprawę, że mam zamiar z tobą umrzeć, a nawet nie wiem, jaki jest twój ulubiony kolor.

Zasłaniam usta dłonią i kręcę głową, udając przerażenie. „Świetny sposób na to, żeby znowu zrobiło się między nami dziwnie, FrozenRobot”. Rozważając jego pytanie, odejmuję rękę od ust i zaczynam skubać dywan. Jest czystszy niż ten w moim pokoju. Nie ma tu resztek zmiażdżonych

chipsów ani kłaczków kryjących się między włóknami.

– No co? – pyta.

– Mój ulubiony kolor nic ci o mnie nie powie.

Przysuwa się bliżej, tak że jego ramię styka się z moim.

– Okej. To powiedz mi coś o sobie. Chcę coś o tobie wiedzieć. To nie w porządku, że jesteś mi zupełnie obca.

– Zupełnie obca? Wiesz o mnie mnóstwo rzeczy. Do licha, twoja mama właśnie gotuje dla mnie kolację. – Roman patrzy na mnie bez zrozumienia, więc dodaję: – Tureckie jedzenie... Twoja mama gotuje dla mnie tureckie jedzenie... bo jestem...

Roman macha dłonią, uciszając mnie.

– Wiesz, o co mi chodzi. – Otwiera szerzej oczy i zaczyna przypominać szczeniaczka. Smutnego

szczeniaczka. – Chcę o tobie wiedzieć coś prawdziwego. Coś, czego nie wie o tobie nikt inny na świecie.

Upodabnia się do szczeniaczka coraz bardziej. Usta wyginają mu się w podkówkę.

– Nie potrafię spać w skarpetkach, ale zawsze jest mi zimno w stopy, więc to dla mnie spory problem.

Widzę, jak kąciki jego ust unoszą się w znajomym krzywym uśmiechu. Spogląda na moje szare trampki marki Converse.

– Maddie nienawidziła skarpetek.

– Naprawdę?

– Tak. Zawsze mówiła mi, że gdy je wkłada, ma wrażenie, jakby stopy jej się dusiły.

– Mądra dziewczynka.

– Taka była – przytakuje, a potem kładzie głowę na moim ramieniu.

Nie jestem pewna, co powinnam zrobić. Mam wrażenie, że szuka pocieszenia, ale nie potrafię mu go dać. Z zakłopotaniem przyciskam dłonie do boków i zaczynam nucić *Symfonię nr 24* Mozarta. Ale jemu najwyraźniej to nie przeszkadza. Nie odsuwa się, a ja czuję, jak jego ramiona unoszą się i opadają powoli wraz z oddechem. Ostatnio stałam się bardziej świadoma rzeczy, które utrzymują nas przy życiu – naszych wdechów, naszych wydechów, bicia naszych serc.

– Nie pogniewasz się, jeśli cię o coś zapytam?

– Pytaj śmiało – odpowiada.

– Wiem, że obwiniasz się o śmierć Maddie. A twoi rodzice cię obwiniają?

Całe jego ciało sztywnieje, ale nie podnosi głowy z mojego ramienia. Jeśli już, to opiera się o mnie jeszcze mocniej.

– Żyją w zaprzeczeniu. Ale co wieczór słyszę, jak mama płacze. Robi dobrą minę do złej gry, ale ja wiem, że jest kompletnie załamana. A jest załamana przeze mnie. Chyba mnie nie obwiniają, przynajmniej nie otwarcie. Lecz myślę, że powstrzymują się tylko dlatego, bo są przerażeni, że mnie też stracą.

Czuję ucisk w sercu. Zamykam oczy i próbuję zapomnieć o tym, co właśnie powiedział, ale w wyobraźni widzę jego matkę. Widzę, jak stoi nad jego ciałem – jego ubrania są przesiąknięte wodą, twarz niebieska i zimna, usta otwarte, język opuchnięty z braku tlenu. Zaczyna mnie dławić w gardle i odsuwam się od niego.

Roman prostuje się gwałtownie. Przyciąga kolana do klatki piersiowej i przybiera swoją ulubioną pozę przypominającą składane krzesło kempingowe. Ludzie są zabawni. Im dłużej

przebywasz z nimi, tym bardziej sobie uświadamiasz, że wciąż powtarzają te same ruchy. Wszyscy chcemy wierzyć, że każdy dzień jest inny, że każdego dnia się zmieniamy, ale tak naprawdę pewne rzeczy są w nas zakodowane od samego początku.

Nie jestem pewna, czy Roman zawsze uśmiechał się tak krzywo i siadywał w pozycji złożonego krzeselka. Może to zaczęło się dopiero po śmierci Maddie. Ale jedno jest pewne: jego ciało znajduje się w stanie ciągłego pogotowia, jakby balansował na trapezie zawieszonym wysoko nad ziemią. Jakby jego energia potencjalna chroniła go przed bólem tego świata, mówiła mu: „Uśmiechnij się, wkrótce będzie po wszystkim” i „Skul się, a nie będziesz tak mocno czuł”. Może nawet w śmierci jego energia będzie żyła dalej i powtarzała te gesty. Zastanawiam się, czy jego

mama zapamięta właśnie te szczegóły. A może będzie go sobie wyobrażał dryblującego na boisku do koszykówki. Albo wyciągniętego na kanapie, szkicującego lub z nosem w powieści Juliusza Verne'a. Zastanawiam się, co będzie robić moja energia po tym, jak umrę. Zastanawiam się, czy nasza energia naprawdę nas przeżyje.

Wyciąga dłoń, by dotknąć mojego ramienia.

– Aysel?

– Tak?

– Wyglądasz, jakbyś myśłami była gdzie indziej.

– Przepraszam.

– Okej, cóż, tak sobie myślałem... – zaczyna.

– Tak.

– Chcę pojechać z tobą do zoo. Powinnaś mnie zabrać ze sobą, skoro jedziesz z tamtym kołesiem.

Zanim zdążę odpowiedzieć, mama Romana woła nas z dołu:

– Kolacja gotowa! Chodźcie.

Roman wstaje powoli i podaje mi dłoń. Chwytam ją, a on podciąga mnie do pionu. Wiem, że czeka, aż coś powiem, ale ja udaję, że go nie słyszałam. Kłania mi się żartobliwie, dając znak, żebym poszła przodem.

Mama Romana czeka na nas w holu. Obejmuje moją twarz dłońmi i przyciąga mnie do siebie.

– Tak się cieszę, że udało ci się przyjść. Naprawdę mam nadzieję, że będzie ci smakować.

Pewnie powinnam jej powiedzieć, że nie jestem specjalistką od tureckiej kuchni, że nie mam o niej bladego pojęcia, że mogłaby mi przyrządzić cheeseburgera, a ja wzięłabym to za autentyczne tureckie danie. Ale właściwie podoba mi się, że znajduję się w centrum uwagi. Zaczynam

rozumieć, dlaczego Georgia tak dzięki temu kwitnie. To miłe, kiedy ludzie czekają na każdy twój gest. W myślach składam to uczucie pieczołowicie w kosteczkę i chowam do kieszeni. Cieszę się, że zdobyłam je przed siódmym kwietnia.

– Aysel – mówi mama Romana, perfekcyjnie wymawiając moje imię – poznaj pana Franklina.

Ojciec Romana jest równie wysoki jak on i niemal łyсы. Ma wąską, szczupłą twarz. Wyciąga do mnie dłoń, a ja nią potrząsam.

– Miło cię poznać – mówi.

Staram się wyglądać przyjaźnie.

– Aysel i Roman poznali się na starym placu zabaw – wyjaśnia pani Franklin mężowi, ściskając jego ramię.

Pan Franklin odwraca się w stronę Romana.

– Zacząłeś znowu grać? – W jego głosie słychać cień zaskoczenia.

Przenoszę wzrok z pana Franklina na Romana, a potem na panią Franklin i z powrotem na jej męża. Pan Franklin mógłby nas rozszyfrować.

– Umieram z głodu – mówię w nadziei, że unikniemy kolejnych pytań na temat naszego pierwszego spotkania.

– Ja też – popiera mnie pan Franklin. – Jedzmy.

Kiedy już siedzimy przy stole, mama Romana inicjuje modlitwę. Nie zamykam oczu, ale zauważam, że Roman owszem. W jadalni unosi się zapach oregano i kminu rzymskiego, a moją głowę wypełnia wspomnienie żony przyjaciela mojego ojca, która gotowała dla nas kolację pewnego wieczoru, gdy przyjechali z wizytą. Ona też brała moją twarz w dłonie, podobnie jak to zrobiła pani Franklin parę chwil temu, i szeptała do mnie po turecku. Nie rozumiałam ani słowa, więc

udawałam, że mówi: „Wszystko będzie w porządku, Aysel. Wszystko się jakoś ułoży”.

Pani Franklin podaje mi naczynie z wciąż gorącą zapiekanką.

– To *kuzu güveç*. – Patrzy na mnie pytająco, chcąc się upewnić, czy jej wymowa jest poprawna. Nie mam pojęcia, więc bez przekonania kiwam głową. – To coś w stylu gulaszu z jagnięciny.

Na stole tłoczą się inne dania: nadziewane liście winogron, kebaby z jagnięciny i kurczaka, ryżowy pilaw i sos jogurtowy. Jest też miseczka z papryczkami jalapeño dla Romana. Przygotowanie tego wszystkiego musiało zająć wiele godzin i potrawy wyglądają fantastycznie, ale kiedy wbijam widelec w jagnięcinę, aby wziąć pierwszego gryza, czuję, jak apetyt mnie opuszcza. Patrzę na panią Franklin, na jej uśmiechniętą, pragnącą nas zadowolić twarz, i wiem, że Roman i ja złamiemy

jej serce. Cała ta kolacja, te starania, żeby stworzyć między nami więź... W jeden wieczór pani Franklin zrobiła dla mnie więcej niż moja matka przez wszystkie te lata.

Kobieta wciąż się do mnie uśmiecha, chce znać moją opinię na temat wszystkich tych smakołyków. W jej oczach iskrzy się nadzieja. Myśli, że Roman czuje się coraz lepiej, że ma nową przyjaciółkę, że zainteresował się jakąś dziewczyną...

Przesuwam widelcem po talerzu, wciskając jagnięcinę w ryż. Robię, co mogę, żeby przełknąć poczucie winy.

– To jest naprawdę dobre, kochanie – mówi pan Franklin, ocierając usta serwetką. – Muszę przyznać, że miałem pewne obawy... – Zerka na mnie. – Nie żebym zakładał, że będzie niesmaczne, ale po

prostu nigdy wcześniej nie jedliśmy czegoś takiego.

Kiwa głową, dając mu do zrozumienia, że mnie nie obraził. Nie wiem na tyle dużo o tureckiej kuchni, żeby móc stwierdzić z całą pewnością, że nie kłamie. Zastanawiam się, jakby to było, gdybym faktycznie wiedziała coś o miejscu, z którego pochodzą moi rodzice.

Pani Franklin kiwa głową, podekscytowana komplementem pana Franklina.

– A tobie jak smakuje, Aysel?

– Jest przepyszne – mówię, jakbym była jakimś ekspertem.

– Och, to świetnie – uśmiecha się promiennie, klaszcząc w dłonie.

Naprawdę nie chcę złamać jej serca.

sobota, 23 marca

15 dni do końca



Georgia i ja siedzimy przy kuchennym stole, a ona wygląda przez okno. Chyba ma nadzieję, że popatrzy sobie na Tylera, zanim odjedziemy.

– Co to za przystojniak? – Przyciska twarz do szyby.

Biorę łyk kawy. Wciąż próbuję nauczyć się ją lubić, ale niezależnie od tego, jak bardzo się staram, nie mogę znieść tego gorzkiego posmaku.

– Myślałam, że znasz Tylera...

– Nie żartuj sobie ze mnie – mówi. – To nie jest Tyler. Jest wyższy i ma krótsze włosy.

Wyglądam przez okno i widzę czerwonego dżipa pani Franklin stojącego na naszym podjeździe. Rozlega się dzwonek do drzwi. Wstaję, żeby otworzyć, ale Georgia jest szybsza. Otwiera drzwi na oścież, kładzie dłonie na biodrach i najśłodszy głosem mówi:

– Cześć, miło cię poznać.

– Hmm, cześć – odpowiada Roman.

Nigdy nie wstydziłam się naszego domu, głównie dlatego, że przez większość czasu wstydzę się tego, kim jestem, ale gdy tylko Roman przekracza próg, zaczynam zauważać wszystko, co jest nie tak: nasz dywan jest poplamiony, w zlewie piętrzy się sterta brudnych naczyń. To miejsce w niczym nie przypomina jego nieskazitelnie

czystego domu. Wiem, że nie powinno mnie obchodzić, co on sobie pomyśli. Przecież nie stwierdzi, że jednak nie chce ze mną skoczyć z klifu na Crestville Pointe tylko dlatego, że mój dom wygląda jak po kataklizmie. Ale nie podoba mi się myśl, że mógłby się nade mną litować. Żałuję, że czarny ślimak nie pożarł mojego skrępowania razem ze szczęściem.

Roman wyciąga rękę, żeby powitać Georgię, niczym mąż stanu wizytujący potencjalnych wyborców. Chyba trudno się wyzbyć południowych manier.

– Jestem Roman – mówi – i jestem przyjacielem twojej siostry.

Zaskoczyło mnie, że – biorąc pod uwagę brak jakiegokolwiek podobieństwa między nami – wydedukował, iż Georgia jest moją siostrą.

– Przyrodniej siostry – wypalam, zanim Georgia zdąży cokolwiek powiedzieć.

Po jej twarzy przemyka cień irytacji, ale i tak ignoruje mnie i skupia całą uwagę z powrotem na Romanie. Podchodzi bliżej i zaczyna się bawić swoim lśniącym kucykiem.

– A więc skąd znasz Aysel?

Roman wlepia wzrok w ziemię i przestępuje z nogi na nogę.

– Poznaliśmy się kilka tygodni temu na boisku do koszykówki w Willis.

Georgia odwraca się, żeby na mnie spojrzeć.

– Co ty robiłaś w Willis?

– A co cię to w ogóle obchodzi?

Daję Romanowi znak, żeby wszedł dalej i usiadł przy kuchennym stole.

– Chcesz coś do picia?

Gdy tak patrzę, jak lustruje spojrzeniem pomieszczenie, mam ochotę zasłonić mu oczy i wyprowadzić go na zewnątrz, zanim zdąży zauważyć więcej jego wad.

– Moja mama pracuje – mówię, próbując usprawiedliwić panujący wokół bałagan.

– Tak, pracuje w Swift Marcie – dodaje Georgia, w podskokach wpadając do kuchni. – Sześć dni w tygodniu. Biedna kobieta.

Biedna kobieta? W życiu naszej mamy wydarzyły się znacznie gorsze rzeczy niż praca w minimarkecie. Na przykład: jej pierwszy mąż został skazany za morderstwo. Albo: jej pierworodna jest pogrążonym w depresji dziwolągiem.

– Nie musisz przypadkiem gdzieś iść? Nie masz jakiegoś treningu czy coś? – pytam, otwierając lodówkę.

Roman nie potwierdził, że chce się czegoś napić, ale i tak nalewam mu soku pomarańczowego i stawiam przed nim szklankę.

– Dzięki – mówi z roztargnieniem. Myślam jest gdzie indziej.

Zauważam, że szklanka jest zakurzona. Ohyda. Czasami trzeba zobaczyć, jak ktoś inny obserwuje nasze życie, żeby uświadomić sobie, w jaki sposób naprawdę żyjemy.

Georgia zajmuje miejsce obok Romana.

– Nie mam dziś treningu. Tak sobie myślałam, że może do was dołączę.

Próbuję nie gapić się na nią z otwartymi ustami. Czy ona, do cholery, żartuje?

– Ale my jedziemy tam tylko po to, żeby realizować projekt z fizyki – protestuję.

Georgia odwraca się do Romana.

– Ty też pracujesz nad tym projektem?

Roman uśmiecha się do mnie lekko, po czym mówi:

– Nie. Po prostu lubię zoo. Przygoda, zwierzęta...

Georgia opiera łokcie na stole i uśmiecha się do mnie szeroko.

– Ja też lubię zoo. I uwielbiam przygody.

Znowu rozlega się dzwonek do drzwi i wychodzę do przedpokoju, żeby otworzyć. Tyler Bowen stoi na progu z rękami w kieszeniach. Na głowie ma białą baseballową czapkę, która rzuca cień na jego niebieskie oczy.

– Cześć, Aysel.

– Chcesz wejść na sekundę?

Wzrusza ramionami.

– Pewnie.

Idzie za mną do kuchni.

– Tyler! – Georgia zrywa się ze swojego siedzenia. Pędzi ku niemu i rzuca mu się w ramiona.

Tyler odwzajemnia jej uścisk. Obejmuje ją mocno i unosi w powietrze. Georgia chichocze. Wymieniamy z Romanem zdezorientowane spojrzenia.

– Jak leci?! – woła Tyler, a ja nie jestem pewna, czy pytanie jest skierowane do całej grupy. W każdym razie tylko Georgia odpowiada:

– Właśnie pytałam, czy mogę z wami pojechać do zoo.

Patrzy błagalnie na Tylera, jakby mógł przełamać impas między moim stanowczym „nie” a obojętnością Romana.

– Nie wiedziałem, że wy w ogóle spędzacie razem czas – mówi Tyler do Georgii śmiertelnie poważnym tonem. Mam ochotę go za to uściskać.

– Myślę, że Georgia powinna pojechać z nami – wtrąca się nagle Roman.

Jemu mam ochotę przyłożyć. Najwyraźniej zmienił zdanie i porzucił obojętność na rzecz mojej siostry.

– Tak w ogóle to jestem Tyler – mówi Tyler, wyciągając rękę do Romana. – A ty...?

– Roman. – Ściska dłoń Tylera. Mocno. Brawo, FrozenRobot. – Jestem przyjacielem Aysel.

Tyler próbuje ukryć zdumienie, ale dla wszystkich jest oczywiste, co sobie myśli. To samo, co pomyślałby każdy ode mnie z klasy, gdyby zobaczył Romana i mnie poza kontekstem: przystojny koszykarz i ponura dziewczyna, córka mordercy. Ale w sumie przecież wszyscy widzą nas poza kontekstem.

– Spotkali się na placu zabaw w Willis – wtrąca Georgia, uśmiechając się promiennie do Romana.

– Rozumiem – odpowiada Tyler. – Cóż, chyba powinniśmy się zbierać? Zwierzęta robią się senne po południu, a my musimy im zrobić zdjęcia w trakcie ruchu, prawda?

– Ty prowadzisz? – pyta Georgia.

– Tak – mówi Tyler, machając kluczykami. – Wszyscy zmieścimy się w moim wozie.

– Zaklepuję miejsce z przodu! – woła Georgia, zrywając się na równe nogi.

Wbiegam na górę do naszej sypialni i przekopuję plecak w poszukiwaniu aparatu, który wypożyczyłam ze szkolnej biblioteki. Znajduję go i wkładam do mniejszej torebki, którą pożyczam z szafy Georgii. Jest jasnobłękitna, ze sztucznej skóry, i ma kształt muszelki. W życiu bym czegoś takiego sama nie kupiła, ale aparat idealnie się w niej mieści, no i kto by się przejmował tym

głupim kolorem. Moda to ostatnia rzecz, jaka mnie teraz obchodziła.

Siadam na podłodze i robię kilka głębokich wdechów, nucąc *Requiem* Mozarta i przygotowując się psychicznie na to, co się wydarzy. Właśnie gdy mam zamiar wstać i zejść na parter, słyszę ruch za plecami.

– To będzie interesujący dzień – oświadcza Roman.

„Super, że wszedłeś na górę bez zaproszenia, FrozenRobot”.

– Ty mi to mówisz? Nie rozumiem, dlaczego w ogóle chcesz ze mną jechać!

Wyciąga rękę i pomaga mi wstać z podłogi.

– Nie kłam. Na pewno się cieszysz, że postanowiłem się z wami zabrać. Inaczej musiałybyś sama oglądać przedstawienie pod tytułem *Tyler i Georgia*.

– To ty jej powiedziałaś, że może z nami jechać
– mamroczę już na schodach.

– Tak będzie lepiej. – Roman otwiera przede mną frontowe drzwi.

Zdejmuję kurtkę z wieszaka, wyciągam z kieszeni klucze do domu i zamykam drzwi.

– Wątpię.

– Będzie – mówi. – Zaufaj mi.

Niebo jest bezchmurne, a powietrze rześkie, czuć w nim wilgoć wiosny i zapach kwiatów. To idealny dzień na wycieczkę do zoo. Gdy idziemy w stronę samochodu, spoglądam na Romana. Nie jestem pewna, czy mu ufam, ale chyba powinnam, skoro wierzę, że skoczy razem ze mną. Nie żeby to miało jakiegokolwiek znaczenie, jeśli tylko sama umrę. Wiem, że to straszna myśl, ale w tej jednej kwestii internetowe trolle mogą mieć rację: to samolubny akt. Chodzi tylko i wyłącznie o mnie.

I właśnie dlatego posiadanie partnera do samobójstwa jest takie dziwne. Potrzebujesz go tylko do pewnego momentu.

sobota, 23 marca

15 dni do końca



Docieramy do zoo po mniej więcej dwóch godzinach. Podróż nie była taka straszna, jak się spodziewałam. Mało kto się odzywał, przez większość czasu słuchaliśmy, jak Georgia podśpiewuje piosenki płynące z radia. Tyler sporadycznie zadawał jej pytania, a ona odpowiadała w typowy dla siebie ożywiony sposób. Za to Romanowi urządziła przesłuchanie, ale zniósł je całkiem dobrze.

Próbowała z niego wyciągnąć, czy jest moim chłopakiem, a on wymigał się od odpowiedzi. Mogę się założyć, że mając taką mamę jak on, zyskuje się duże doświadczenie w radzeniu sobie z gradem pytań.

Tyler zaparkował samochód i razem ruszyliśmy w stronę wejścia, żeby kupić bilety. Nadszedł krępujący moment. Widzę, że Tyler rozważa kupienie biletu dla Georgii, ale gdyby to zrobił, czułby się zobowiązany, żeby kupić go i dla mnie. Powiedzmy to jednak szczerze: Tyler Bowen nie ma ochoty marnować na mnie swoich pieniędzy.

Roman wymija mnie i wręcza kobiecie pracującej w kasie plik banknotów.

– Poproszę cztery ulgowe.

– Roman! – woła Georgia, udając oburzenie. – Nie musisz tego robić!

– Serio, koleś – dodaje Tyler. – Mogę zapłacić za swój bilet. To żaden problem.

– Nie ma sprawy. – Roman rzuca mi uśmiech.

Pracownica kasy wydaje mu resztę. Zauważam, że jej dłonie wyglądają znacznie starszej niż twarz. Spoglądam na własne i sama nie wiem, czy jestem szczęśliwa, czy smutna, że nigdy nie zobaczę na nich zmarszczek. Gdy już jesteśmy w środku, szepczę do Romana:

– Co to miało znaczyć?

Wzrusza ramionami.

– I tak nie da się zabrać ze sobą pieniędzy.

Tyler unosi brwi, kiedy widzi, że szepczę coś do ucha Romanowi.

– Nie wiedziałem, że zrobiłaś z naszego projektu naukowego prywatną randkę.

Georgia bierze Tylera pod ramię.

– Właśnie dlatego zabrałam się z wami, Ty. Żebyś nie czuł się taki osamotniony.

Tyler klepie Georgię po ramieniu i zwraca się do mnie:

– Zoo to był twój pomysł, Aysel. Dokąd idziemy?

– Może zaczniemy od pawilonu nocnego? Możemy sfotografować nietoperze. Wiszą do góry nogami. Energia potencjalna.

– Jasne. Nietoperze są jak żyjący wisielcy – mówi Tyler nieswoim głosem.

Roman i Georgia patrzą na niego pytająco, a ja robię, co mogę, żeby też wyglądać na zaskoczoną. To całkiem łatwe, bo nietoperze w niczym nie przypominają żyjących wisielców, ale to chyba nie najlepsza pora, żeby drążyć temat.

– To tędy – mówię i szybko wysuwam się na czoło grupy.

Znam rozkład zoo w Louisville praktycznie na pamięć. Kiedy byłam młodsza, mama często zabięrała mnie tu w weekendy. Uważała, że powinnyśmy spędzać trochę czasu sam na sam. Zrezygnowała z tego, kiedy miałam jakieś osiem lat, jako że Georgia trochę już podrosła, a Mike wymagał wiele uwagi. Nigdy by się do tego nie przyznała, ale była zbyt zajęta budowaniem swojej nowej rodziny i z radością zostawiała mnie z ojcem. Tak naprawdę zauważyła mnie ponownie dopiero, gdy mu odbiło. A nikt nie chce być zauważony z takiego powodu; czułam się jak inwazyjny gatunek, o którego istnieniu świat się dowiaduje, gdy już wydusi i zniszczy wszystkie piękne natywne rośliny.

Wnętrze pawilonu nocnego wygląda dokładnie tak, jak je zapamiętałam. Jest tu ciemno i pachnie gnijącymi owocami i warzywami. Chichot Georgii

za moimi plecami oznacza, że grupa zdołała dotrzymać mi kroku. Szybko mijam klatki z oposami i szopami praczami i docieram do nietoperzy z podrodziny wampirów. Widzę, jak zwisają z sufitu z czarnymi skórzastymi skrzydłami owiniętymi wokół ciał.

Roman staje za mną i kładzie mi dłoń na ramieniu. Podskakuję ze strachu.

– To tylko ja – mówi.

– Wiem. – Właśnie dlatego tak zareagowałam.

Wyciągam aparat z torebki.

– Dzięki, że zapytałaś, czy możesz pożyczyć moją torebkę! – woła Georgia.

– Naprawdę powinnaś ściszyć głos – rugam ją.

– Przecież nie chcesz wystraszyć zwierząt.

Georgia piorunuje mnie wzrokiem i wykrzywia usta w grymasie. Jej białe zęby połyskują w ciemnościach.

– To zabawne, że to właśnie ty zwracasz uwagę komuś innemu, żeby nie zachowywał się przerażająco.

– Georgia – Tyler ucisza ją syknięciem.

– No co? – pyta, odrzucając do tyłu głowę. Jej kucyk na chwilę zawisa w powietrzu jak dym z ogniska.

– Hmm... – wtrąca się Roman, przestępując z nogi na nogę. – Może po prostu pozwolimy Aysel zrobić to zdjęcie?

– Świetnie – odpowiada Georgia. – Zostawmy ją tutaj. Chcesz zobaczyć pancerniki? Są takie słodkie!

– Pewnie. Jak chcesz – mówi Roman i ruszają dalej korytarzem.

Włączam aparat i patrzę przez wizjer. Strzelam kilka fotek, a potem je przeglądam.

– Proszę – mówię, wyciągając aparat do Tylera.
– To będzie chyba dobre.

– Tak, myślę, że spodoba się panu Scottowi –
odpowiada Tyler.

Szkoda, że nie będę mogła zobaczyć jego
reakcji.

Wtykam aparat z powrotem do torebki.

– To co? Dołączymy do nich przy
pancernikach?

– Ona po prostu chce się z tobą zaprzyjaźnić –
wypala Tyler.

Zamykam torebkę z taką wściekłością, że
niemal psuję suwak.

– Eee. Nie sądzę.

– Właśnie że tak. To dlatego dziś do nas
dołączyła.

– Jasne.

– To dość ewidentne. – Patrzę na niego bez zrozumienia, a on ciągnie: – Zawsze się stara, żebyś zwróciła na nią uwagę. Próbuje cię rozśmieszać. Nie jest taka zła, wiesz?

Idąc ciemnym korytarzem do pancerników, rozważam to, co Tyler powiedział o Georgii. O tym, że chce być moją przyjaciółką. Jestem jednak całkiem pewna, że to kompletna bzdura. Georgia zabrała się z nami tylko po to, żeby przymilać się do Tylera. Związek z Tylerem Bowenem znacznie podniósłby jej status: czirliderka z pierwszej klasy randkująca z koszykarzem z przedostatniej – jak w jakimś okropnym filmie o nastolatkach.

– Myślę, że nie masz racji – mówię. – Tu nie chodzi o mnie. Chodzi o ciebie.

Kiedy docieramy do pancerników, widzę, że Roman i Georgia stoją obok siebie z nosami

przyciśniętymi do szyby. Spoglądają na zwierzęta i śmieją się jak starzy znajomi.

– Nie jestem taki pewien, czy to właśnie mną jest zainteresowana. – Tyler szturcha mnie porozumiewawczo w ramię.

Przewracam oczami.

– Może sobie wziąć Romana. – Nie dodaje: „Ale powodzenia, bo za dwa tygodnie będzie już martwy”.

Roman uśmiecha się szeroko na nasz widok.

– Dokąd teraz?

– Do lwów? – proponuję. – Chyba karmią je koło południa. Jeśli się pospieszymy, zrobię zdjęcie, jak jedzą.

– Strasznie chce mi się pić – wtrąca Georgia i zwraca się do Romana. – Chcesz ze mną pójść po lemoniadę?

Roman patrzy na mnie, a ja wzruszam ramionami.

– Możecie do nas dołączyć przy lwach.

– Właściwie to mi też chce się pić – mówi Tyler. – Ja z tobą pójdę.

Georgia lekko marszczy brwi.

– Och, okej.

– W takim razie ja pójdę z Aysel – podsumowuje Roman i staje u mego boku. – Zaraz was dogonimy.

Kiedy już Georgia i Tyler odchodzą, mówię:

– Ojej, straciłeś okazję na obściskiwanie się z Georgią przy sklepiku.

– Przecież obiecałaś, że przestaniesz sobie stroić głupie żarty.

Robię skruszoną minę. Opuszczamy pawilon nocny i ruszamy w stronę lwów. Kiedy wychodzimy na zewnątrz, zauważam, że niebo pociemniało,

a słońce skryło się za groźnie wyglądającymi deszczowymi chmurami. Wciskam rękę w kieszenie kurtki i przesuвам palcami po polarowej podszewce.

– To nie był żart. Jestem pewna, że chętnie by cię obśliniła.

– W ogóle nie jesteście do siebie podobne. Dlaczego?

Wlepiam wzrok przed siebie, unikając kontaktu wzrokowego z Romanem.

– Mamy innego ojca.

– Tak, mówiłaś, że to twoja przyrodnia siostra, mimo wszystko... Ona jest jak lew, a ty jesteś jak... jak pancernik.

– Pancernik?

Roman dotyka mojego ramienia.

– Wiesz, co chcę przez to powiedzieć.

– Mój tata robi różnicę. – Patrzą na niego twardo, mając nadzieję, że porzuci temat. – Nie oczekuję, że to zrozumiesz, ale ta różnica... robi całą różnicę.

Docieramy do lwów. Widać tylko trzy i nie wygląda na to, żeby coś jadły. Do licha. Chyba przegapiliśmy porę karmienia. Samiec wyleguje się na dużej skale, dwie lwice przycupnęły obok siebie w przeciwnym rogu wybiegu. Lew otwiera paszczę, żeby ziewnąć, a dzieciak obok nas podskakuje podekscytowany. Inny dzieciak, najwyraźniej nie tak odważny, tuli się do mamy. Sięgam po aparat. Żałuję, że nie wyciągnęłam go na czas, żeby uchwycić ten moment.

– Gdzie jest teraz twój tata? – pyta Roman.

Odpowiedź na jego pytanie brzmi: w więzieniu stanowym. Jeśli się nie mylę, mój tata siedzi w kicju w jakiejś mieścinie setki mil stąd.

– Daleko. Nie ma go – mówię i robię kilka fotek. Może któraś z nich się nada. – Daj spokój, okej?

Roman wyciąga dłoń i zaciska ją na moim nadgarstku.

– Nie rozumiem, jak ktoś, kto nie jest już częścią twojego życia, może mieć na nie taki wpływ.

Odsuwam się od niego i siadam na pobliskiej ławce. Roman idzie za mną.

– Słuchaj, przepraszam. Już nie będę o to pytał. Opieram łokcie na kolanach i się kulę.

– Wiem, że trudno to zrozumieć, ale to prawda. Mój tata... – Nabieram powietrza w płuca. – Mój tata zniszczył mi życie.

Nie mówię Romanowi, że mój tata zniszczył mi życie nie tylko przez to, co zrobił, ale też dlatego że przez niego zaczęłam się bać tego, kim sama jestem i co we mnie tkwi. Kiedy jednak tak o tym

myślę, coś się we mnie zmienia. Nie wiem, czy to czarny ślimak ślizga się po moim żołądku, czy coś innego, coś, o czego istnieniu nawet nie wiedziałam, ale czuję, jak to trzeszczy i eksploduje, jak malutki zimny ogień.

– Powinnam go odwiedzić – wypalam, zapominając o tym, że nie powinnam ciągnąć tego tematu. Że Roman zna Briana Jacksona. Że Roman by mnie znienawidził, gdyby poznał prawdę.

Roman odchrząkuje.

– Co takiego?

Zrywam się z ławki.

– Postanowiłam, że chcę zobaczyć mojego tatę po raz ostatni, zanim umrę.

Roman nie wstaje. Zmuszam się, żeby na niego spojrzeć, i widzę, że marszczy brwi.

– Nie umierasz na raka, Aysel – mówi, podnosząc głos. – Nie jesteś nieuleczalnie chora.

– Co to ma znaczyć?

– Nie układamy tutaj listy życzeń. Tu nie chodzi o rzeczy, które chcemy zrobić, zanim umrzemy. Tu chodzi – i zawsze chodziło – o umieranie. Tylko o umieranie. – Szura nogami i wykręca dłonie. – Zamierzasz mnie wystawić?

Krew napływa mi do twarzy.

– Nie zamierzam cię wystawić. Po prostu muszę go zobaczyć ten ostatni raz. Chcę mu spojrzeć w oczy i...

Roman wstaje z ławki. Obejmuje mnie ramieniem. Tym razem nie podskakuję pod wpływem jego dotyku. Pochyliam się ku niemu.

– I co? Co masz nadzieję znaleźć? Brzmi to tak, jakbyś szukała powodów, żeby żyć.

Czuję gulę w gardle. Słowa ustawiają się w kolejce, gotowe, żeby się z niego wyrwać, ale czarny ślimak pożera je, jedno po drugim.

– Nie o to chodzi – udaje mi się w końcu wydusić.

– To o co?

– Po prostu muszę go zobaczyć, Roman. Myślę, że jeśli go zobaczę, będę w stanie skoczyć z tego klifu. Już nic nie będzie mnie powstrzymywać.

Unosi głowę ku niebu.

– A w tej chwili coś cię powstrzymuje?

Nie wiem, jak mu powiedzieć, że dopóki nie zrozumiem źródeł tego wszystkiego, dopóty nie będę pewna, czy mogę naprawdę zniszczyć moją energię potencjalną. Ale od kilku minut jestem przekonana, że jedyny sposób, aby to zrobić, to zobaczyć mojego tatę ten jeden, ostatni raz.

Roman spuszcza głowę, by znowu na mnie spojrzeć.

– Możemy pojechać do twojego ojca. Jeśli właśnie tego potrzebujesz, pomogę ci.

Mam ochotę zarzucić mu ręce na szyję, przyciągnąć go blisko, wtulić twarz w jego pierś i podziękować mu, ale wiem, że nie na to się pisaliśmy. Chciałabym, żeby ktoś poddał moje serce badaniu wariografem; wciąż kłamie, waha się i zmienia zdanie. Nie potrafię stwierdzić, na czym mi bardziej zależy – na tym, żeby Roman był przy mnie, gdy stanę twarzą w twarz z ojcem, czy na tym, by nie odkrył prawdy.

Gdy tak patrzę, jak mnie obserwuje tymi szeroko otwartymi, spragnionymi piwnymi oczami, moją pierś przeszywa drzenie. Może jestem naiwna, ale zaczynam myśleć, że Roman by zrozumiał. Że nie uczyniłby mnie odpowiedzialną za to, co zrobił mój tata. Może muszę dać mu szansę, by udowodnił, że naprawdę jest inny niż reszta.

Badawczo przyglądam się jego twarzy, szukając znaków świadczących o tym, że już zna prawdę.

Moje imię nie zostało wymienione w żadnym z internetowych artykułów na temat taty (wierzcie mi, sprawdziłam), ale jestem całkiem pewna, że gdyby pogrzebał trochę w Google, nabralby podejrzeń. W Langston nie mieszka tak wielu Turków, nie mówiąc już o całym Kentucky. Ale gdy tak wpatruję się w te głęboko osadzone oczy, spoglądam na pełne wargi, na policzki lekko zarumienione od słońca, niczego nie dostrzegam. Widzę tylko kogoś, kogo najwyraźniej obchodzę, i to sprawia, że czuję się niemal równie niewyraźnie, jak na myśl o tym, że w każdej chwili mógłby odkryć całą prawdę na temat mojego taty.

Może byłoby lepiej, gdybym mu powiedziała, gdyby usłyszał to ode mnie zamiast od kogoś innego. Słowa narastają mi w gardle i już mam mu wszystko wyznać, kiedy bierze mnie za rękę i ściska mocno, rozcierając moje palce w swoich.

– Serio, Aysel, w porządku. Przepraszam, że się uniosłem. Pojedziemy razem odwiedzić twojego tatę, okej?

– Okej. – To jedyne słowo, które jestem w stanie z siebie wydusić. Dociskam język do podniebienia i obiecuję sobie, że powiem mu prawdę o moim tacie. Nie dziś, ale wkrótce.

Roman znowu ściska moją dłoń.

– To gdzie teraz?

– Chcesz zobaczyć niedźwiedzie polarne? Powinam zrobić kilka zdjęć, jak pływają.

– Pewnie – uśmiecha się do mnie półgębkiem. – Miło będzie zobaczyć niedźwiedzie polarne ten ostatni raz. To zawsze były ulubione zwierzęta Maddie.

To wtedy przychodzi mi do głowy, że może FrozenRobot też ma listę rzeczy, które chciałby zrobić przed śmiercią, tylko jeszcze o tym nie wie.

Chcę ją poznać.

wtorek, 26 marca

12 dni do końca



Wychodzę z pracy wcześniej i jak najszybciej pokonuję drogę do domu. Chcę tam dotrzeć przed wszystkimi, żeby pomyszkować trochę w gabinecie. Jeśli mama zachowała jakiegokolwiek dokumenty dotyczące ojca, to właśnie tam je znajdę.

Otwieram drzwi i przez moment stoję nieruchomo, wstrzymując oddech w nadziei, że dom jest pusty.

– Cześć! – słyszę wołanie Mike’a.

– Mike, to tylko ja – odpowiadam niezbyt głośno, bo nie chcę zdradzać swojej obecności, jeśli ktoś jeszcze jest w domu.

– Co będzie na kolację?!

Ściany praktycznie trzęsą się od jego wrzasku. Mike odziedziczył struny głosowe po ojcu. Wkurzyłabym się, gdybym nie kochała go tak bardzo. Ale nie jestem w stanie się na niego zezłościć.

– Nie wiem, Mikey. Mama niedługo wróci. Ją zapytasz, okej?

– Okej – odpowiada. – Chcesz przyjść na górę i pograć ze mną w FIFĘ?

Usta mi drgają i zwalczam chęć, żeby się uśmiechnąć.

– Może później. Mam mnóstwo pracy domowej do odrobienia.

– Okej – słyszę rozczarowanie w jego głosie.

Próbuję to zlekceważyć i skupić się na zadaniu: grzebaniu w rzeczach mamy – ruszam więc wąskim przedpokojem i skręcam do gabinetu. Jest ciasny i zagracony, niewiele większy od szafy. Przeskakuję kilka pudeł, żeby wcisnąć się za liche plastikowe biurko. Wyciągam szyję i przyglądam się pudłom stojącym na górnych półkach biblioteczki. Jeśli w ogóle znam matkę, co jest wątpliwe, to trzymałaby brudy dotyczące naszej rodziny w jak najmniej przystępnym miejscu.

Staję na krześle od komputera i sięgam po jedno z pudeł wypełnionych szarymi teczkami. Krzesło obraca się pod moimi stopami. Wyciągam palce, łapiąc za krawędź pudła, ale właśnie wtedy tracę

równowagę i zrzucam dwa kartony oraz kilka książek na podłogę. Z hukiem leczę na ziemię i wyciągam przed siebie dłonie, żeby złagodzić upadek. Czuję ból w nadgarstkach. Widzę papiery porozrzucane po całym dywanie. Cholera.

– Aysel?

Podnoszę wzrok i widzę przed sobą Mike’a. Cholera, cholera. Mike przyciska do piersi pada i patrzy na mnie z rozdziawioną buzią.

– Nic ci się nie stało?

– Nie, przepraszam za hałas. – Macham dłońmi, wskazując rozrzucone papiery. – Straciłam równowagę.

Mike mruży oczy.

– Czego szukasz?

Czołgając się, zaczynam zbierać papiery i wrzucać je na chybił trafił do pudeł. To by było na tyle, jeśli chodzi o zorganizowany gabinet mamy. Jeden

z dokumentów przykuwa mój wzrok. To moje stare świadectwo z czwartej klasy. Podnoszę je i przesuвам palcami po cienkim papierze. Jestem zaskoczona, że je zachowała.

– Aysel – mówi Mike nieco podniesionym głosem. – Dlaczego grzebiesz w rzeczach mamy?

Pokazuję mu swoją cenzurkę.

– Och, przepraszam. Ja... eee... szukałam kilku starych dokumentów ze szkoły. Wiesz, żeby złożyć podanie o przyjęcie do college’u.

– Dlaczego ciągle przepraszasz? – Mike przekłada pada do lewej ręki, a prawą przeczesuje falujące włosy. Zawsze ich dotyka, kiedy jest zdenerwowany lub skrępowany.

Staram się przywołać pogodny wyraz twarzy.

– Bo cię przestraszyłam.

Mike uśmiecha się szeroko.

– Wcale mnie nie przestraszyłaś.

Zmuszam się do uśmiechu.

– Hej, chcesz wrócić na górę?

Mike marszczy brwi.

– Nie mogę ci pomóc w szukaniu?

– Myślę, że mama by się pogniewała, gdybym pozwoliła ci się tu bawić.

Mike wysuwa dolną wargę.

– Nie bawiłbym się. Pomagałbym ci.

– Wiem, ale ona nie chce, żebyś tutaj wchodził.

Mike wzdycha.

– No dobrze.

Kiedy zabiera się do odejścia, mówię:

– Hej, Mikey?

– Tak?

– Możesz coś dla mnie zrobić?

– To zależy. Co takiego?

– Nie mów mamie, że tu byłam.

– Więc to jest tajemnica? – pyta podeksycytowany.

– Tak. Nasza tajemnica.

– Fajnie. Przyjdiesz później ze mną pograć?

Kiwam głową z takim entuzjazmem, że aż czuję ból w karku. Nie jestem przyzwyczajona do gwałtownych ruchów.

– Pewnie.

Gdy Mike odchodzi, wracam do zbierania papierów. Znajduję różne rzeczy: stare kartki urodzinowe, rachunki, raporty o zdolności kredytowej. Wydaje mi się, że i tak były powkładane do pudeł bez ładu i składu, ale jeśli nie, prawdopodobnie zniszczyłam jakiś skomplikowany system organizacji. Już mam się poddać, kiedy trafiam na kopertę. Jest pusta, ale adres zwrotny przykuwa mój wzrok: Zakład Karny McGreavy. To musi chodzić o mojego tatę. Zakład

Karny McGreavy, właśnie tam go znajdę. Czołgam się, szukając brakującej zawartości koperty, kiedy słyszę, jak otwierają się drzwi.

– Cześć! – woła Mike.

– To ja, kochanie! – słyszę odpowiedź mamy.

Szybko wrzucam resztę papierów z powrotem do pudeł. Właśnie mam je odstawić na miejsce, kiedy słyszę kroki za plecami.

– Aysel, co ty tutaj robisz?

Odwracam się, żeby na nią spojrzeć. Ma na sobie robocze ubranie – czerwoną koszulkę polo i odprasowane spodnie khaki. Czy też spodnie khaki, które powinny być odprasowane. Jej są odrobinę pomarszczone i zaczynają się przecierać. Zauważam, że jej buty są stare i zniszczone. Może kiedy już odejdę i będzie miała na głowie jednego dzieciaka mniej, zacznie pracować trochę krócej.

Albo przynajmniej będzie ją stać na to, żeby kupić sobie nowe buty.

– Szukałam kilku dokumentów do podania do college’u.

Wyraz jej twarzy rozdziera mi wnętrzności. Jest ciepły, pełen nadziei i zaskoczenia.

– Naprawdę?

– Tak. Musiałam sprawdzić, czy dostałam szóstkę, czy piątkę z biologii w pierwszej klasie. – Jej usta rozciągają się w cienką kreskę, jakby nie była do końca przekonana, więc ciągnę: – Bo wiesz, to od moich ocen zależy, na które uczelnie mogę aplikować.

Mama wpatruje się we mnie i dotyka palcami ust.

– Ktoś w szkole nie może ci w tym pomóc?

– Może, ale byłam za bardzo ciekawa, żeby czekać. – Mam wrażenie, że język puchnie mi od

kłamstw, kiedy tak patrzę, jak twarz mamy na nowo się rozpromienia.

– Cóż, i znalazłaś to, czego szukałaś? – Mierzy wzrokiem pudła, jakby wiedziała, że narobiłam w nich bałaganu.

– Tak. – Robię krok do przodu, żeby zasłonić jej widok, i kołyszę się na piętach. – Przepraszam, że je pozdejmowałam. Zaraz odstawię je na miejsce.

Mama kręci głową.

– Nie. Jeszcze zrobisz sobie krzywdę. Poproszę Steve’a, żeby to zrobił, kiedy wróci do domu.

Waha się w drzwiach i widać, że czeka, aż wyjdę razem z nią. Dołączam do niej w przedpokoju, a ona gasi światło w gabinecie. W milczeniu wchodzimy do kuchni, a ja po chwili mówię, że idę na górę.

Kiedy już jestem w moim pokoju, padam na łóżko i próbuję wymazać z pamięci obraz

rozpromienionej, pełnej nadziei twarzy mamy. Naciągam kołdrę na głowę i zapadam się w materac. Kładę dłonie na brzuchu i zachęcam czarnego ślimaka, żeby przypomniał mi, że mamie będzie lepiej beze mnie. Że będzie bezpieczniejsza. Że w ostatecznym rozrachunku to, co się wydarzy siódmego kwietnia, będzie dla niej najlepsze. Że to będzie najlepsze dla wszystkich. A już zwłaszcza dla mnie.

środa, 27 marca

11 dni do końca



Dziś w pracy obdzwaniamy ludzi w sprawie Langston. Co roku pod koniec marca władze miasteczka otwierają lunapark na tyłach gimnazjum, a zebrane w ten sposób fundusze przeznaczają głównie na wspieranie drużyny koszykówki, chociaż oficjalnie mówią też o programach naukowych i matematycznych. Zawsze rozstawiają kilka tych samych marnych atrakcji – diabelski młyn,

wirujące filizanki – oraz stoiska, na których sprzedaje się lepką watę cukrową i słodkie napoje. Zespół czirliderek wykonuje kilka pikantnych układów tanecznych. Obłeśni panowie w średnim wieku naprawdę uwielbiają to wiosenne święto.

Podnoszę słuchawkę i wybieram następny numer z listy: John Gordon, zamieszkały przy Mound Street 415. Może John należy do tej grupy demograficznej, która i tak już bierze udział w zabawie, więc nawet nie trzeba będzie mu o tym przypominać.

Odbiera po dwóch sygnałach. Nie mam szczęścia.

– Halo? – mówi z akcentem rodem z Kentucky.

– Dzień dobry, panie Gordon – witam go. – Nazywam się Aysel i dzwonię z firmy Tucker's Marketing Concepts w imieniu miasta Langston.

– Tak? – słyszę w jego głosie zniecierpliwienie, ale jest mniej wzburzony niż większość rozmówców, z którymi mam zazwyczaj do czynienia.

– Jak zapewne pan wie, miasto urządza doroczne święto wiosny... – zaczynam, po czym wciskam mu gadkę na temat tego, że wpływy z wesołego miasteczka dostarczą cennych funduszy szkołom z Langston. Rozpływam się nad zapowiadanyimi występami czirliderek i nad tym, jaką świetną (i bezpieczną – ta, jasne...) rozrywką jest diabelski młyn. Kończę obowiązkowym tekstem: „To świetna zabawa dla mieszkańców w każdym wieku. Wydarzenie dla całej rodziny”. Naturalnie nie wspominam, że czirliderki będą ubrane w góry od bikini w panterkę i będą tańczyć na zewnątrz, mimo że temperatura ledwie przekracza dziesięć stopni Celsjusza. Po drugiej stronie linii panuje milczenie. – Panie Gordon?

– Tak, wiem o święcie wiosny – mówi. – Planujemy z rodziną wypad do wesołego miasteczka jutro po południu.

– Świetnie. Dziękuję, panie Gordon. – Cokolwiek powiedzieć o mieszkańcach Langston, wspierają swoje miasteczko.

Dziś w pracy jestem bardziej skupiona niż zwykle. Chcę przerobić całą listę. Chociaż tak naprawdę po prostu chcę, żeby moja zmiana już się skończyła. Ostatnio zauważyłam, że jeśli w pracy rzeczywiście pracuję, czas płynie szybciej. Po obdzwonieniu sześciu osób z rzędu podnoszę wzrok i spoglądam na Laurę. Marszczy brwi i mruga z niedowierzaniem.

– No co? – pytam i sięgam po słuchawkę, żeby wybrać następny numer.

– Nic. Po prostu jesteś dziś jakaś dziwna. – Wstaje i rusza w stronę ekspresu do kawy. –

Prawie jakbyś była szczęśliwa. Poznałaś kogoś w końcu?

Wybucham śmiechem, który przypomina suche grzechotanie. Szczęśliwa? Ale najsmutniejsze jest to, że Laura jest bliska prawdy. Faktycznie kogoś poznałam. Tylko nie w tym sensie, o jakim ona myśli.

– To takie dziwne, że pracuję?

Kiwa głową.

– Bardzo dziwne.

– Po prostu chcę, żebyś była ze mnie dumna, Laura – salutuję jej żartobliwie, a ona kręci głową.

Na dwie minuty przed końcem zmiany otwieram przeglądarkę internetową. Nie objąłam się przez cały dzień, więc czuję, że zasłużyłam na przerwę. Szukam w sieci numeru telefonu do Zakładu Karnego McGreavy. Zajmuje mi to chwilę, ale w końcu go znajduję. Zapisuję numer

w notesie leżącym na biurku, a potem wyrywam z niego kartkę, składam ją i wsuwam do kieszeni. Wstaję od biurka i zarzucam plecak na ramiona. W drodze do wyjścia macham do pana Palmera. Wygląda, jakby miał dostać ataku serca.

– Cześć, Aysel – mówi bez przekonania.

Wiem, że sprawiam wrażenie, jakbym była w lepszym nastroju. Ale sama nie wiem, czy naprawdę czuję się lepiej, czy to mój umysł płata mi figle, bo mam świadomość, że wkrótce wszystko się skończy, więc nie muszę się już niczym przejmować. Wszystko sobie zaplanowałam. Wiem dokładnie, jak chcę spędzić te ostatnie dni. Takie poczucie celu podnosi na duchu.

Kiedyś rozpaczałam na myśl o tym, jak długie są dni, jak czas zdaje się rozciągać w nieskończoność, bezlitosny i niezmienny. I, jak powiedział John Berryman, taki nudny.

Zastanawiam się, czy właśnie tak czują się maratończycy, gdy rozpoczynają ostatni kilometr biegu – wiedzą, że na pewno uda im się pokonać ten ostatni odcinek, więc już nie ma sensu się męczyć.

Rzucam plecak na siedzenie pasażera, a sama siadam za kierownicą. Otwieram przednią kieszeń plecaka i wyjmuję komórkę. Wyciągam karteczkę z kieszeni. Robię głęboki wdech, po czym wystukuję numer.

W pracy ciągle wydzwaniałam do ludzi, których nie znam, więc nie powinnam się denerwować, ale serce wali mi jak oszalałe, dlatego włączam stację z muzyką klasyczną. Wielka *Msza h-moll* Bacha wylewa się z głośników. Po chwili mam wrażenie, jakby ktoś okrył mi ramiona kocem. Ściszam dźwięk, żeby radio nie grało za głośno, kiedy ktoś z Zakładu Karnego McGreavy w końcu postanowi

odebrać telefon. Opieram nogi o deskę rozdzielczą i rozkładam siedzenie, żeby móc się położyć. Nuce w takt muzyki, stukając palcami o porwaną tapicerkę, gdy nagle zaskakuje mnie głos na drugim końcu linii:

– Tu Tom. W czym mogę pomóc?

Podrywam się do pozycji siedzącej.

– Czy dodzwoniłam się do Zakładu Karnego McGreavy?

– Tak – mówi, wzdychając z irytacją.

– Dzwonię, bo chciałabym się dowiedzieć, co muszę zrobić, żeby odwiedzić mojego ojca.

– Hę?

– Mój ojciec. On jest... – szukam odpowiedniego słowa – ...jednym z więźniów.

– Ach – odpowiada Tom. Najwyraźniej należy do tych osób, które porozumiewają się monosylabami. – Przełączę cię do działu odwiedzin.

Zanim zdążę cokolwiek powiedzieć, w telefonie zapada cisza, po czym znowu rozlega się kiczowata muzyczka w tle. Podkręcam dźwięk w radiu. Wkrótce wita mnie nowy głos:

– Tu Bob.

Pracownicy Zakładu Karnego McGreavy nie tylko odpowiadają monosylabami. Ich imiona również składają się tylko z jednej sylaby.

– Cześć, Bob – mówię, starając się brzmieć przyjaźnie, żeby chciał mi pomóc. – Dzwonię, żeby dowiedzieć się, w jaki sposób mogę odwiedzić mojego tatę.

– Twój tata jest tu zamknięty?

– Tak – mówię swobodnie, jakby to nie było nic wielkiego, jakbym była dobrze zaznajomiona z systemem więziennictwa czy coś.

– A ty jesteś na liście?

– Co takiego?

– Na liście osób, które mogą go odwiedzać. Jeśli jesteś jego córką, powinnaś być na tej liście.

Przełykam ślinę.

– Nie wiem, czy jestem na liście.

Mama nigdy nie pozwoliła mi odwiedzić taty. Ani razu.

– Cóż, jeśli nie ma cię na liście, nic nie mogę dla ciebie zrobić. Ale myślę, że na niej jesteś. Kiedy ludzie tu trafiają, zazwyczaj wpisują na listę najbliższych członków rodziny. Na wypadek gdyby którykolwiek z nich kiedyś chciał ich odwiedzić.

– Okej – mówię powoli. – Więc po prostu mam przyjechać?

Bob wydaje dźwięk będący połączeniem śmiechu i prychnięcia.

– Tak. Po prostu masz przyjechać w godzinach odwiedzin. Działa to na zasadzie: kto pierwszy, ten

lepszy. Jeśli wszystkie kabiny w pokoju odwiedzin będą zajęte, kiedy dotrzesz na miejsce, trafisz na listę oczekujących. Nie mogę ci obiecać, że się uda.

– A jakie są godziny odwiedzin?

– Dziewczyno – mówi Bob i praktycznie słyszę, jak potrząsa głową. – Wszystkie te informacje są na naszej stronie internetowej. Ale powiem ci, bo cię lubię.

Wygląda na to, że przyjazny ton głosu się opłacił.

– Bardzo ci dziękuję, Bob.

– No więc więźniów można odwiedzać od wtorku do soboty. Mamy sesję poranną, od dziesiątej do dwunastej. A potem popołudniową, od trzynastej do szesnastej. Chcesz usłyszeć moją radę?

– Bardzo, Bob.

– Postaraj się tu dotrzeć jak najwcześniej. Dzięki temu będziesz miała większą szansę, że się uda. Pod koniec dnia robi się tu tłok.

– Jestem ci naprawdę wdzięczna. Do zobaczenia w sobotę.

– Ta, okej. – Bob rozłącza się pierwszy.

Podnoszę siedzenie, ale nie odjeżdżam sprzed siedziby TMC. Mam mętlik w głowie. Obejmuję ją dłońmi i robię kilka głębokich oddechów. Po chwili znowu łapię za komórkę i dzwonię do FrozenRobota. Wiem, że to głupie, ale nie potrafię się powstrzymać. Chcę podzielić się z kimś moimi myślami, a on jest jedyną osobą, z którą mogłabym porozmawiać. To chyba kolejny powód, dla którego ludzie mają partnerów do samobójstwa. Bywają przydatni.

– Hej – mówi Roman.

– Hej, co słysząc?

Nie odpowiada.

– Po prostu siedzisz sobie w swoim pokoju? – zachęcam go.

– Co innego miałbym robić?

– Nie wiem. Grać w kosza.

Wyobrażam sobie, jak piorunuje mnie wzrokiem. Jak leży na plecach na bawełnianej kołdrze, mruży złotozielone oczy, opiera szkicownik o kolana, a w dłoni trzyma ołówek. Wyobrażam sobie, jak Kapitan Nemo mówi mu, żeby się wyluzował, a to wprawia go tylko w jeszcze większą wściekłość. Chyba wyrwał mi się śmiech, bo Roman mówi:

– Proszę, przestań.

– Okej, przestanę. Obiecuję – odpowiadam szybko.

– Wciąż to powtarzasz, ale wcale nie przestajesz. To zaczyna się robić naprawdę irytujące.

Wbijam paznokcie w fotel. Nie chcę, by uważał mnie za irytującą. Wiem, że nie powinno mnie obchodzić, co o mnie myśli, ale trochę mnie obchodzi.

– Przepraszam – mówi Roman cicho. – Nie powinienem był tego mówić.

– Nie, w porządku. Zasłużyłam sobie.

– Nieprawda.

Milknę na chwilę. Słyszę tylko jego płytki oddech. Chcę zapytać, czy rysuje, ale nie robię tego.

– Mogę po ciebie przyjechać?

– Po co?

Nabieram powietrza w płuca i próbuję znaleźć wymówkę, żeby móc się z nim zobaczyć. Myśli

kłębią mi się w głowie i przypominam sobie wszystkie te rozmowy telefoniczne, które dziś wykonałam.

– Pomyślałam sobie, że moglibyśmy pójść do lunaparku.

– Czy ty już kompletnie oszalałaś?

– To znaczy, że się zgadzasz? – droczę się z nim, po czym szybko zmieniam ton: – W końcu to ty powiedziałaś, że będzie ci łatwiej wymknąć się siódmego, jeśli twoja mama naprawdę uwierzy, że się przyjaźnimy.

– To prawda, ale wciąż nie rozumiem, dlaczego chcesz pójść akurat do lunaparku.

– Będę u ciebie za piętnaście minut – mówię i się rozłączam.

Roman ma rację. Wedle wszelkich standardów, wedle moich standardów, powinnam unikać takich miejsc jak ognia. Ale im bliżej siódmego kwietnia,

tym bardziej zuchwale się czuję. Prawda jest taka, że lunapark to jedno z ostatnich miejsc, w których byłam naprawdę szczęśliwa. Nie wiem, ile miałam lat, kiedy uświadomiłam sobie, że tkwiący we mnie czarny ślimak nieuchronnie pożre każdą moją pozytywną myśl. Ale wtedy, tego ostatniego razu, kiedy byłam w wesołym miasteczku, a tata trzymał mnie za rękę, moje szczęście nie zniknęło.

Trwało.

środa, 27 marca

II dni do końca



Zajeżdżam pod dom Romana i wysyłam mu esemesa. Po kilku sekundach FrozenRobot wychodzi i rusza w stronę mojego wozu. Kaptur niebieskiej bluzy ma naciągnięty na głowę. Garbi się, jakby próbował się ukryć przed jakimś niewidzialnym wrogiem. Kiedy wyjeżdżam z jego uliczki, odzywa się po raz pierwszy:

– No więc po co jedziemy do lunaparku?

– Myślałam, że robię ci przysługę. Twoja mama będzie naprawdę podekscytowana, że wychodzisz i zachowujesz się normalnie.

Odchyła głowę do tyłu, uderzając nią w zagłówek.

– Tak, powiedziałaś to przez telefon. Pytam, dlaczego ty chcesz jechać do lunaparku.

Zerkam na niego. Szczęki ma zaciśnięte, oczy spuszczone. Nie wygląda na to, żeby był w nastroju na jakiegokolwiek wygłupy. „Nie musisz się tak wściekać, FrozenRobot”.

– Okej, w porządku. Będę z tobą szczerą. Zadzwoiłam do Zakładu Karnego McGreavy. – Milknę na chwilę. – Bo to tam jest mój tata. Siedzi tam w więzieniu. I chciałam ci opowiedzieć, czego się dowiedziałam o tym, jak można go odwiedzić.

Roman unosi podbródek i wlepia wzrok w przednią szybę. W ogóle nie reaguje na

wyznanie, że mam ojca w więzieniu. Zupełnie jakbym mu powiedziała, że mój tata zajmuje się smaženiem naleśników w lokalnym barze czy coś takiego.

– Słyszałeś mnie? Mój tata jest więźniem w Zakładzie Karnym McGreavy.

Roman nie patrzy na mnie. Wciąż spogląda przez przednią szybę.

– Nie mogłaś mi tego powiedzieć przez telefon?

Wzruszam ramionami, chociaż wiem, że na mnie nie patrzy. To zabawne, te rzeczy, które robimy, nawet gdy nikt nie widzi.

– No, tak. Ale pomyślałam, że będzie fajnie pójść do lunaparku i powiedzieć ci o tym osobiście.

– Fajnie? – wypluwa to słowo w taki sam sposób, w jaki wymówił słowo „przyjaciele” tego pierwszego dnia, kiedy go poznałam. W końcu

odwraca się, żeby na mnie spojrzeć. – Kim ty jesteś?

Wciskam pedał gazu i wlepiam wzrok przed siebie, próbując mu nie okazać, jak bardzo zranił mnie jego ton. Nie odpowiadam na pytanie, bo nie jestem pewna, czy w ogóle znam jeszcze odpowiedź. Resztę drogi pokonujemy w milczeniu.

Kiedy docieramy do wesołego miasteczka, parkuję samochód na błotnistym terenie naprzeciwko gimnazjum. Idziemy ramię w ramię do wejścia, a ja kupuję bilety dla nas obojga. Tyle przynajmniej mogę zrobić, skoro zmusiłam go do pójścia ze mną, a on zapłacił za mnie w zoo. Na bramach do lunaparku ktoś powiesił pięć ogromnych bannerów z Brianem Jacksonem. Ukradkowo zerkam na Romana i widzę, że przygląda się zdjęciom. Czuję suchość w ustach, ale zmuszam się, żeby zapytać:

– Kiedy ostatnio rozmawialiście?

Roman wzrusza ramionami.

– Jakiś czas temu. Tak naprawdę to już go nie znam.

Możliwe, że mam paranoję, a właściwie to wiem, że ją mam, ale brzmi to tak, jakby coś czaiło się tuż pod powierzchnią głosu Romana. Jakby coś wiedział i nie chciał, żebym się zorientowała, że o tym wie.

– Naprawdę byłeś taki szybki jak on? – Wspominam nasze pierwsze spotkanie i to, jak Lance i Travis przechwalali się jego umiejętnościami.

Roman śmieje się zimno.

– Nie. Bri zawsze był znacznie szybszy – odwraca się do mnie z przebiegłym uśmiechem na twarzy – ale ja lepiej go kiwałem przy dryblowaniu.

Obmywa mnie płytka fala ulgi. Może ta nuta w głosie Romana nie miała związku z moim tatą. Może naprawdę wciąż nic nie wie. Może to była tylko zazdrość, ból wywołany przypomnieniem, jak bardzo zmieniło się jego życie po śmierci Madie. Mam właśnie zadać mu kolejne pytanie, ale Roman kiwa głową w kierunku lunaparku.

– To wchodzimy do środka czy jak?

Wręczam mu jego bilet.

– Tak. Chodźmy.

W lunaparku jest już tłoczno. Dzieciaki przebiegają obok nas, goniąc się nawzajem. Ręce mają lepkie od waty cukrowej, a usta niebieskie po wypiciu zbyt wielu soków z kruszonym lodem. Serce mi się kraje. Chciałabym znowu być w tym wieku, zanim uświadomiłam sobie, że coś jest naprawdę nie tak z moim tatą. Że coś jest naprawdę nie tak ze mną.

Roman kładzie mi dłoń w okolicy krzyża. Nie do końca potrafię go rozgryźć. Jak na kogoś, kto bywa taki zimny, nie potrafi utrzymać rąk przy sobie.

– Wszystko w porządku?

– Po prostu wspominam – mówię.

Ziemia pod moimi stopami jest miękka, trampki grzęzną w błocie. Pachnie popcornem, smażonym jedzeniem i kurzem.

Roman kiwa głową i zabiera dłoń z moich pleców.

– Maddie uwielbiała ten lunapark.

Nie wiem, co powiedzieć, więc proponuję:

– Chcesz się przejechać na diabelskim młynie?

Wzrusza ramionami.

– Pewnie. Czemu nie.

Czekamy w kolejce. Widzę kilka osób z mojej klasy. Zastanawiam się, czy przyszedł tutaj, żeby

obejrzeć występ mojej siostry. Pewnie ja też powinnam go zobaczyć. Chociaż moja obecność mogłaby jej bardziej zaszkodzić, niż pomóc. Zawsze tak jest.

Widzę, jak Stacy Jenkins pochyła się do Nate'a Connorsa i szepcze mu coś do ucha. Wyobrażam sobie, że mówi coś na mój temat. Zagryzam policzek od środka i staram się ich ignorować. Roman zerka na mnie i najwyraźniej wyczuwa, że się spięłam.

– Co się stało? Masz problem z...

Przerywam mu:

– Nie przejmuj się tym.

Roman odwraca się i spogląda krzywo na Stacy i Nate'a. Nawet jeśli wcześniej mnie nie obgadywali, to teraz na pewno zwrócili na mnie uwagę. Nienawidzę tego uczucia, cudzego wzroku na moim karku, jakbym była celem, w który

z niecierpliwością ktoś próbuje trafić. Obejmuję się ramionami i próbuję wyciszyć. Nucę *Requiem* Mozarta, powoli kołysząc się na piętach w przód i w tył. Nie chcę, żeby Roman prowokował ludzi z mojej klasy do rozmów na mój temat. Jeśli zaczną o mnie gadać, on z pewnością rozgryzie, kim jest mój tata. To chyba najgorszy sposób, w jaki mógłby się dowiedzieć.

Docieramy na przód kolejki i mężczyzna, któremu została może połowa zębów, kieruje nas do następnej kabiny. Wsiadamy i kabina powoli podrywa się do góry.

– Naprawdę myślisz, że odwiedziny u taty ci pomogą? – pyta Roman. Patrzy na mnie zamiast na ziemię poniżej, jakby nie rozumiał, że właśnie na tym polega cała frajda.

– Nie wiem. Ale muszę się dowiedzieć paru rzeczy.

Spoglądam na stoiska z jedzeniem, budy i namioty, które robią się coraz mniejsze. Zastanawiam się, czy tak wygląda umieranie. Wszystko w umyśle staje się coraz mniejsze i mniejsze, aż w końcu znika...

– Jakich rzeczy? – drąży Roman. – Powiedzi-
ałaś, że spotkanie z nim nie zmieni twojego zdania
na temat... no wiesz. – Podrywa dłonie z kolan.

Mam ochotę mu powiedzieć, że powinien czuć
się swobodniej, mówiąc o śmierci, ale daję spokój.
Ostatnia rzecz, jakiej potrzebuję, to kolejna kłótnia
z nim.

– Słuchaj – mówię, podnosząc głos. – Mój tata
jest strasznym kolesiem. Okej? Zrobił niewyob-
rażalnie potworną rzecz. Po prostu chcę wiedzieć
czemu.

– Ale po co? Jeśli to i tak nie ma znaczenia, dlaczego musisz wiedzieć? – Jego głos jest cichy i spokojny. Żadnego nacisku. Żadnego osądzania.

Ogarnia mnie pragnienie, żeby go uściskać. Tak bardzo podoba mi się, że nie zapytał, co zrobił mój ojciec. Nie interesują go makabryczne szczegóły. Patrzę na jego szerokie ramiona i wyobrażam sobie moją twarz przyciśniętą do jego piersi. Ale nie mogę sobie pozwolić na takie myśli, więc odwracam wzrok i skupiam się na widoku stoiska z drożdżowymi precelkami. Mój tata uwielbiał drożdżowe precelki. Zawsze żartował, że to jedna z najlepszych rzeczy w Ameryce. Kupował jeden słodki cynamonowy dla mnie i jeden z cheddarem i cebulą dla siebie. Przechadzaliśmy się po lunaparku z precelkami w dłoni, oglądając różne rozrywki i dyskutując o tym, których powinniśmy

spróbować. W tych rzadkich momentach czułam się jak w domu.

– Hej, obudź się! – Roman klepie mnie po ramieniu i macha mi dłonią przed twarzą.

– Przepraszam. Chyba odpłynęłam. Lubię patrzeć na ziemię poniżej. Lubię obserwować, jak wszystko robi się coraz mniejsze.

– W porządku, ale wciąż nie odpowiedziałaś na moje pytanie. Chcę zrozumieć, Aysel. Naprawdę chcę. Ale nie rozumiem. Jeśli zamierzasz ze mną skoczyć siódmego kwietnia, jakie to ma znaczenie, dlaczego twój ojciec zrobił to, co zrobił?

Obgryzam paznokiec kciuka i zmuszam się do myślenia o tygodniach poprzedzających tę tragedię. Tata był nerwowy, nawet bardziej niż zwykle. Był przekonany, że traci pieniądze, bo dzieciaki rozkradają towar, chowają po kieszeniach batoniki i wynoszą czasopisma, kiedy nie patrzył.

Pamiętam, jak pewnego dnia wpadłam do sklepu po szkole i zobaczyłam, jak siedzi za ladą, obsesyjnie przeglądając papiery. Spojrzał na mnie oczami nabiegłymi krwią. „Próbuję i próbuję, Zelle. Ale po prostu nie wiem, czy to wystarczy”. Chciałam uciec daleko od tych oczu, ale przełknęłam strach i dosiadłam się do niego. Objęłam go ramiionami i wtuliłam nos w materiał jego koszuli, która zawsze pachniała czosnkiem. Po chwili zaczął nucić fragment *I Koncertu brandenburskiego* Bacha.

Zaciskam powieki. Czasami wciąż słyszę jego niski, stłumiony głos w moim uchu.

– Nie wiem, Roman – wzdycham i otwieram oczy. – Ale on mnie wychował, wiesz? Po prostu potrzebuję jakiegoś zakończenia.

Nasza kabina zatrzymuje się na dole i wysiadamy. Roman obejmuje mnie ramieniem i przyciąga do siebie.

- Jeśli tylko nie zrezygnujesz.
- Mówiłam ci już, że traktuję to poważnie.
- Moja dziewczynka.

Czuję drgnienie w sercu na te słowa i upominam się, że muszę wziąć się w garść. Tak czy inaczej Roman się myli: nie tchórzę ani nie szukam powodów do życia. Chcę uzasadnić swoje powody, by umrzeć. Ale kiedy zerkam na jego twarz i widzę cienie pod oczami, nie jestem pewna, czy to jego, czy siebie samą próbuję o tym przekonać. „Nie jestem tchórzem – powtarzam sobie w myślach. – Nie jestem tchórzem. Właśnie tego chcę”.

- Co się z tobą dzieje? – Roman marszczy brwi.
- Nic – mówię i chciałabym, żeby tak było. – No więc możesz ze mną pojechać w tę sobotę?

– Żeby odwiedzić twojego ojca?

– Tak.

– Chyba tak. Pewnie... – mówi. – Będę tylko musiał znaleźć jakąś wymówkę, żeby móc się wyrwać.

– Przyjadę po ciebie w sobotę rano. Pewnie dość wcześnie. Pasuje ci?

Wzrusza ramionami.

– Po prostu wyślij mi esemesa.

– Okej.

Stoimy w milczeniu przez parę krępujących chwil.

– No cóż, ty mnie tu zaciągnęłaś. Równie dobrze możemy spróbować się dobrze bawić. – Wymawia słowo „bawić”, jakby to był obcy wyraz, żart.

Prowadzi mnie w stronę budy z minikoszykówką. Podaje pracownicy jakies

wymięte banknoty, a ona wręcza mu piłkę. Nie rozpoznaję tej kobiety, ale zapewne to mama kogoś ode mnie z klasy. Patrzy na mnie tak, jakby wiedziała, kim jestem, i wiedziała, kim jest mój tata, ale nic nie mówi. Roman trzyma piłkę w dłoniach i spogląda na obręcz kosza. W myślach układam zadanie z fizyki, próbując obliczyć energię potencjalną piłki. Roman opiera piłkę o ściankę budy i patrzy na mnie.

– Znowu to robisz, prawda?

– Co takiego? – Krzyżuję ramiona na piersi.

Pracownica budki spogląda na mnie, unosząc brwi. Potrafię poznać, że to jedna z tych mam, które podniecają się dramataми nastolatków. Świetnie.

– Te twoje naukowe dziwactwa. Wiecznie myślisz o fizyce.

Oblewam się rumieńcem.

– Skąd wiedziałaś?

Jego twarz rozjaśnia się znajomym krzywym uśmiechem.

– Miałaś taką samą minę jak wtedy, gdy robiłaś zdjęcia w zoo. Jakbyś naprawdę się na czymś koncentrowała.

Odwraca się w stronę obręczy i rzuca. Piłka gładko wpada do kosza. FrozenRobot zna się na rzeczy. Kobieta prowadząca budkę unosi w górę jeden cienki palec, by zaznaczyć, że zdobył punkt. Wielkie dzięki. Mamy samobójcze myśli, ale potrafimy liczyć do jednego. Kiwam głową, żeby dać jej znać, że rozumiemy. Roman obraca piłkę w dłoniach.

– Ale lubię tę minę. Jest urocza.

Nie mogę się nie zaśmiać. Chyba jeszcze nigdy w życiu nikt nie określił mnie przymiotnikiem „urocza”. Nawet gdy byłam mała, zawsze

mówiono, że jestem wyjątkowa – co oznaczało, że nie wyglądam jak pozostali mieszkańcy Langston. Ewentualnie określano mnie słowem „słodka”, czyli cicha i skromna. Ale nigdy nie byłam uroczą.

– No co? – Roman kuca odrobinę i kolejny raz wyrzuca piłkę w powietrze.

Piłka odbija się od obręczy, ale ląduje w koszu. Pokazuję kobiecie dwa palce, a ona uśmiecha się do mnie bez przekonania.

– Tak – mówi. Ma silny południowy akcent. – Zaliczył dwa rzuty. Zostały mu jeszcze dwa.

Roman przygląda się pluszowym zabawkom. Stoją tu całe rzędy różowych pand i jaskrawopomarańczowych tygrysków. Zauważam nawet parę niebieskich słoń.

– Co mogę wygrać? – pyta.

Kobieta prostuje się i wyciąga ramiona niczym gospodyni teleturnieju, zataczając nimi wokół.

– Jeśli zaliczysz wszystkie cztery rzuty, możesz wybrać, co tylko zechcesz.

– Nawet tego ogromnego lwa? – pyta Roman, wyciągając szyję, żeby lepiej przyjrzeć się gigantycznej zabawce stojącej na najwyższej półce. Grzywa lwa wygląda na naprawdę szorstką, ale pluszak i tak robi imponujące wrażenie.

Kobieta uśmiecha się do mnie szeroko.

– Nawet lwa. To tego sobie upatrzyłaś?

– Ja? – mrugam zdezorientowana.

– No tak. Chłopak chce wygrać dla ciebie nagrodę, kochanie. Czy nie? – Cmoka językiem, wydając dźwięk przypominający gdakanie.

Nigdy nie zrozumiałam, dlaczego kobiety z Langston uwielbiają to robić. Chyba odczuwają jakieś dziwne pokrewieństwo z populacją kurczaków.

– Nie sędzę. – Wkładam ręce do kieszeni czarnych dżinsów i przestępuję z prawej nogi na lewą.

Roman udaje, że nie słyszał jej komentarza. Przygotowuje się do następnego rzutu. Patrzą na jego twarz ściągniętą w skupieniu, głęboko osadzone oczy szeroko otwarte i pałające entuzjazmem, napięte mięśnie ramienia – i zastanawiam się, czy widzi coś podobnego, kiedy obserwuje mnie, gdy myślę o fizyce. Oczywiście wciąż wygląda dość marnie, bardziej jak FrozenRobot niż Roman, ale coś w nim jest, jak cień, który czasami wkrada się w kadr zdjęcia. Mam ochotę to uchwycić. Skupić na tym cieniu ostrość obiektywu.

Nagle uświadamiam sobie, co to takiego. To radość. FrozenRobot kocha koszykówkę. Kocha w nią grać. Niezależnie od tego, jak bardzo stara się stłumić tę radość, ona wciąż w nim tkwi. Zastanawiam się, czy radość ma energię

potencjalną. Albo czy istnieje energia potencjalna, która prowadzi do radości, jak surowica szczęścia, która gromadzi się w żołądkach i powoli musuje, wywołując to uczucie. Jeśli tak jest, to czarny ślimak pochłania całą moją energię potencjalną. Wróć. Większość tej energii. Widok FrozenRobota grającego w kosza niemal skłonił mnie do uśmiechu. Ale „niemal” to tutaj kluczowe słowo.

Roman trafia bez pudła za trzecim i czwartym razem. Właściwie ledwo zwracałam uwagę na same rzuty. Bardziej podobały mi się przygotowania. Moment rzutu mija zbyt szybko; prawie nie da się go uchwycić.

– No więc którą nagrodę wybierasz? – pyta kobieta.

Zauważam, że ma szminkę koloru morwy rozmazaną na przednim zębie.

– Czegokolwiek zażyczy sobie ta dama – mówi Roman, a ja jestem kompletnie zaskoczona.

Kobieta z zębem umazanym szminką zwraca się do mnie:

– A zatem lew?

Nie mogę wydusić słowa. FrozenRobot nie powinien wygrywać dla mnie nagród w wesołym miasteczku. Ostatnia rzecz, jakiej potrzebuję, to jeszcze więcej rzeczy, które będę musiała porzucić. Ostatnia rzecz, jakiej potrzebuję, to jeszcze większe zdezorientowanie.

Kręcę głową.

– Nie chcę niczego.

Kobieta marszczy brwi, a Roman trąca mnie ramieniem.

– No dalej, Aysel. Musisz coś wybrać. Wygrałem.

– Wiem – wyrzucam z siebie. – Po prostu chodzi o to, że chcę czegoś innego.

Kobieta marszczy brwi jeszcze bardziej.

– Mamy tylko te nagrody, które widzisz, skarbie.

Znowu kręcę głową, tym razem szybciej.

– Nie, nie. Nie chcę innej nagrody. Chcę, żeby dała pani moją nagrodę komuś innemu.

Tym razem kobieta unosi brwi, zdziwiona. Próbuję wyjaśnić:

– To znaczy, jeśli jakieś dziecko przyjdzie zagrać, ale nie uda mu się nic trafić. Może pani i tak dać mu moją nagrodę? – Zagryzam dolną wargę.

Kobieta kładzie dłonie na biodrach.

– Ale skąd będę wiedziała, któremu dzieciakowi ją dać?

Wzruszam ramionami.

– Proszę ją dać temu, który będzie wyglądał tak, jakby najbardziej jej potrzebował. Temu, który będzie wyglądał na najbardziej samotnego.

Kobieta marszczy nos, rozważając moje słowa, po czym uśmiecha się kącikami ust.

– W porządku, kochana. Co tylko zechcesz. Uczynisz jakiegoś dzieciaka bardzo szczęśliwym.

– Ten gigantyczny lew uczyni go szczęśliwym – mówię, po czym szepczę pod nosem: – Przynajmniej mam taką nadzieję.

Kiedy oddaliśmy się od budki, Roman wyciąga do mnie rękę. Biorę ją, a on splata palce z moimi. Nic nie mówię. Wiem, że ten gest nie ma żadnego podtekstu. To zupełnie inny rodzaj trzymania się za ręce. Pewnie w taki właśnie sposób będziemy się trzymać siódmego kwietnia. Ale i tak czuję ciepło rozchodzące się po całej skórze. Mam

nadzieję, że Roman tego nie zauważy. Że po prostu pomyśli, że z natury łatwo pocą mi się dłonie.

– To było naprawdę super – mówi, huśtając naszymi dłońmi w powietrzu. Pozwalam mu prowadzić moją dłoń, jakbyśmy stanowili jedność.

– Byłaś samotnym dzieckiem?

Zastanawiam się przez chwilę nad jego pytaniem.

– Nie zawsze.

Pochyliła głowę, żeby spojrzeć mi w oczy. Nic nie mówi. Nie musi. Wiem, że prosi mnie o wyjaśnienie.

– Po tym, co zrobił mój tata, straciłam wszystkich przyjaciół. Niektórzy z nich odsunęli się ode mnie natychmiast, niektórych sama odepchnęłam. Byłam zbyt przerażona, by pozwolić komukolwiek być blisko – wzdycham. – Nie wiem, jak to wyjaśnić.

Roman kiwa głową. Za dnia jego oczy mają kolor trawy splamionej blaskiem słońca.

– Nie, pojmuję. Twój smutek jest tak głęboki i przytłaczający, że boisz się, że jeśli pozwolisz bliskim osobom w twoim życiu zbliżyć się do niego za bardzo, to też się w nim utopia.

Rzeczywiście rozumie.

– Właśnie.

Roman unosi drugą dłoń i odgarnia pasmo włosów z mojej twarzy.

– Ja zrobiłem to samo, wiesz? Odepchnąłem swoich przyjaciół. Ale myślę, że tak trzeba. To jedyny sposób.

Wciąż trzyma mnie za rękę, a ja zastanawiam się, jak szybko wypuściłby moją dłoń, gdyby wiedział, co mój ojciec zrobił Timothy’emu Jacksonowi.

– Opowiedz mi o tym więcej. O twoim smutku
– naciska.

– Dlaczego?

– Chcę rozumieć. Lubię cię rozumieć. Od dawna nie czułem więzi z nikim, ale myślę, że wiem, co się z tobą dzieje.

Czarna dziura mego serca zamiera, wysysając mi całe powietrze z płuc. Nie może tak być. To tylko sprawia, że siódmego kwietnia będzie trudniej. Tłum gimnazjalistów przemyka obok, wydając ochy i achy na nasz widok. Policzki Romana oblewają się rumieńcem, ale nie puszcza mojej dłoni. Czuję, że sama też się czerwienię.

Stoimy tak bez ruchu przez chwilę, a potem on delikatnie ciągnie mnie za rękę, zachęcając do dalszego spaceru. Chodzimy po lunaparku w milczeniu, a pod naszymi trampkami chrzęści słoma, którą rozsypano, by wchłonęła błoto. Gdy

podchodzimy do wirujących filiżanek, Roman podejmuje przerwany wątek:

– Ja czasami mam wrażenie, jakby żal pożerał mnie żywcem. Myślałem, że najtrudniej będzie, kiedy przypomni mi się coś na jej temat, ale wcale tak nie jest. Najtrudniej jest wtedy, gdy tęsknię za tym, jaka mogłaby być. Pewnie, w święta jest ciężko, ale ja mówię o drobiazgach. Na przykład gdy jesteśmy w sklepie spożywczym i mijam alejkę z mrożonkami, i wyobrażam sobie, jak Madison błaga mamę, żeby kupiła jej duże lody na patyku. – Milknie na chwilę i śmieje się gorzko. – Tak, przez sześć miesięcy mama nie spuszczała mnie z oczu. Zmuszała mnie, żebym chodził z nią na zakupy. – Zwiesza głowę, wlepiając wzrok w pobrudzone błotem buty. – A najgorsze jest to, że ja wiem, że to przeze mnie Madison nie ma w tym sklepie i nie może błagać o lody. Dałbym

wszystko, żeby zobaczyć ją jeszcze raz, żeby zamienić się z nią miejscami...

Mocniej ściskam jego dłoń, jakbym się bała, że zniknie, że ten żal pożre go tutaj, na miejscu.

– To dlatego rysuję – wyznaje Roman. – Zanim Madison zmarła, szkicowałem trochę, ale ukrywałem to przed wszystkimi. Nie robiłem tego na poważnie. No i spójrzmy prawdzie w oczy, moi kumple nie daliby mi spokoju, gdyby się o tym dowiedzieli. Ale teraz rysuję, bo czasami mam wrażenie, że rozmowa jest niemożliwa. Jakbym był uwięziony w głębokiej dziurze, z której nie mogę się wydostać. Rysuję, żeby spróbować z niej uciec, chociaż wiem, że nigdy mi się to nie uda.

Z trudem przełykam ślinę i trawię wszystko, co właśnie mi wyznał. Nie jestem pewna, czy kiedykolwiek słyszałam, żeby FrozenRobot powiedział tak wiele naraz. Czuję jego ból i chciałabym coś

zrobić, żeby mu pomóc, ale wiem, że nie mogę. Nie da się go wydobyć z jego głębokiej dziury. Nie da się ocalić mnie przed moim czarnym ślimakiem.

– Ale przynajmniej masz prawo tęsknić za Madison – mówię cicho.

Musiał zrozumieć, co mam na myśli, bo pyta:

– Tęsknisz za nim? Za tatą?

– Tak – wyznaję bez wahania. – Owszem, tęsknię. I dlatego wiem, że jestem szalona.

Roman zatrzymuje się i odwraca do mnie. Stoimy pierś w pierś czy raczej mój podbródek w jego pierś. Wciąż trzyma mnie za rękę, a drugą kładzie na moim ramieniu. Jego dłoń jest ciepła i lepka od potu. Może, tylko może, też jest odrobinę zakłopotany.

– Nie sądzę, żebyś była szalona – szepcze. – Ale rozumiem, dlaczego tak myślisz. Chciałbym, żebyś

nie czuła się w ten sposób. Żeby nic z tego się nie wydarzyło.

– Ja też – odpowiadam ledwie słyszalnie.

Odsuwa mnie odrobinę, żeby móc na mnie spojrzeć.

– Mogę cię o coś zapytać?

– Pewnie.

– Jako osoba mająca świra na punkcie nauki, czy wierzysz w równoległy wszechświat? Myślisz, że jest jakiś inny wymiar, w którym jesteśmy szczęśliwi? W którym ty wciąż masz ojca, a ja wciąż mam Maddie? W którym jesteśmy po prostu normalnym chłopakiem i normalną dziewczyną w wesołym miasteczku?

Puszczam jego dłoń i odsuwam się od niego.

– Nie mogę myśleć o czymś takim.

Roman marszczy brwi i pociera dłonią kark.

– Jak to?

– To wywołuje we mnie zamęt.

– A te wszystkie bzdury o energii potencjalnej nie?

Palą mnie policzki.

– Nie wiem. To wydaje się inne. Chyba po prostu mniej hipotetyczne.

Próbuję powiedzieć coś mądrego. Coś, dzięki czemu zrozumiałby, dlaczego moje paplanie na temat energii potencjalnej jest bliższe nauce niż fantastyce naukowej, ale zanim cokolwiek przyjdzie mi do głowy, pyta:

– Wiesz, co wywołuje zamęt? Twoje szczęście, kiedy myślisz o nauce. To sprawia, że i ja czuję się w pewnym sensie... szczęśliwy. – Roman garbi się i szura nogami. – I to właśnie rodzi we mnie zamęt.

Czuję ucisk w gardle i wiem, że powinnam powiedzieć, co ja zauważyłam, kiedy rzucał do

kosza, ale nie robię tego. Myślę o czarnym ślimaku pełzającym po moim wnętrzu, wysysającym potencjalną energię do radości. Przyciskam dłoń do brzucha i rozpaczliwie pragnę, żeby go nie było, żeby istniał sposób na to, by naprawić mnie, by naprawić Romana. Wbijam paznokcie w skórę i się krzywię. Roman wyciąga dłoń i kładzie ją na mojej.

– Ale najbardziej dezorientujące jest to, że chociaż czuję zamęt na widok twojego szczęścia, to niczego to nie zmienia – zniża głos, żebym tylko ja mogła go usłyszeć. – Wciąż chcę umrzeć siódmego kwietnia i wciąż potrzebuję, żebyś zrobiła to ze mną.

Nagle dźwięki lunaparku wydają mi się zbyt głośne. Słyszę metaliczne skrzypienie diabelskiego młyna i wirowanie filizanek, i krzyki zachwyconych dzieciaków. Chcę dotknąć ręką skroni, ale on

chwytą ją w powietrzu, splata swoje palce z moimi i przyciąga nasze dłonie do swojego boku.

– Pojmuję – szepczę z trudem. – Nie wystawię cię.

Roman ściska moją rękę tak mocno, że tracę czucie w palcach. Chciałabym, żeby ktoś zrobił to samo z moim sercem.

piątek, 29 marca

9 dni do końca



Wślizguję się na swoje miejsce tuż po dzwonku i rzucam plecak pod ławkę. Tyler kiwa mi głową na powitanie. Ostatnio zaczął tak robić, jakby myślał, że od naszej wycieczki do zoo staliśmy się przyjaciółmi. Wyobrażam sobie, jakie szepty musi to wzbudzać wśród reszty uczniów.

Pan Scott wypisuje niechlujnymi niebieskimi literami słowo „Einstein” na tablicy ściennej.

Stuka skuwką markera o jej powierzchnię i czeka, aż wszyscy się uciszą.

– Dzień dobry, dzień dobry.

Niektórzy bąkają coś w odpowiedzi. Ja milczę.

– Dziś chciałbym zrobić przerwę od równań i obliczeń i pomówić trochę o teorii. Będziemy to nazywać fajnym piątkiem.

Po klasie rozchodzą się jęki, a pan Scott odwraca się do tablicy i pisze: „Szczególna teoria względności”.

– Podnieście ręce, jeśli kiedykolwiek wcześniej słyszeliście o tej teorii. – Znowu stuka w tablicę, podczas gdy zgłasza się kilka osób.

Naturalnie ja też słyszałam. Każdy zna Einsteina. Założę się, że nawet Mike rozpoznałby jego zdjęcie. Nie zamierzam jednak się zgłaszać na ochotnika; nienawidzę odzywać się w klasie.

Pan Scott wskazuje na Melanie Taylor. Nie sądzę, by kiedykolwiek wcześniej podniosła rękę.

– Chcesz ją wszystkim objaśnić?

Jej puciołowate policzki pokrywają się rumieńcem.

– Hmm, to znaczy ja nie wiem o niej za wiele...

– bawi się guzikiem od swetra – ...ale słyszałam o Einsteinie. Chyba każdy o nim słyszał... To ten geniusz z szopą włosów na głowie.

Widzicie? Każdy zna Einsteina. Nawet Melanie Taylor.

– W porządku – mówi pan Scott, przeciągając sylaby. – Ktoś jeszcze?

Lustruje wzrokiem klasę i wskazuje na mnie. Przecież nie podniosłam ręki. Nie rozumiem, co próbuje w ten sposób osiągnąć.

– Aysel – mówi. – Czy wiesz cokolwiek o tej teorii?

Wzruszam ramionami i kręcę głową. To kombinacja ruchów, która sprawia, że wyglądam, jakbym odstawiała jakiś taniec. Taniec zatytułowany *Nie wiem* albo *Proszę, proszę, proszę, nie zmuszaj mnie do odpowiedzi*.

– Daj spokój. Jestem pewien, że coś wiesz. Wyniki twojego ostatniego testu pokazują, że fizyka leży w sferze twoich zainteresowań.

Niektórzy w klasie gwizdzą i pohukują. Nie rozumiem, dlaczego nauczyciele myślą, że poprawią czyjąś pozycję wśród rówieśników, jeśli obwieszczą wszem wobec, że dostał dobrą ocenę. Poza tym mój wynik z ostatniego testu świadczy tylko o tym, że przyswoiłam wiedzę, którą chciał mi wpoić pan Scott, a nie, że wiem cokolwiek poza tym.

– No dalej, Aysel. Wyrzuć to z siebie – droczy się ze mną żartobliwie.

„Rzucić to mam się ochotę na pana”, myślę gorzko, stukając palcami w blat ławki. Dobrze, że nie powiedziałam tego na głos. Stacy Jenkins i jej paczka chyba by powariowali. Ta myśl nawet mnie trochę przeraża. Chciałabym móc ją cofnąć, wymazać.

– Aysel – nalega pan Scott.

Słyszę desperację w jego głosie. Niemal mi go żal. Jego życie chyba jest okropne, jeśli musi polegać na takich uczniach jak ja. Chciałabym powiedzieć mu, że powinien postawić na kogoś innego, że przegra, jeśli wybierze mnie. Zastanawiam się, czy istnieje fizyczne zjawisko określające taką sytuację. Pewnie, są martwe gwiazdy. Ale one przynajmniej były gwiazdami, zanim umarły, a ich śmierć nadeszła pod postacią supernowej – zwracała uwagę. Jestem całkiem pewna, że moja nie zakwalifikuje się do tej

kategorii. Nikt nie zobaczy, jak umyka ze mnie moja energia. No może poza Romanem, ale on będzie raczej zajęty sobą.

– Aysel – powtarza pan Scott, jakby myślał, że moje imię to jakieś magiczne zaklęcie, które nagle rozrusza mój mózg i zamieni mnie w dziewczynę znającą odpowiedź.

Mierzymy się wzrokiem. Nie mruga. W końcu poddaję się i mówię:

– Czy to przypadkiem nie ma związku z tym, że nie zawsze możemy ufać własnej percepcji? Że ludzki umysł jest zbyt powolny, aby w pełni pojąć rzeczy, które są szybkie.

– Rzeczy, które są szybkie? – Kręci nadgarstkiem w powietrzu, zachęcając mnie, bym mówiła dalej.

– No jak prędkość światła. Czy to nie ma związku z prędkością światła? Wydaje mi się, że

szczególna teoria względności dotyczyła światła, a potem Einstein wymyślił tę drugą.

– Ogólną teorię względności – dopowiada pan Scott.

– No właśnie. I w tej teorii do równania dochodzi jeszcze grawitacja.

– Doskonale. – Pan Scott pokazuje mi dwa uniesione kciuki.

Co za obciach. Mam ochotę zapaść się pod ziemię. W takich chwilach zawsze mam wrażenie, jakby moja skóra była tak cienka, że wszyscy mogą przejrzeć mnie na wylot, zobaczyć moje puste i mroczne wnętrze.

– Trafiaś w samo sedno, Aysel. Brawo. – Pan Scott uśmiecha się, jakby nie miał pojęcia, jak krępująca jest dla mnie ta sytuacja.

Zaczynam szarpać rękaw koszuli i wlepiam wzrok w tablicę. Pan Scott mówi, że Einstein

odmienił swoją teorią całą fizykę. Oferuje nam najbardziej podstawowe wyjaśnienie szczególnej teorii względności. Tłumaczy, że nic nie porusza się szybciej niż światło i że światło zawsze ma stałą prędkość, niezależnie od tego, jak szybko my się poruszamy i w którym kierunku. Prędkość światła to generalnie stała fizyczna. Nigdy nie można osiągnąć prędkości większej niż światło, nie ma też sposobu, aby tę prędkość światła spowolnić. A czas nie jest stałą. Przynajmniej nie ludzka koncepcja czasu. Einstein teoretyzował, że im szybciej się poruszamy, tym wolniej zdaje się płynąć czas. Zegar dalej tyka w tym samym tempie, ale zmienia się percepcja obserwatora. Chyba wszystko w życiu zależy od percepcji obserwatora.

– Einstein ukuł bardzo znane przysłowie na temat względności. Czy ktoś je zna? – pyta pan Scott.

W klasie panuje cisza, jak makiem zasiał. Pan Scott bierze do ręki marker i zaczyna pisać na tablicy. Kiedy kończy, odczytuje na głos to, co nagryzmolił. „Godzina spędzona z piękną dziewczyną na ławce w parku mija jak minuta, podczas gdy minuta siedzenia na rozpalonym piecu wydaje się godziną. Na tym właśnie polega względność”.

Dociskam ołówek do kartki notesu i pokrywam całą stronę małymi smugami grafitu. Zastanawiam się, czy rzeczywiście coś jest w tej teorii Einsteina. Od kiedy poznałam Romana i zaplanowaliśmy skok z Crestville Pointe, czas zaczął płynąć szybciej. Chcę wierzyć, że ta zmiana nie ma nic wspólnego z Romanem. Że może pod koniec czas po prostu płynie szybciej. To chyba miałyby sens. Wiem, że już niedługo wszystko zniknie na zawsze, więc odczuwam trochę mniejszą potrzebę, by sama to przyspieszać.

Ostatnio wszystko robię wolniej, na przykład powoli przeżuwam batoniki muesli, żeby naprawdę delektować się kawałkami czekolady. Obracam sok pomarańczowy w ustach kilka razy, zanim go połknę, aby się upewnić, że naprawdę poczułam słodko-kwaśny smak. Może Einstein miał rację. Może dlatego że ja poruszam się teraz wolniej, czas płynie szybciej. Może tak po prostu działa wszechświat i to nie ma nic wspólnego z Romanem i z tym, jak znajomość z nim zmieniła mój punkt widzenia. Ale, szczerze mówiąc, nie wiem. Po prostu nie wiem.

Podczas gdy pan Scott mówi, że nie zadaje nam żadnej pracy domowej na weekend, rozlega się dzwonek. Wybuchają gromkie oklaski, a ja próbuję ukryć rozczarowanie. Lubię rozwiązywać zadania z fizyki. Dzięki nim mam co robić o drugiej w nocy, gdy w domu panuje cisza i ciemność,

a Georgia cicho pochrupuje. Te zadania sprawiają, że czuję się mniej samotna. To zabawne, że rozmyślanie o sile przyciągania grawitacyjnego może sprawić, że człowiek czuje się bardziej stabilny emocjonalnie.

Wstaję i wrzucam zeszyt do plecaka. Już mam zamiar umknąć z klasy, kiedy podchodzi do mnie pan Scott.

– Aysel – mówi. – Zaczekaj.

Siadam z powrotem na swoim miejscu i podnoszę na niego wzrok. Kładzie przede mną lśniąca broszurkę.

– Uniwersytet Kentucky sponsoruje dwutygodniowy letni program dla uczniów zainteresowanych naukami ścisłymi. – Pan Scott bierze krzesło z ławki przede mną i przyciąga je sobie, żeby usiąść naprzeciwko mnie. Otwiera broszurkę i wskazuje tekst na trzeciej stronie. – Jest nawet

specjalny program dotyczący fizyki. Myślę, że naprawdę by ci się spodobał.

Nabieram powietrza w płuca. Nie mogę przecież powiedzieć panu Scottowi, że nie będę w stanie wziąć udziału w tym letnim programie, bo już nie będę żyła.

– Muszę pracować w trakcie wakacji.

Usta nauczyciela wyginają się we współczującym uśmiechu. Nigdy wcześniej nie zauważyłam, jak ciemne i łagodne są jego oczy; przypominają ślepią konia. Może myliłam się co do niego. Może zawsze chciał być nauczycielem. Może jest jedną z tych osób, które mają we krwi troszczenie się o innych.

– Nie musisz się martwić o pieniądze, jeśli się dostaniesz. Dają stypendium pozwalające na opłacenie nauki oraz zapewniają nocleg i wyżywienie na dwa tygodnie. – Przesuwa broszurkę w moim

kierunku. – Myślę, że to by było dla ciebie naprawdę wspaniałe doświadczenie, Aysel.

Biorę broszurkę i chowam do plecaka. Mówię, że się zastanowię, i dziękuję, że o mnie pomyślał. Później na lekcji matematyki, wyciągam ją i przesuwam palcami po lśniących zdjęciach. Zastanawiam się nad tymi wszystkimi rzekomo wspaniałymi doświadczeniami, które mnie ominą. Zastanawiam się nad względnością wspaniałości.

sobota, 30 marca

8 dni do końca



Docieram do domu Romana kilka minut po wpół do ósmej rano. Już mam mu wysłać esemesa, żeby wyszedł, kiedy otwierają się drzwi i pani Franklin staje na ganku w kremowym szlafroku i puszystych różowych kapciach. Macha do mnie, a ja zmuszam się, by odwzajemnić ten gest. Rusza w moją stronę, więc wysiadam z samochodu.

– Dzień dobry.

– Dzień dobry, Aysel!

Chce mnie objąć, ale podskakuję. Nie jestem przyzwyczajona do tego, by ludzie mieli ochotę mnie dotykać. Większość próbuje trzymać się ode mnie z daleka, jakby mogła się zarazić szaleństwem mojego ojca. Ale pani Franklin nic nie wie o moim tacie, więc przytula mnie mocno. Czuję zapach jej miętowej pasty do zębów i gwałtowne bicie jej serca. Wypuszcza mnie z objęć, ale wciąż trzyma dłonie na moich ramionach.

– I jak? Jesteś podekscytowana, że jedziecie na kemping?

Kemping? To chyba ta wymówka, którą obmyślił Roman, żeby wytłumaczyć jej, dlaczego nie będzie nas tak długo. Zapomniałam, że jego mamę rzeczywiście obchodzi, gdzie podziewa się jej syn. Ja powiedziałam swojej, że będę pracować do późna w ten weekend i żeby na mnie nie

czekała, a Georgia i tak zazwyczaj spędza sobotnie noce u przyjaciółki. Jestem jednak pewna, że mogłabym wyjechać na tydzień na Antarktydę, nim ktokolwiek w domu zacząłby się niepokoić moją nieobecnością.

– O tak. Od wieków nie byłam pod namiotem – oświadczam, a pani Franklin puszcza mnie i okrąża samochód, zaglądając na tylne siedzenie. W tym wypadku określenie „od wieków” tak naprawdę oznacza „nigdy”.

Najwyraźniej musiała wyczuć mój brak doświadczenia, bo pyta:

– Zabrałaś śpiwór?

– Tak, jest w bagażniku – kłamię.

Roman i ja planowaliśmy spędzić noc gdzieś w pobliżu Zakładu Karnego McGreavy, żebym nie musiała pokonywać całej trasy dwukrotnie tego samego dnia. Poza tym kto wie, jak długo będę

musiała czekać, żeby zobaczyć się z tatą. Pierwotny plan zakładał, że prześpimy się w jakimś obskurnym motelu; on – w łóżku, ja – na podłodze. Ale najwyraźniej Roman zorganizował nam biwak. A przynajmniej udawał, że to robi, ze względu na mamę.

– Dobrze, dobrze. Przyda ci się w taką pogodę. W każdym razie Roman trochę się spóźni. Nie należy do rannych ptaszków. Praktycznie musiałam go wywlec z łóżka. Bierze właśnie prysznic, ale zaraz powinien skończyć. Chcesz wejść na śniadanie?

– Już jadłam – kłamię znowu i w myślach przeklinam Romana za to, że nie jest gotowy. Właśnie tego próbowałam uniknąć. Nie chcę jeszcze lepiej poznać jego mamy.

– Och, cóż, no to może chociaż wejdź i napij się kawy.

Robię minę wyraźnie świadcząca o tym, że nie jestem fanką kawy.

– Albo gorącej czekolady? Nie czekaj tak tutaj.

Kobieta rusza z powrotem do domu i przywołuje mnie gestem. Wydaję cichy jęk i idę za nią, wlepiając wzrok w schludną kamienną ścieżkę. Kiedy już jesteśmy w środku, wskazuje mi miejsce przy kuchennym stole, napełnia czajnik wodą i stawia na palniku.

– Woda zaraz będzie gotowa.

Kiwam głową, jakbym nie pragnęła niczego bardziej niż filiżanki gorącej czekolady. Rozglądam się po kuchni Franklinów. Ściany są pomalowane kanarkową farbą, a szafki zrobione z wiśniowego drewna. Na blacie w kolorze kości słoniowej stoi oprawione w ramkę zdjęcie Romana i Madison. Dziewczynka zarzuciła ręce na szyję brata, a oczy Romana są zmrużone, jakby właśnie

się śmiał. Spuszczam wzrok na pokrytą kafelkami podłogę. Nie jestem w stanie patrzeć na tę fotografię. Nie wiem, jak pan i pani Franklin mogą spoglądać na nią każdego dnia.

Pani Franklin stawia przede mną kubek i sama siada przy stole.

– A więc powiedz mi, gdzie jedziecie. Uwielbiam biwaki. Kiedyś często jeździliśmy na nie całą rodziną. Wciąż próbuję przekonać Jima i Romana, żebyśmy zaplanowali wycieczkę w te wakacje. Wiesz, kiedyś Roman bardzo lubił spędzać czas na dworze. Uwielbiał wszelkie przygody.

Biorę łyk czekolady. Parzę język i się krzywię.

– Och! Uważaj. Jest gorąca.

– Nie wiem, dokąd jedziemy – mówię. – To Roman zaproponował, żebyśmy wybrali się pod namiot.

Pani Franklin pochmurnieje.

– Ach tak. Jak mówiłam, zawsze uwielbiałam naturę. To dobrze mu robi. – Patrzy mi prosto w oczy. – Tak się cieszę, że cię poznał, Aysel. – Zerka przez ramię w kierunku schodów, po czym przysuwa krzesło bliżej mojego. Cichym głosem dodaje: – To dla mnie coś nowego. Puszczając go tak samego, bez nadzoru. Ale nie mogłam mu odmówić. Wydaje się taki szczęśliwy, kiedy o tobie mówi. To będzie dla niego dobre, prawda? – Oczy zachodzą jej mgłą, jakby przeglądała w myślach wspomnienia. – Upewnisz się, że nic mu nie będzie, prawda? Że będzie bezpieczny?

Nie potrafię zignorować klucia w żołądku i wyobrażam sobie poczucie winy jako pętlę powoli zaciskającą się wokół mojej szyi. Wnętrza moich dłoni stają się lepkie od potu. Dociskam je do kubka. Para unosząca się nad czekoladą łaskocze mnie w twarz.

– Hej – mówi Roman, wchodząc do kuchni z plecakiem przewieszonym przez jedno ramię. Jego brązowe włosy są wilgotne. – Przepraszam. Nie usłyszałem budzika.

Wzruszam ramionami, chociaż mam zamiar powiedzieć mu coś do słuchu, gdy tylko znajdziemy się sami w samochodzie. Jestem pewna, że nie ma podręcznika dobrego wychowania dla partnerów do samobójstwa, ale powinien istnieć. Gdyby nie to, że za osiem dni już nas nie będzie, sama bym go napisała. Zasada numer jeden brzmiąaby: nigdy nie zasypiaj w dzień, na który zaplanowałeś coś ze swoim partnerem. Zasada numer dwa: nigdy nie zmuszaj partnera do jedzenia śniadania z twoją mamą, bo będzie musiał pochłonąć gigantyczny talerz poczucia winy i żalu.

– Wezmę namiot z garażu – mówi. – Możesz mi dać kluczyki? Wsadzę go do bagażnika.

– Roman? – woła pani Franklin.

– Tak, mammo?

– Włożyłam trochę napojów do lodówki turystycznej i wyniosłam ją do garażu. Pomyślałam, że możesz ją zabrać. Wrzuciłam też do środka trochę parówek. Powinno się je łatwo przypiec. I zapakowałam koszyk z przekąskami. Stoi obok lodówki. Ale moglibyście się zatrzymać przy sklepie spożywczym i kupić trochę bułek do hot dogów. Obawiam się, że nie mam żadnych w domu. – Rozkłada ręce i obdarza mnie przepaszającym uśmiechem. – Roman powiedział mi dopiero wczoraj wieczorem, że planujecie biwak. W przeciwnym razie byłabym lepiej przygotowana. – Ociera dłonie o miękki materiał szlafroka.

– Brzmi świetnie, mammo. Nie przejmuj się. Zajrzemy do sklepu i kupimy wszystko, czego będzie nam brakować.

– Zdecydowanie powinniście kupić składniki na s'mores². – Kładzie dłonie na sercu i wzdycha. – S'mores to najlepsza część każdego biwaku.

– W porządku, mamó. Zajmę się tym. Nie martw się.

– Tak – dodaję. – I dziękujemy za wszystko.

Rzucam Romanowi kluczyki, a on wychodzi na zewnątrz do garażu. Pani Franklin wstaje od stołu i otwiera spizarkę.

– Zrobię mu kanapkę z masłem orzechowym i dżemem na drogę, żeby nie opóźnił jeszcze bardziej waszego odjazdu.

– Och – mówię. – Może zjeść śniadanie tutaj, jeśli chce.

Pani Franklin odwraca się do mnie z szerokim uśmiechem na twarzy. Po raz pierwszy widzę ją bez makijażu. Chociaż się uśmiecha, zdradzają ją głębokie cienie pod oczami. Może to, co

powiedział FrozenRobot, to prawda. Może ona rzeczywiście szlocha co wieczór. To musi być dla niej dziwne – rozpaczanie w nocy i udawanie radosnej gospodyni domowej za dnia. Nie sądzę, bym kiedykolwiek była do tego zdolna. Do rozszczepienia swojego życia na dwie części. Ale może właśnie to się robi dla ludzi, których się kocha. Marszczę brwi, myśląc o tym, jak bardzo ta kobieta musi kochać Romana. Zauważa moją minę i mówi:

– Och, kochanie. Nie będę was dłużej zatrzymywać.

– Nie, nie... – jąkam się. – Tym się nie martwię. Bierze zamach ściereczką do naczyń i uderza nią o kuchenny blat:

– No to się rozchmurz. Czeka was świetna zabawa!

Gdyby tylko wiedziała, że w tej wyprawie nie chodzi ani o zabawę, ani o biwak. Nie chodzi o *s'mores* ani o hot dogi, ani o śpiwory. Chodzi o to, bym zmierzyła się ze swoją przeszłością. Bym mogła potwierdzić to, co wiem niemal na pewno na temat swojej (nieistniejącej) przyszłości. A w tym nie ma nic zabawnego.

– Tak czy inaczej, musicie się zbierać. Roman może zjeść w drodze.

Wraca do przygotowywania kanapki, a ja wlepiam wzrok w gorącą czekoladę. Nie widzę swojego odbicia na jej powierzchni, ale udaję, że owszem. I nie podoba mi się ta dziewczyna. Dziewczyna, która zrobiłaby coś takiego pani Franklin. Która by jej nie ostrzegła. Zastanawiam się, czy można zabić kogoś, nie odbierając mu życia. Może mój ojciec zabił nie tylko Timothy'ego Jacksona, ale też jego mamę, bo złamał jej serce.

Zniszczył całą jego rodzinę. Chyba dlatego Brian Jackson jest taki zmotywowany, żeby zakwalifikować się do olimpiady. Musi naprawić szkodę, jaką wyrządził mój ojciec.

Tak czy inaczej, nie chcę zrobić czegoś takiego pani Franklin, nie chcę złamać jej życia w ten sposób. Obracam kubek. Sprawia, że wilgotnieją mi dłonie. W końcu biorę łyk. Wypijam moje czekoladowe odbicie. Sprawiam, że ta dziewczyna znika.

Kiedy Roman wraca, mama wręcza mu kanapkę i przytula go mocno.

– Znalazłeś wszystko?

– Tak, mam. Wszystko spakowałem. Jeszcze raz dzięki.

Kobieta obdarza go promiennym uśmiechem i przytula jeszcze mocniej.

– A, i mam?

– Tak?

– Będziesz pamiętać, żeby nakarmić Kapitana Nemo?

Pani Franklin kładzie dłonie na ramionach Romana i zagląda mu w oczy.

– Oczywiście, skarbie. Będę do niego zaglądać cały czas. I dzwonić do ciebie z najświeższymi nowinami na jego temat.

Roman wyswobadza się z jej uścisku. Twarz mu czerwienieje, a piegi na nosie błyszczą, zdradzając zażenowanie:

– Po prostu pamiętaj, żeby go karmić, okej?

Pani Franklin wydaje się niezrażona jego zachowaniem. Obejmuje go ostatni raz na pożegnanie.

– Cokolwiek powiesz, kochanie. – Zerka przez ramię, nawiązując ze mną kontakt wzrokowy. – Zdecydowanie powinniście już ruszać w drogę.

Bezpiecznej podróży i zadzwonie do mnie, kiedy już rozbijecie obozowisko.

Nie mogę dłużej patrzeć, jak się obejmują. Nie mogę dłużej słuchać, jak wciąż powtarza mu, żeby był bezpieczny... Macham jej i wybiegam przez drzwi.

– Miło było panią widzieć, pani Franklin.

– Baw się dobrze! – woła za mną. – A ty, Roman, pamiętaj, żeby zadzwonić.

Wskakuję na siedzenie kierowcy i uderzam dłońmi o kierownicę, czekając na Romana. Zerkam przez przednią szybę. Wygląda na to, że mróz dość mocno zaatakował rabatkę kwiatową pani Franklin. Gleba jest podmokła w miejscach, gdzie stopił się śnieg. Jeden z krzaków jest brązowy, gałęzie wciąż ma nagie. Nie wiem, czy późny mróz oznacza, że kwiaty będą potrzebowały więcej czasu,

by zakwitnąć. Mam nadzieję, że zakwitną dla niej szybko. Będzie ich potrzebowała.

Roman wreszcie wychodzi z domu i spacerowym krokiem rusza ścieżką. Włosy wciąż ma mokre, przez co wydają się ciemniejsze, a skóra jeszcze bledsza. Ale trzyma się prosto. I widać lekkość w jego kroku zamiast zwyczajowego ociągania. Może pani Franklin miała rację? Może Roman naprawdę uwielbia biwaki?

Obchodzi samochód i stuka w okno z mojej strony. Opuszczam szybę.

– Co?

– Zapomniałem komórki z garażu. Wrócę za sekundę.

– Pospiesz się – jęcę i patrzę, jak biegnie w stronę garażu stojącego za domem.

Garaż przypomina bardziej szopę z dachem krytym gontem, pomalowaną łuszczącą się

jagodową farbą. Wraca szybko, machając komórką w powietrzu, żebym widziała, że ją znalazł.

– Co, do licha? – mówię, kiedy wsiada do samochodu.

Wnętrze wozu wypełnia zapach jego dezodorantu o zapachu sosny. Zasłaniam usta dłonią i niemal zaczynam kaszleć.

– Co takiego?

– Popełniłeś dwie zbrodnie – mówię, wycofując się z podjazdu.

– Hę?

FrozenRobot przeciera oczy. Najwyraźniej nie funkcjonuje za dobrze wczesnym rankiem. Nie jestem pewna, o której godzinie wybierzemy się do Crestville Pointe siódmego, ale lepiej nie za wcześnie.

– Zbrodnia numer jeden: użyłeś zdecydowanie za dużo dezodorantu.

Roman osuwa się na siedzeniu, uderzając potylicą o zagłówek. Odkłada plecak na podłogę i kładzie na nim stopy.

– To nie dezodorant.

– Okej, cóż, cokolwiek to jest, pachniesz jak choinka.

Roman wącha swoje ramię, przyciągając do nosa materiał czarnego T-shirtu.

– A zbrodnia numer dwa?

Zaciskam dłonie na kierownicy.

– Zbrodnia numer dwa jest naprawdę poważna.

– To dlatego jedziemy do więzienia? Ile lat dostanę? Nie chcę cię rozczarować, ale nie jestem pewien, czy będę w stanie odsiedzieć cały wyrok.

Ignoruję jego kąśliwy komentarz.

– Zmusiłeś mnie do intymnego spotkania z twoją matką. Wróć. Do kolejnego intymnego

spotkania. Zdecydowanie powinieneś za to zapłacić.

– Intymnego? – Roman odwraca się, żeby na mnie spojrzeć.

Nie jestem przyzwyczajona do pasażerów w moim samochodzie. Zapomniałam, jaki jest mały, jak mały się wydaje, kiedy ktoś siedzący obok pochyla się w moją stronę. Gdybym przekreśliła głowę, mój policzek dotknąłby jego policzka. Odsuwam się i wyciągam szyję w przeciwną stronę.

– Owszem, intymnego. – Próbuję się odprężyć. Nie mogę przejechać całej drogi do McGreavy z głową przekrzywioną w lewo. – I nie udawaj, że nie wiesz, co mam na myśli. Serce mi się kraje, kiedy z nią rozmawiam. Jest taka miła.

Roman prychnął i potrząsa głową.

– Nie znasz mojej mamy.

– Czyżby?

– Owszem. – Wyciąga kanapkę z plastikowej torebki. Odrywa skórki, po czym bierze gryza. – Ale czy możemy, proszę, przestać rozmawiać o mojej mamie? To, co się z nią dzieje, to nie twoja sprawa.

– W porządku. Więc nie rób z tego mojej sprawy.

Opuszczam jego dzielnicę i ruszam krętą drogą w kierunku autostrady. Wzgórza zaczynają ustępować płaskiemu błotnistemu dorzeczu. Unikam patrzenia na rzekę Ohio. Czuję się nieswojo, jakby znała moje sekrety. Czasami mam wrażenie, jakby mnie osądzała, jakby była mną rozczarowana. Wiem, że tylko to sobie wyobrażam, ale niektórych doznań trudniej się pozbyć niż innych.

Kieruję uwagę z powrotem na Romana. Porzuciłam temat jego mamy na całe pięć sekund.

– Wciąż nie mogę uwierzyć, że pozwoliła nam pojechać na tę wycieczkę bez nadzoru dorosłych. To nie w jej stylu.

Usta Romana rozciągają się w przebiegłym uśmiechu. Jest rozmyślny, prosty, różni się od tego krzywego, do którego jestem przyzwyczajona.

– Kiedyś, przed śmiercią Maddie, nigdy by na to nie pozwoliła. Ale ponieważ spędziłem ostatni rok zamknięty w swojej sypialni, jest podekscytowana, że interesuje mnie zrobienie czegoś na zewnątrz.

Zanim zdążę to skomentować, Roman otwiera plecak i wyciąga z niego wymiętą mapę.

– Ustaliłem najłatwiejszą drogę do McGreavy.

Udziela mi wskazówek, podczas gdy wjeżdżam na autostradę. Włączam stację z muzyką klasyczną, a on jęczy w proteście.

– Co?

-
- Dlaczego podoba ci się ta nudna muzyka?
 - Już mnie o to pytałeś.
 - Wiem. Ale nie udzieliłaś mi wystarczająco dobrej odpowiedzi.

Wzruszam ramionami.

- Jak już ci mówiłam, to pomaga mi myśleć. – „I ktoś kiedyś mi powiedział, że jeśli wsłucham się w nią wystarczająco mocno, znajdę w niej odpowiedzi”.

- Ona nie ma żadnego charakteru.

- Nieprawda. Ma charakter, tylko nie efekciarski. Jest głębsza. Wymaga od słuchacza więcej. Dlatego ją lubię. Nie jest łatwa.

- Jasne. Skoro tak mówisz... – Roman opiera głowę o szybę. – A więc jesteś na to gotowa?

Stukam palcami o kierownicę, nucąc melodię płynącą z radia. Nie wiem, czy jestem na to gotowa. Nie wiem, czy jestem gotowa na cokolwiek.

Zeszłej nocy miałam problemy z zaśnięciem. Przez pół nocy odgrywałam w głowie wymyślone scenariusze, ale za każdym razem, gdy wyobrażałam sobie siebie za szklaną szybą, z pomarańczową słuchawką w dłoni, nie mogłam rozpoznać, kto siedzi po drugiej stronie. Wszystko było zamazane i niezależnie od tego, jak długo się wpatrywałam, nie mogłam dostrzec mojego taty. A kiedy wreszcie zasnęłam, przyśnił mi się koszmar, w którym stałam na Crestville Pointe i czekałam na Romana, ale on się nie pojawiał. Czekałam i czekałam, i czekałam, kolana miałam zakręcone od upadku na żwir. Aż w końcu Roman przyszedł, ale z Brianem Jacksonem. Nabijali się ze mnie, a ich zimny, dręczący śmiech osaczał mnie jak wataha wilków. Krzyczeli, zachęcali mnie, żebym skoczyła, a ja coraz bardziej

zbliżałam się do krawędzi, lecz nagle zamarłam w bezruchu i nie mogłam już zrobić ani kroku.

– Aysel? – ponagla mnie Roman.

Nie mogę mu powiedzieć o tym śnie. Nie mogę mu powiedzieć, że w ogóle nie jestem gotowa na tę wyprawę. Że boję się, że ta podróż zniszczy wszystko, co jest między nami. Że Roman odkryje, że nie mówiłam mu całej prawdy.

Roman wyłącza radio.

– Aysel, spójrz na mnie.

– Wcześniej mówiłaś, żebym patrzyła na drogę.

– Ta, ta, nieważne.

Zerkam na niego.

– Co?

– Czy jesteś na to gotowa?

– Tak, jestem gotowa – kłamię. – To znaczy chyba, tak myślę.

– Musisz być bardziej pewna niż „chyba”.

Ale na tym właśnie polega problem. Już niczego nie jestem pewna.

Sięga do plecaka i wyciąga szkicownik.

– Nie masz nic przeciwko, żebym cię narysował?

Zerkam na niego, a on wpatruje się we mnie uważnie.

– Mnie?

Wzrusza ramionami.

– Tak. Jeśli nie chcesz, to...

– Nie, w porządku – mówię cicho i z powrotem włączam radio. Zmuszam się, żeby patrzeć wprost przed siebie, na drogę i zapomnieć, że siedzi tak blisko i że mi się przygląda.

– Zrelaksuj się. Jeśli będziesz spięta, trudniej mi będzie cię narysować.

– Dobra – bąkam bardziej do siebie niż do niego.

Po kilku minutach znowu na niego zerkam. Siedzi oparty o drzwi, z pochyloną głową, z ołówkiem w dłoni, bacznie wpatrując się w kartkę. Wygląda na bardziej odprężonego i swobodnego niż kiedykolwiek.

Przyłapuje mnie na tym, że na niego patrzę.

– Przestań – mówi.

– Co?

– Jeśli będziesz myśleć o tym, że cię rysuję, nie uzyskam naturalnego obrazu. Chcę narysować cię tak, jak cię widzę, a nie tak, jak ty chcesz, żebym cię widział.

Marszczę nos.

– To nie ma żadnego sensu.

– Po prostu mi zaufaj.

– Skoro tak mówisz...

Nawet nie próbuję go pytać, dlaczego tak bardzo mu zależy. Czuję w żołądku trzepotanie,

lekkość, której nie czułam od dawna, jeśli w ogóle kiedykolwiek, i boję się tego, co to może oznaczać. I jestem przerażona, że jego odpowiedź zniszczyłaby to wszystko, więc zaciskam szczęki, podgłaśniam radio i skupiam się z powrotem na drodze. Udaję, że nie słyszę drapania ołówka po kartce ani ciężkich, powolnych oddechów Romana. Zaczynam odliczać mile dzielące mnie od Zakładu Karnego McGreavy, mile dzielące mnie od ponownego spotkania z tatą.

sobota, 30 marca

8 dni do końca



Docieramy do Zakładu Karnego McGreavy późnym popołudniem. Czuję żar słońca na twarzy, gdy zmierzamy ku wejściu. Duży jednopiętrowy ceglany budynek nie wygląda tak groźnie, jak sobie wyobrażałam. Owszem, przylegają do niego dwa mało zachęcające podwórza otoczone płotem zakończonym drutem kolczastym, ale gdyby nie

on, nawet bym się nie zorientowała, że to więzienie.

Roman bierze mnie za rękę.

– Jesteś pewna, że chcesz to zrobić?

Ściskam jego dłoń, a potem puszczam ją na znak, że nic mi nie jest. Ale w ustach czuję suchość, a szczerą odpowiedź brzmi: „Nie wiem, czy chcę to zrobić, czy potrafię to zrobić”. Tak bardzo przywiązałam się do tej koncepcji – do pomysłu, że muszę zobaczyć tatę ten jeden ostatni raz, zanim ze sobą skończę – ale teraz sama nie wiem, co sobie myślałam. Nie wiem, co miałam nadzieję znaleźć. Ale im dłużej gapię się na budynek, tym mniej mi się wydaje, że znajdę to tutaj. Jeśli w ogóle czegokolwiek szukam. Może Roman miał rację. Może po prostu próbuję znaleźć wymówkę, żeby żyć dalej.

Zakład Karny McGreavy nie jest miejscem, w którym znajdę taki powód.

Kolana się pode mną uginają i mam złe przeczucie, że człowiek, którego zobaczę, nie będzie pasował do obrazu ojca, jaki pamiętam. Tego ojca, który nauczył mnie kochać Mozarta i który dzielił się ze mną batonikami w leniwe popołudnia. Ale ten ojciec chyba nigdy tak naprawdę nie istniał, bo on nie zabiłby nikogo z zimną krwią. Może więc taki sens ma to wszystko. Żeby w końcu zmierzyła się z tym faktem, zmierzyła się z nim, z moim prawdziwym ojcem. Może.

Roman otwiera przede mną drzwi i wchodzimy do środka. Wita nas wykrywacz metalu i czterech ochroniarzy. Bez problemu przechodzimy przez pierwszą kontrolę bezpieczeństwa. Podchodzę do recepcji.

– Nie wyglądasz na kogoś, kto powinien tutaj być – mówi mężczyzna za biurkiem. Jest ubrany w mundur, ale urozmaicony ekstrawaganckim akcentem – czapeczką baseballową Kentucky Wildcats na głowie. Na identyfikatorze widnieje nazwisko „JACOB WILSON”. Jacob Wilson jest strasznie arogancki.

– Szukam mojego ojca – wyjaśniam i zaczynam grzebać w torebce w poszukiwaniu portfela. Wyciągam z niego prawo jazdy, kładę je na blacie i przesuwam w stronę mężczyzny. – Nazywa się Omer Seran. Dzwoniłam kilka dni temu i powiedziano mi, że macie godziny odwiedzin w soboty do czwartej po południu. Myślę, że powinnam być na zatwierdzonej przez niego liście odwiedzających. Jestem jego córką.

Nie mam bladego pojęcia o tej liście, ale wydaje mi się, że właśnie to należało powiedzieć. Zerkam

na telefon, żeby sprawdzić godzinę. Czternasta siedemnaście. Godziny odwiedzin jeszcze się nie skończyły.

Jacob Wilson wystukuje coś na klawiaturze. Monitor komputera jest duży i nieporęczny, jak te, których używamy w TMC. Jacob naciska jeszcze kilka klawiszy i marszczy brwi. Klika myszką, po czym gwizdże przeciągle. Szykuję się na wiadomość, że nie ma mnie na tej mitycznej liście zatwierdzonych gości. Świetnie. Mój tata nawet nie da mi szansy na konfrontację, nie pozwoli, bym zapytała, co sprawiło, że stracił nad sobą kontrolę.

Zanim zdążę cokolwiek powiedzieć, wtrąca się Roman:

– Co się stało?

– Twojego taty już tu nie ma – zwraca się do mnie Jacob.

– Hę? – Jego słowa jakoś do mnie nie docierają.

– Został przeniesiony.

Mrugam, ale trzymam ręce przy sobie i staram się stłumić gniew. Opanuj się. Nie przyjechałam tu po to, żeby też dać się zamknąć.

– Jak to możliwe?

Wilson rozkłada ręce i wzrusza ramionami.

– Nie znam szczegółów, skarbie. Wiem tylko to, co widzę w komputerze. A wedle komputera został przeniesiony.

Roman zbliża się do biurka, uderza dłońmi o blat i pochyla się ku Jacobowi.

– Nie musicie informować rodziny, zanim kogoś przeniesiecie?

– Tylko spokojnie – mówi Jacob, tłumiąc śmiech. – Spuść nieco z tonu, dobrze?

– Przepraszam. – Roman się wycofuje.

– Ale masz rację, synu. Informujemy rodzinę.

Mruży oczy, spoglądając na ekran komputera, podsuwa się bliżej z krzesłem. Potem znowu patrzy na mnie.

– Tu jest napisane, że został wykonany telefon do pani Meldy Underwood. List też został wysłany. – Marszczy brwi i znowu patrzy na ekran. – Underwood?

– To moja mama. – Strażnik patrzy na mnie, unosząc brew, więc dodaję: – Ponownie wyszła za mąż.

Jacob unosi prawy kącik górnej wargi, odsłaniając zęby w połowicznym grymasie współczucia.

– To się często zdarza, kiedy facet trafia do kicia. Cholerny pech.

Nie nazwałabym niczego w życiu mojego taty cholernym pechem. Z mojej perspektywy to jego

życie było raczej cholernym pechem dla wszystkich wokół.

– A więc gdzie jest teraz?

– Z tego, co tu jest napisane, przebywa w Szpitalu Zdrowia Psychicznego imienia Świętej Anny.

Szpital Zdrowia Psychicznego.

– Gdzie to jest?

– Nie jestem pewien – mówi Jacob. – Zgaduję, że gdzieś w naszym stanie. Nie widzę, żeby przeniesiono go poza Kentucky, ale nigdy nic nie wiadomo.

– Czy wie pan, jak mogłaby się z nim skontaktować? – wtrąca się znowu Roman.

Nie mam pojęcia, dlaczego wydaje mu się, że ma prawo kontrolować tę rozmowę, ale jestem mu za to wdzięczna. Normalnie byłabym poirytowana, lecz w tej chwili nie jestem w stanie trzeźwo

myśleć. W mojej głowie łomocze się tylko jedno zdanie: „Mój tata jest w psychiatryku”.

Jacob obdarza nas smutnym uśmiechem.

– Jak już mówiłem, jest w Szpitalu Zdrowia Psychicznego imienia Świętej Anny. Jeśli chcecie, mogę zadzwonić i sprawdzić, czy ktoś stamtąd może wam udzielić jakichś informacji na jego temat.

– Dobrze – mówię słabo. – Proszę, czy mógłby pan to zrobić?

Zerka przez ramię, jakby sprawdzając, czy w pobliżu nie ma jego przełożonego.

– Nie mogę w tej chwili, ale zrobię to później. Ty też pewnie mogłabyś tam zadzwonić, ale zdobycie potrzebnych informacji mogłoby ci zająć więcej czasu. Biurokracja i tak dalej. – Mruga do mnie porozumiewawczo. – Naprawdę nie powinienem robić takich rzeczy, dzieciaku, ale chcę ci

pomóc. – Wyrywa kartkę z notesu i przesuwa ją po blacie w moją stronę. Podaje mi długopis. – Masz. Zapisz swój numer. Zobaczę, czy uda mi się znaleźć kogoś, kto będzie wiedział, jak się skontaktować z twoim tatą. Zadzwonię do ciebie, jeśli się czegoś dowiem.

Szybko zapisuję swój numer na żółtej, wesoło wyglądającej kartce. Mam wrażenie, że to nieodpowiedni kolor na tę okazję. Ktokolwiek zamawia artykuły biurowe do więzienia, powinien się nad tym głęboko zastanowić.

Oddaję mu kartkę.

– Naprawdę bardzo panu dziękuję.

– Przynajmniej tyle mogę zrobić. Przykro mi, że nie byłem w stanie bardziej ci pomóc. Wiem, jakie to może być frustrujące, kiedy rodzice coś przed tobą ukrywają. – Poprawia swoją czapeczkę. – Naprawdę powinnaś porozmawiać o tym z mamą.

Kiwam głową. Zrobiłabym to, gdybym w ogóle z nią rozmawiała.

– Tak, pewnie powinnam. Dziękuję za wszystko.

– Nie ma sprawy. Mam nadzieję, że znajdziesz to, czego szukasz.

Patrzy na mnie w taki sposób, że mam wrażenie, jakby rozumiał moją sytuację lepiej, niż daje po sobie poznać. Spoglądam na niego jeszcze przez chwilę, po czym ciągnę Romana za koszulkę i wychodzimy z budynku. Już na zewnątrz Roman zasłania oczy dłońmi i spogląda w dal, jakby wpatrywał się w drugi brzeg Wielkiego Kanionu.

– Myślałem, że tu dzwoniłaś.

– Dzwoniłam. Pytałam o godziny odwiedzin.

– Nie pomyślałaś, żeby zapytać, czy twój tata wciąż tu jest?

Zaczynam żuć wewnętrzną stronę policzka.

– Nie miałam powodów, by myśleć, że go tu nie będzie. – Milknę i patrzę na niego. Nie odwraca się, żeby na mnie spojrzeć. Dalej patrzy w dal. – Zaraz, czy ty mnie o coś oskarżasz?

Roman szoruje trampkiem po cemencie. Słońce połyskuje w jego włosach, sprawiając, że wyglądają na jaśniejsze niż zwykle. Powietrze wydaje się gęstsze, jakby przesycone parą po gorącym prysznicu. Nie czuć, że to marzec. Może wiosna wreszcie przyszła. Może kwiaty pani Franklin wkrótce rozkwitną.

– Nie wiem, Aysel. – Drapie się w kark. – Po prostu wydaje mi się, że szukasz powodów, żeby to opóźnić.

– Co opóźnić?

– Nieważne.

Krzyżuję ręce na piersi.

– Nie. Powiedz to.

Roman odwraca się, by spojrzeć prosto na mnie.
Oczy ma szeroko otwarte, ale puste.

– Jeśli nie porozmawiasz z tatą przed siódmym kwietnia, wciąż ze mną skoczysz, tak?

Mówię: „Tak”, ale nie patrzę mu w oczy. Nie mogę.

sobota, 30 marca

8 dni do końca



Parkuję przy polu kempingowym. Jeśli można to tak nazwać. Teren przypomina raczej błotnistą działkę. Nie znam się na kempingach, ale wygląda na to, że ten oferuje usługi najprostsze z prostych. Najwyraźniej jest tu tylko palenisko z na wpół wypalonymi polanami i popiołem, duży dąb oraz zarzewiały kubek na śmieci.

Roman wysiada z samochodu i podchodzi do bagażnika, żeby wyjąć namiot. W oddali widzę skalistą linię brzegową rzeki. Woda pluszcze o kamienie. Może nie będzie tak źle. Może będziemy mieć trochę czasu na rozmowę. Może w końcu znajdę słowa, żeby wyjaśnić mu, co się ze mną dzieje.

Zabieram swój plecak z tylnego siedzenia i idę za Romanem w kierunku naszego obozowiska. Kiedy rozpina suwak torby z namiotem, zauważam, że ukrył w niej dwie butelki wina.

– Masz klasę – mówię.

– Czerwone wino można pić na ciepło. Ciepłe piwo jest obrzydliwe. To była prosta decyzja.

– Mogłeś schować piwa do lodówki turystycznej.

Ignoruję fakt, że mówi do mnie jak do ofiary losu, która nigdy wcześniej nie piła alkoholu.

Chociaż, szczerze mówiąc, to faktycznie nią jestem. Nie licząc tych kilku łyków piwa, którego dał mi się napić Steve, kiedy miałam jakieś jedenaście lat, a on z mamą zaprosili grupę przyjaciół na grilla.

– Tak, ale to moja mama pakowała lodówkę. Zauważyłaby.

– Mogłeś włożyć je tam później.

– Jezu, naprawdę tak bardzo zależy ci na piwie? Mogę pobiec do miasteczka.

Wciskam dłonie w kieszenie džinsów i ruszam w kierunku rzeki.

– Nie. W porządku. Tylko się z tobą droczyłam.

Roman wyciąga namiot z torby i zaczyna przy nim majstrować. Przechodzi mi przez myśl, żeby zaproponować mu pomoc, ale nic nie wiem o namiotach. Słyszę, jak przeklina pod nosem, i postanawiam przejść się nad rzekę.

– Niedługo wrócę! – wołam, a on nie odpowiada.

Schodzę po zboczu. Moje trampki zanurzają się w wilgotnej trawie. Kiedy zbliżam się do brzegu, widzę pustą przystań. W okolicy nie ma nikogo. Porwane żyłki wędkarskie unoszą się na wodzie i próbuję sobie wyobrazić to miejsce pełne ludzi, śmiejących się rodzin i zapalonych wędkarzy. Ale nie wygląda na to, by kiedykolwiek bywało tutaj tłoczno. To raczej miejsce z natury pustawe. Słyszę kilka ćwierkających ptaków i ryk łodzi motorowej w oddali, ale potrafię się skupić tylko na dzwonieniu w mojej głowie. Zasłaniam uszy dłońmi i zaczynam nucić. Wielka *Msza h-moll* Bacha wypełnia mój umysł.

Opieram się o starą drewnianą barierkę, a podmuch wiatru przesuwa się po wodzie i muska moją twarz. Czasami mam wrażenie, jakby wiatr miał

ręce, dłonie. Zastanawiam się, czy mogłabym wyciągnąć swoje i je pochwycić. Czy wiatr odwzajemniłby mój uścisk, mocno splótł swoje palce z moimi i zabrał mnie stąd. Zastanawiam się, czy Roman w ogóle myśli o takich rzeczach, czy ktokolwiek inny o nich myśli.

Spoglądam za siebie i nie mogę nawet dostrzec naszego obozowiska. Z powrotem wlepiam wzrok w wodę. Skaliste nabrzeże jest pokryte oślizgłymi algami i zardzewiałymi haczykami wędkarskimi. Wiem, że gdybym stąd skoczyła, najwyżej bym się zamoczyła i pobrudziła. Nie umarłabym. To nie Crestville Pointe. Skok stamtąd mnie zabije. Zabije Romana.

Ruszam powoli do obozowiska. Nie spieszy mi się, by wrócić do Romana, do jego pozbawionej piw łódzki i powtarzających się pytań, czy go nie wystawię. Dostrzegam go, zanim on mnie zobaczy.

Chyba zdołał rozbić namiot – luźna niebieska płachta kołysze się na wietrze. Jest odwrócony do mnie plecami, kuca przy palenisku, zapala zapałkę. Staję za nim i obserwuję, jak dwa stare polana zajmują się ogniem. Płomienie trzaskają, a ja siadam na ziemi obok niego.

– Znalazłaś to, czego szukałaś?

– He?

– Myślałem, że poszłaś czegoś poszukać.

– Nie. – Krzyżuję nogi po turecku. – Nic się nie zmieniło.

– Miło mi to słyszeć. – Zaciera dłonie, po czym wstaje. – Jesteś głodna?

Wzruszam ramionami, a on interpretuje to jako potwierdzenie. Podchodzi do lodówki turystycznej i wyciąga parówki, które zapakowała dla nas jego mama. Wyglądają na smutne i oślizgłe. Roman podaje mi torebkę, po czym wyciąga stalowe

szpikulce z plecaka. Wsuwam parówkę na jeden i patrzę, jak jego czubek przebija mięso. Trzymam go nad płomieniami, naśladując Romana. Od czasu do czasu obracam parówkę, ale szczerze mówiąc, nie mam pojęcia po co. Moja rodzina nie uznaje kempingów.

– Chyba już wystarczy – mówi Roman, wskazując głową moją kiełbaskę.

– Och.

Zabieram parówkę znad ognia.

– Zapomniałem kupić tych bułek. Moja mama byłaby przerażona.

Obdarza mnie zażenowanym uśmiechem i siada na ziemi. Podciąga kolana do piersi i ściąga parówkę ze szpikulca, dmuchając na nią raz za razem. Staram się go naśladować, ale jestem całkiem pewna, że wyglądam jak pięciolatka, która nie potrafi zdmuchnąć świeczek na swoim torcie

urodzinowym. Odrywam kawałek parówki. Parzy mi opuszki palców. Wrzucam go do ust i żuję. Z wierzchu smakuje spalenizną, w środku jest zimny. Przełykam z wysiłkiem. Roman kładzie swoją parówkę na kawałku gazety i wstaje po dwa plastikowe kubeczki. Otwiera jedną z butelek z winem, która chwieje się w jego dłoni, kiedy mówi:

– Masz rację. Ucztujemy z klasą. Parówki i wino.

Wiem, że się ze mną droczy, ale po raz pierwszy będę piła wino i siłą rzeczy jestem odrobinę podekscytowana. Jeszcze miesiąc temu powiedziałabym, że nie ma na tym świecie niczego, czym warto się ekscytować. Kto by pomyślał, że coś tak głupiego jak wino na mnie podziała? Staram się zachować obojętny wyraz twarzy, żeby się nie

zdradzić, gdy Roman napełnia kubki i podaje mi jeden.

– Dzięki.

Stawiam kubek obok siebie na ziemi, próbując nie upuścić parówki. Chyba jedyną rzeczą gorszą od niedopieczonej parówki byłaby niedopieczona parówka w panierce z piachu.

– Powinniśmy byli zabrać serwetki – mówi Roman między gryzami.

– Chyba tak.

Szybko kończy swoją porcję. Może też była niedopieczona. Zmuszam się, żeby przełknąć resztę swojej parówki i biorę łyk wina. Jest kwaśne, więc się krzywię.

On się śmieje.

– Nie pijasz za często?

– Chyba nie.

Wyciąga kubeczek w moją stronę.

– Za Aysel, moją partnerkę do samobójstwa.

Stukam swoim kubeczkim w jego.

– Za niebycie tchórzem.

To naprawdę wywołuje uśmiech na jego twarzy. Wypija resztę wina jednym haustem, po czym nalewa sobie kolejną porcję. Słońce zaczyna zachodzić, a ja nie mam pojęcia, która jest godzina. Myślę o tym, żeby wyciągnąć komórkę z kieszeni i sprawdzić, ale zdaję sobie sprawę, że to bez znaczenia. Liczy się tylko to, że ten dzień wydaje się o tyle krótszy od innych. Dni spędzane z Romanem zawsze wydają się krótsze.

Przekręcam się na brzuch i przeciągam. Roman kładzie się obok na plecach, ze wzrokiem wlepionym w niebo.

– Przykro mi, że nie udało nam się znaleźć twojego taty.

Przesuwam językiem po zębach, smakując cierpkość wina.

– Może ten koleś, Jacob, zadzwoni.

– Może. – Roman kładzie dłoń w dole moich pleców. – Ale może nie zadzwoni. Pogodzisz się z tym, prawda?

Nie znam odpowiedzi na jego pytanie. Chyba będę próbowała sama zadzwonić do tamtego szpitala, jeśli Jacob nie odezwie się z informacjami. Ale jak już mówiłam, po prostu nie wiem.

Kilka ptaków umyka ze skrzekiem z pobliskiego drzewa. Podrywam się, przestraszona trzepotem ich skrzydeł. Sądziłam, że im bliżej śmierci, tym mniej będę spięta, tym mniej będę się bała. Okazuje się, że jest odwrotnie.

– Przepraszam – mówi, cofając dłoń, po czym wtyka ją do kieszeni spodni.

– Nie – zapewniam go. – To nie przez ciebie.

Roman unosi brew.

– Przestraszyłaś się ptaków?

Chcę mu powiedzieć, że wszystko mnie teraz przeraża, ale milczę i pozwalam, żeby rozwodził się nad ich nieszkodliwością. Pije coraz więcej i więcej. Próbuję dotrzymać mu kroku, ale w głowie mi się kręci, a powieki zaczynają mi ciążyć. Kładę się na boku, twarzą do niego. Ogień wciąż jeszcze płonie, a smugi dymu rzucają cienie na jego szczupłe policzki. Pije w milczeniu, a ja wiem, że powinnam coś powiedzieć, żeby zrozumiał, jak się czuję, ale i tak już stoję na niepewnym gruncie i nie chcę pogarszać sprawy.

– Ja też się boję, wiesz – mówi w końcu. Czuję wino w jego oddechu, gdy podnosi głowę, pochylając się ku mnie. – Ale jestem też podekscytowany.

Zaciskam powieki. Mam wrażenie, że mój mózg unosi się na wodzie.

– Słyszałeś kiedyś o teorii względności Einsteina?

Bierze kolejny długi łyk.

– A ty znowu z tą nauką. Jesteś prawdziwym nerdem, prawda?

– Wydaje mi się, że żeby być nerdem, trzeba być naprawdę byстрыm.

Roman marszczy brwi.

– Wydajesz się całkiem bystra.

Puszczam do niego oko.

– Dobrze udaję.

Siadam znowu i nalewam sobie trochę więcej wina.

– No to opowiedz mi o niej.

– O teorii?

Wino zaczęło smakować trochę lepiej. Nie wiem, czy to znak, że się do niego przyzwyczajam, czy że moje kubki smakowe są pijane. Nie wiem nawet, czy kubki smakowe mogą się upić.

– Tak, o teorii Einsteina – mówi ociężale, a słowa zlewają się ze sobą. Byłoby to nawet urocze, gdyby jednocześnie nie było trochę przerażające.

– Wiesz, że opracował dwie teorie, prawda? Szczególną i ogólną teorię względności.

Roman potrząsa głową.

– Gównu wiem o Einsteinie. I szczerze mówiąc, gdyby nie ty, w ogóle by mnie nie obchodził.

– Sprawiałam, że obchodzi cię Einstein? – Przygryzam krawędź mojego kubeczka.

Roman obdarza mnie tym swoim półuśmiechem, krzywym i słodkim.

– Nie mogę nie dbać o rzeczy, które ciebie obchodzą. Mam wrażenie, jakbyśmy byli teraz w pewnym sensie połączeni.

Odkrywam, że się uśmiecham. Mięśnie policzków inaczej się układają, są jak pokój, który od lat nie widział światła i nagle wszystkie kotary rozsunięto i słońce wlewa się do niego z całą mocą. Mój uśmiech staje się coraz szerszy i nie mogę tego powstrzymać. To najmiłsza rzecz, jaką Roman kiedykolwiek mi powiedział. Do licha, to najmiłsza rzecz, jaką ktokolwiek mi powiedział w ciągu ostatnich trzech lat.

– Sprawilem, że jesteś szczęśliwa – mówi z trudem, powoli.

– Tak, sprawileś, że jestem szczęśliwa.

Potrząsa głową i zamyka oczy. Kiwa się w przód i w tył jak jedna z tych zabawek, które ludzie kładą na deskach rozdzielczych.

– Co takiego? – pytam i wyciągam dłoń, żeby poklepać go po ramieniu.

– Nie mogę cię uszczęśliwić. Nie możemy sobie pozwolić na to, żeby się nawzajem uszczęśliwić.

Powoli rozszyfrowuję jego bełkot. Pochylam się ku niemu.

– Czy to byłoby takie złe?

Roman gwałtownie unosi powieki. Jego oczy są żywe i lśniące, ale jednocześnie załzawione.

– To zepsułoby wszystko.

Potrzebuję chwili, żeby dojść do siebie. Podnoszę gałązkę i zaczynam grzebać nią w trawie.

– Ale powiedziałaś mi w lunaparku, że kiedy mówiłam o nauce, to uszczęśliwiało cię, więc może...

Roman podnosi dłoń, dając mi znak, żebym zamilkła.

– To nie ma znaczenia. – Wskazuje na mnie, a potem na siebie. – To nie może mieć znaczenia. To jest tymczasowe. – Otwiera szerzej oczy. Widzę, że są przekrwione. FrozenRobot chyba wypił za dużo wina. – Słuchaj, Aysel. – Bierze moje dłonie w swoje i ściska je mocno. – Wiem, że to jest dezorientujące. Znajdujemy się w dziwnej, popieprzonej sytuacji i nie możemy dać się jej zwieść.

Próbuję mu się wyrwać, ale nie puszcza moich dłoni. Wpija palce w moje knykcie.

– Jakiej sytuacji?

– Takiej, że jesteśmy partnerami do samobójstwa. Jest między nami pewna bliskość, no i jest między nami chemia.

– Chemia? – Nie potrafię powstrzymać śmiechu.

– W porządku. Naukę zostawię tobie.

Pochyla się bliżej, jego nos zderza się z moim i czuję jego rzęsy trzepoczące na mojej skórze. Unoszę podbródek i nasze wargi się spotykają. Pocałunek jest niezdarny, ale idealny. Nie mogę przestać o tym myśleć: „Całujemy się, całujemy FrozenRobota, całujemy się”. Te słowa dzwonią mi w uszach jak jakaś tandetna mantra.

Wciąż odwzajemniam jego pocałunek i staram się nie myśleć o tym, czy robię to dobrze, czy źle. Serce mi wali, co chyba oznacza, że mi się podoba, i mam nadzieję, że jemu też serce wali. Wiem, że ludzie całują się od zarania dziejów, ale w tej chwili, w tym właśnie momencie mam wrażenie, jakby całowanie się było sekretem, o którym wiemy tylko Roman i ja.

Po chwili, która mija szybko jak sekunda, ale jednocześnie trwa sto lat, on powoli odsuwa się i odgarnia pasmo włosów z mojej twarzy.

– Jest między nami chemia – powtarza.

Uśmiecham się do niego znowu. To już drugi raz. Nie mogę pozwolić, by uśmiechanie się weszło mi w nawyk. Przestałabym siebie poznawać, gdybym stała się kimś, kto dobrowolnie się uśmiecha.

– Chyba jest.

Nabieram powietrza w płuca i zauważam, że zmieniło smak. Zamiast dymu z ogniska czuję słodką wanilię, a w mojej głowie rozbrzmiewa cichy dźwięk, którego nie rozpoznaję, ale przypomina mi odgłos monet wrzucanych do fontanny. Odgłos życzeń, rozpaczliwych życzeń.

Roman wtula twarz w moją szyję, a ja próbuję się odprężyć i udawać, że to zupełnie normalne. Potem obejmuje mnie w talii i pociąga na ziemię. Leżymy tak w ciemnościach, w milczeniu, kilka kroków od namiotu, ja plecami przywieram do

jego brzucha, on trzyma ręce na moich bokach. Jeszcze nigdy nie byłam tak świadoma tego, że składałam się ze skóry i kości. Praktycznie czuję, jak kości lgną do skóry, pragnąc być jeszcze bliżej niego.

Ni stąd, ni zowąd Roman szepcze:

– Ale to nie może niczego zmienić.

Wiercę się i wtulam jeszcze bardziej w jego ramiona. Czuję, że jego serce bije jak oszalałe. Czuję ogień w brzuchu, który w niczym nie przypomina czarnego ślimaka pożerającego moje szczęście. Tam, gdzie kiedyś tkwił nieznośny ciężar, teraz czuję lekkie musowanie i zastanawiam się, czy moja energia potencjalna właśnie się zmienia. Wyobrażam sobie cały ten proces, jakby przeprowadzał go naukowiec w eksperymencie laboratoryjnym. Całe moje życie zaczyna przypominać eksperyment.

– Aysel – mówi, przytulając mnie mocno, przesuając ustami po moich włosach. – Wiesz, że to nie może niczego zmienić, prawda? Takie szczęście jest fałszywe. Ulotne. Musimy pamiętać, dlaczego chcemy umrzeć. Ja muszę pamiętać o Maddie, a ty musisz pamiętać o swoich powodach.

Moje powody. To zabrzmiało tak ogólnikowo. Ale przecież nie podałam mu ich, bo przeraża mnie myśl o tym, jak by zareagował, gdyby odkrył, kim jest mój ojciec. Nie zdradziłam mu ich nie z obawy, że nie będzie chciał ze mną umrzeć, ale ze strachu, że wciąż będzie chciał, bym umarła, że zgodzi się ze mną, że powinnam umrzeć.

Chyba ma rację: jestem tchórzem. Ale może znajomość z Romanem pomogła mi lepiej zrozumieć siebie. Tak, jestem popaprana. I on też. Ale im więcej o tym rozmawiamy, im częściej

dzielimy się naszym smutkiem, tym bardziej zaczynam wierzyć, że istnieje szansa, by nas naprawić, że moglibyśmy ocalić siebie nawzajem.

Wcześniej wszystko wydawało mi się takie ostateczne, nieuniknione, przesądzone, ale teraz zaczynam wierzyć, że los może mieć w zanadrzu więcej niespodzianek, niż sądziłam. Może wszystko jest względne, nie tylko światło i czas, jak teoretyzował Einstein, ale wszystko. Życie może się wydawać straszne i nie do naprawienia, aż nagle wszechświat zmienia się odrobinę i punkt widzenia również, a wszystko raptem wydaje się bardziej znośne.

– Wiesz? – Roman próbuje zmusić mnie do odpowiedzi. – To, co robimy, to, czym się stajemy, to niczego nie zmienia. Nie może.

Ale mówi jedno, a robi drugie, bo przytula mnie jeszcze bardziej.

– Wiem – szepczę.

Lecz w głębi serca wiem tylko, że wszystko się
zmieniło.

niedziela, 31 marca

7 dni do końca



Budzi mnie oślepiający blask porannego słońca. Roman wciąż przytula mnie przez sen. Uwalniam się z jego objęć. Zasnęliśmy kilka kroków od namiotu. Koszulkę i dzinsy mam uwalane błotem i trawą. Wyciągam telefon z kieszeni i widzę, że mam nieodebrane połączenie i wiadomość głosową z nieznanego numeru. Zaczynam odchodzić od

obozowiska, ale zatrzymuję się, kiedy słyszę rozespany jęk Romana:

– Gdzie idziesz? – Siada i przeciera oczy. – Która godzina?

– Prawie ósma rano.

– Ble. – Pada z powrotem na plecy i zaciska powieki. – Jest za wcześnie i za jasno.

– I ktoś wypił za dużo wina – mówię najnormalniejszym głosem, na jaki mnie stać.

Wiem, że wczorajszy wieczór miał nic nie znaczyć, ale ja nie potrafię się zachowywać, jakby nic się nie zmieniło. On już nie jest FrozenRobotem, moim partnerem do samobójstwa. To Roman, chłopak, który pocałował mnie nad rzeką i trzymał w ramionach przez całą noc. Dla mnie to różnica. Ogromna różnica. Nie jest już osobą, z którą chcę umrzeć. Jest osobą, z którą chcę pozostać przy życiu.

– Zaraz wrócę – mówię i ruszam w stronę rzeki.

Schodzę tą samą ścieżką co wczoraj. Znowu patrzę na ekran telefonu. Ktoś dzwonił wczoraj około dziewiętnastej. Może zdążyłam już wypić za dużo, żeby wyczuć wibracje telefonu.

Przykładam aparat do ucha i odsłuchuję wiadomość. To Jacob, strażnik z więzienia, dzwoni z informacją na temat mojego taty. Brakuje mi tchu, gdy ponownie odtwarzam nagranie. Jacob znalazł pracownika szpitala psychiatrycznego, który coś o nim wie. Podaje mi imię tej osoby – Tara Woodfin – i jej numer telefonu. Odtwarzam wiadomość jeszcze raz, po czym zerkam na telefon. Pewnie jest za wcześnie, by zadzwonić do Tary, zwłaszcza w niedzielę. Będę musiała trochę poczekać.

Wracam do obozowiska i znajduję Romana w tej samej pozycji, w jakiej go zostawiłam. Leży na plecach, zaciska powieki, twarz ma

wykrzywioną w bolesnym grymasie. Klękam obok i potrząsam nim.

– Chodź, powinniśmy się zbierać. Złóżmy namiot.

– Dlaczego musimy wyjeżdżać tak wcześnie? – wciąż bełkocze i przewraca się na bok.

Podchodzę do namiotu i próbuję wykombinować, jak go złożyć, żeby go nie zepsuć. Majstruję przy stelażach, aż w końcu odkrywam, że można je wyciągnąć z poł namiotu, a potem złożyć na pół. Jestem pewna, że istnieje łatwiejszy sposób, ale Roman za bardzo odpłynął, żeby mnie krytykować, a poza tym, jeśli dopnie swego, i tak już nigdy nie będzie musiał z niego korzystać.

Ta myśl jest niemal nie do zniesienia. Staram się przełknąć gulę rosnącą mi w gardle. „Zajmij się czymś. Nie myśl o tym”. Po złożeniu namiotu wkładam elementy do torby, w którą był

spakowany. Robię to bez ładu i składu, ale jestem pewna, że pani Franklin wszystko uporządkuje po naszym powrocie. Kiedy podchodzę do lodówki turystycznej po butelkę wody, zauważam leżący obok niej plecak. Zerkam na Romana, żeby się upewnić, że wciąż śpi, i rozpinam suwak. Wyciągam jego szkicownik. Wiem, że nie powinnam tego robić, ale nie mogę się powstrzymać.

Siadam na ziemi ze skrzyżowanymi nogami i przerzucam kartki. Mój portret, gdy docieram do ostatniej strony, zapiera mi dech w piersi. Dziewczyna, na którą patrzę, nie jest mną, ale jest. Spogląda w dal dużymi oczami, w których jest coś, czego nie rozpoznaję od razu: nadzieja. Wygląda mniej żałośnie ode mnie, jakby była silniejsza, bardziej wytrzymała.

– Dziękuję ci, FrozenRobot – szepczę pod nosem.

Wyrywam rysunek ze szkicownika. Nie obchodzi mnie, jak wściekły będzie, gdy zda sobie sprawę, że to zrobiłam. Potrzebuję tego obrazka. Potrzebuję go, żeby pamiętać, że mogę być tą dziewczyną, że ta dziewczyna tkwi wewnątrz mnie. Ta pełna nadziei, silna osoba. Składam kartkę kilkakrotnie, wsuwam do kieszeni, po czym ostrożnie chowam szkicownik z powrotem do plecaka.

Kiedy wyciągam wodę z lodówki, myślę o tym, co powinnam zrobić. Muszę zrobić dla Romana to, co on zrobił dla mnie: muszę mu pokazać osobę, którą wciąż jest, chociaż myśli, że zniknęła, pokonana. Chłopaka żadnego przygód, utalentowanego, z krzywym uśmiechem na ustach i zaraźliwym śmiechem. Chłopaka z oczami jak letnia trawa i blask słońca, dostrzegającego to, czego większość ludzi nie widzi, chłopaka z dłońmi,

które tworzą niesamowite rysunki. Zamykam oczy i przypominam sobie, jak trzymał mnie za rękę w lunaparku, jak pewny i mocny był ten uścisk.

Muszę mu pomóc, by ocalił siebie. Muszę.

Nabieram powietrza w płuca i zbieram się na odwagę, żeby do niego podejść. Kucam obok i przykładam mu zimną butelkę do czoła.

– Obudź się.

– Hej! – woła zaskoczony.

– Przepraszam, myślałam, że to będzie przyjemne.

– I jest, dzięki. Po prostu się tego nie spodziewałem.

Bierze ode mnie butelkę i przekręca się na bok, by wypić parę łyków, po czym znowu przyciska ją do czoła.

– Wsadzę wszystko do samochodu i możemy jechać. Okej?

Mam już wstać, gdy łapie mnie za rękę i pociąga z powrotem na ziemię.

– Nie byłem tak pijany, żebym nie pamiętał ostatniej nocy, Aysel.

Patrzę na niego obojętnie. Nie mogę powiedzieć tego, co bym chciała, więc uznaję, że lepiej milczeć. A poza tym nie chcę nic mówić, dopóki nie znajdę właściwych słów. Magicznych słów. Słów, które przekonają go, by żył.

Roman potrząsa głową i bierze kolejny łyk wody.

– Nie udawaj, że nie wiesz, o czym mówię.

Dalej milczę, przesuwając językiem po zębach.

– Aysel – mówi i znowu sięga po moją dłoń.

Chwytam ją i wlepiam w nią wzrok. W dłoń, która narysowała ten portret. Dłoń, która pomogła mi ocalić.

– Jacob dzwonił – mówię.

Jego palce delikatnie rozcierają moje.

– I?

– Podał mi nazwisko kogoś, do kogo mogę zadzwonić, by zdobyć jakieś informacje na temat taty.

Spuszcza wzrok na ziemię, ale dalej trzyma mnie za rękę.

– Możliwe, że nie będziemy mieli czasu, by go odwiedzić, zanim...

– Wiem, ale... – przerywam i nabieram w płuca chłodnego wiosennego powietrza. – Jeśli chodzi o ostatnią noc... Wiem, że mówiłeś, żebym nie pozwoliła, by to cokolwiek zmieniło. I może ta ostatnia noc rzeczywiście niczego nie zmieniła, ale zaczynam się zastanawiać, czy przypadkiem nie powinniśmy się zatrzymać i naprawdę rozważyć... wszystkiego.

Patrzę na nasze dłonie. Roman puszcza moją i odsuwa się ode mnie. Robię gwałtowny wdech.

– Słuchaj, wiedziałem, że to zły pomysł. Tylko że ty jesteś, ty jesteś... – jąka się jak gasnący silnik.

– Co jestem?

– Jesteś sobą. Rozumiesz to. Rozumiesz wszystko. I jesteś tak smutna jak ja. I chociaż to pokręcone, jest w tym coś pięknego. – Wyciąga dłoń i głaszcze mnie po twarzy, dotyka włosów. – Jesteś jak szare niebo. Jesteś piękna, mimo że nie chcesz taka być.

Myli się. Wcale nie chodzi o to, że nie chcę taka być. Ale nigdy nie chciałam być piękna w swoim smutku. Ze wszystkich ludzi właśnie FrozenRobot powinien wiedzieć, że w smutku nie ma nic pięknego, ujmującego czy efektownego. Smutek jest po prostu brzydki, a każdy, kto myśli inaczej,

go nie pojmuje. Romanowi chyba chodzi o to, że jesteśmy brzydki w ten sam sposób i jest w tym coś znajomego, pocieszającego. Ale „pocieszający” to nie to samo co „piękny”.

Myślę o jego rysunku. Dziewczyna, którą narysował, była piękna. Tamta dziewczyna nie była szarym niebem. Miała nadzieję. A nadzieja jest piękna.

Nie chcę już, żebyśmy byli brzydki w taki sam sposób. Nie chcę być szarym niebem. Chcę, żebyśmy znaleźli nadzieję. Razem. Odwracam wzrok, by ukryć przed nim to, że do oczu napływają mi łzy. Po chwili milczenia wstaję i otrzepuję ubranie.

– Chyba powinniśmy już jechać.

– Aysel – naciska z niecierpliwością w głosie. – Powinniśmy o tym porozmawiać.

– Wiem, ale nie mam pojęcia, co ci powiedzieć.

Ściska moją dłoń, a ja potrafię tylko odwzajemnić ten uścisk, bo za bardzo się boję, że zabierze rękę. Że go stracę.

niedziela, 31 marca

7 dni do końca



Po mniej więcej godzinie zjeżdżam z autostrady i zatrzymuję się przy restauracyjce, której reklamę widziałam wcześniej na billboardzie. Roman spał przez cały czas i teraz powoli się budzi, podczas gdy parkuję samochód. Przeciera oczy.

– Gdzie jesteśmy?

– Pomyślałam, że byłoby dobrze, gdybyś coś zjadł, zanim podrzucę cię do domu.

Uśmiecha się do mnie półgębkiem, a ja czuję ucisk w sercu. Nie mogę dłużej patrzeć na ten uśmiech. Wyglądam przez przednią szybę. Deszcz leje się z nieba, a w oddali słyszę huk grzmotu.

– Dobrze kombinujesz. Masz rację, mamie by odbiło, gdybyś przywiozła mnie do domu w takim stanie – mówi, wysiadając z auta. – Straciłabyś swój status świętej Aysel.

„Jestem całkiem pewna, że i tak go stracę, jeśli pozwolę ci skoczyć z Crestville Pointe”. Zagryzam wargę.

Roman nie reaguje na deszcz moczący nam włosy, twarze i ubrania. Wolnym krokiem wchodzimy do restauracyjki i zostajemy usadzeni w boksie w głębi. Roman spogląda na menu, a ja patrzę na niego. Przyłapuje mnie na tym, więc spuszczam wzrok, w kółko czytając listę dostępnych omletów. Udaję, że jestem naprawdę zainteresowana różnicą

między omletem południowo-zachodnim a florentyńskim. Kiedy mam pewność, że na mnie nie patrzy, zerkam na niego znowu. Jego T-shirt jest cały przemoczony, podobnie włosy. Czoło również ma zroszone. Woda sprawia, że wygląda na młodszego, bardziej ożywionego. Jego policzki stały się czerwieńsze, skóra nabrała koloru. Próbuję to sobie wyobrazić na większą skalę. Jak będzie wyglądał po skoku z Crestville Pointe, jak będzie wyglądał po tym, jak utonie. Jego usta zmienią kolor z blad różowego na siny, skóra stanie się niemożliwie blada. Zastanawiam się, czy czujemy takie transformacje, czy możemy wyczuć, jak nasza energia kinetyczna ucieka w nicość. Zastanawiam się, czy możemy ją słyszeć, czy brzmi jak symfonia, czy raczej jak krzyk. Nie znam odpowiedzi na żadne z tych pytań. I już nie chcę ich znać; nie chcę też, by poznał je Roman.

Spuszczam wzrok z powrotem na menu i gapię się na nie w milczeniu. Nie mogę teraz myśleć o jedzeniu. Kelnerka podchodzi do naszego stolika i przyjmuje zamówienie: dwa jajka, bekon, placki ziemniaczane i papryczki jalapeño dla niego oraz omlet po florenyńsku dla mnie. Jest chyba w wieku mojej mamy, ale jej dłonie są znacznie bardziej pomarszczone, a twarz bardziej mięsista. Włosy ma ewidentnie farbowane na blond, odrosty są ciemne i przetłuszczone.

– Dobry wybór – mówi z uśmiechem, notując nasze zamówienie. Spogląda na nas znad notesu i uśmiecha się jeszcze szerzej. – Słodka z was para, wiecie? Założę się, że wszyscy wam to mówią. No, w każdym razie zaraz przyniosę wam jedzenie.

Odchodzi, zanim zdążę jej wyjaśnić, że się myli. Zaczynam skubać siedzenie. Tworzywo

pękło w jednym miejscu i wypełniacz wyłazi na zewnątrz.

– Możesz się uśmiechnąć, Aysel – mówi Roman. – Ona uważa, że słodka z nas para.

– Jasne. Słodka para. – Patrzą prosto na niego, a on spuszcza wzrok na stół.

Kelnerka wraca szybciej, niż się spodziewałam. Zawsze niepokoi mnie jakość jedzenia, gdy dostaję je tak szybko. Ale zatrzymaliśmy się w jakiejś zapadłej dziurze w Kentucky, więc jakość jedzenia jest już w sumie z góry ustalona.

Nie mam apetytu, tylko przesuwam kawałki omleta po talerzu. Widelec zgrzyta po nudnej białej powierzchni. Roman natomiast pakuje bekon do ust, głośno przeżuwa. To zabawne, że gdy kogoś lubisz, nawet takie nieatrakcyjne cechy stają się w jakiś sposób ujmujące. Nienawidzę tego. Poza tym nie rozumiem, jak on może mieć apetyt

w takiej chwili. Czy zupełnie już zapomniał o naszej kłótni na biwaku? Czy zapomniał, że siódmy kwietnia to już za tydzień?

– Mogę cię o coś zapytać? – mówi między gryzami. Teraz przeszedł do jajek. Posypał je papryczkami jalapeño.

– Pewnie. – Biorę łyk wody, którą przyniosła nam kelnerka.

– Kiedy zamierzasz mi powiedzieć, co takiego zrobił twój tata, że wylądował w więzieniu? Powiedziałaś tylko, że go zamknęli... – zawiesza głowę.

Przez chwilę wpatruję się w jego twarz. Głęboko osadzone piwne oczy pojaśniały, od kiedy zaczął jeść. Wygląda na autentycznie zaciekawionego. Pochyliam głowę, wbijając wzrok w blat stołu. Czuję się rozdarta. Z jednej strony chciałabym obrócić tę jego ciekawość na swoją korzyść, ale z drugiej strony faktycznie

musiałabym powiedzieć mu prawdę. Lecz chociaż jestem przerażona, wyobrażam sobie, że by zrozumiał. Chłopak, który narysował taki portret, chyba zrozumiał.

– Czy to znaczy, że nie zamierzasz mi powiedzieć?

Nie patrzę na niego. Nie mogę. Zamykam na chwilę oczy i nucę pod nosem znajomą melodię. W miarę jak muzyka zaczyna narastać w mojej głowie, a nuty nabierają impetu i zaczynają brzmieć, jakby do czegoś dążyły, wpadam na pomysł. Podnoszę podbródek i napotykam jego wzrok.

– Opowiem ci dokładnie, co zrobił mój tata, jeśli pozwolisz, że ja też zadam ci pytanie. Umowa stoi?

– Zależy, o co chcesz zapytać.

– W porządku. Oto pytanie: Gdybyś nie miał umrzeć za siedem dni, co chciałbyś zrobić ze swoim życiem?

Roman odkłada widelec i piorunuje mnie wzrokiem. W trzy sekundy pochmurnieje.

– Co to niby za pytanie?

– Ciekawskie. Chociaż chyba wszystkie pytania są ciekawskie.

Wargi mu drgają, jakby próbował stłumić uśmiech.

– Dlaczego zaczęłaś przemawiać jak Szalony Kapelusznik?

– Znasz mnie. Wiecznie trzymają się mnie kiepskie żarty.

Znowu sięga po widelec i bierze kolejny kęs jajek.

– To nie do końca był żart.

– No to umowa stoi czy nie?

Salutuje mi żartobliwie.

– Warunki są do przyjęcia.

Opieram łokcie na blacie i pochylam się w jego stronę.

– No więc jak brzmi twoja odpowiedź?

Wskazuje widelcem na swoją pierś.

– Ja muszę odpowiedzieć pierwszy? I to ma być fair?

– Ze wszystkich ludzi akurat ty chcesz rozmawiać o tym, co jest fair, a co nie?

Kręci głową. Na jego usta znów wypływa ten krzywy uśmiech. Odwracam wzrok.

– Dobra, dobra. Ja zacznę. Ale to głupie – mówi.

– Moje pytanie?

– Nie. Moja odpowiedź.

– Posłuchajmy. – Wstrzymuję oddech.

Chcę usłyszeć tak wiele rzeczy, chociaż sama nie wiem, co dokładnie. Może powie mi coś głupiego, na przykład że zawsze chciał prowadzić sklep sportowy, żeby mieć zapas piłek do koszykówki na całe życie, albo oznajmi coś podnoszącego na duchu, na przykład że zawsze chciał być pediatrą, by pomagać chorym dzieciom. Ale w zasadzie to nie ma znaczenia. Zaczynam rozumieć, że to jest właśnie ta ekscytująca, dezorientująca i, szczerze mówiąc, frustrująca strona miłości: rzeczy, które mają znaczenie dla tej drugiej osoby, nagle zaczynają się nam wydawać intrygujące, nawet jeśli w rzeczywistości, gdy się nad tym zastanowić, są dość banalne.

Czytałam kiedyś w podręczniku do fizyki, że wszechświat aż błaga, by go obserwować, że energia podróżuje i przenosi się, kiedy ludzie uważają. Może właśnie to tak naprawdę oznacza miłość:

mieć kogoś, kogo się obchodzi na tyle, żeby zwracał uwagę na to, co się robi, żeby zachęcał do podróżowania i transferowania, do przeistaczania swojej energii potencjalnej w kinetyczną. Może jedynie, czego wszyscy potrzebują, to ktoś, kto ich zauważy, kto będzie ich obserwował. A ja uważam Romana. Chcę więc tylko, by miał jakąkolwiek odpowiedź na moje pytanie. Muszę dowiedzieć się o nim czegoś, dzięki czemu uwierezę, że istnieje chociaż cień szansy, że jego cząsteczki pragną udać się w jakimś określonym kierunku i tylko czekają na zachętę.

– Chciałbym pójść do college’u – mówi.

Czuję drgnienie nadziei w sercu i nie mogę nic na to poradzić. To już coś. Daję mu znak, by kontynuował.

– I chciałbym grać tam w koszykówkę.

Kiwam głową.

– Mimo że już nie grasz?

Uśmiecha się do mnie przebiegle.

– Cóż, to wszystko działaoby się w hipotetycznym wszechświecie, prawda? Mogę być, kimkolwiek zechcę.

Nadzieja, którą czułam jeszcze przed chwilą, znika. Osuwam się na siedzeniu. „Ten świat nie musi być hipotetyczny”. Staram się nie zdradzić rozczarowania i mówię:

– W porządku. Mów dalej.

– Co jeszcze mam ci powiedzieć?

– Nie wiem. Co chciałbyś studiować?

Roman czerwieni się i zaczyna wiercić.

– Aj, to jest właśnie ta głupia część historii.

Stukam palcami o blat stołu.

– To znaczy, że jest najlepsza.

– Można tak powiedzieć.

Patrzę na niego, a on unosi rękę.

– Dobra, dobra. Chciałbym studiować biologię morza. Wiem, że to głupie, ale chciałbym badać oceany.

Uśmiecham się szeroko. Jestem pewna, że wyglądam jak idiotka, ale nie obchodzi mnie to.

– Jak w *Dwudziestu tysiącach mil podmorskiej żeglugi*. Jak kapitan Nemo.

Roman też się uśmiecha.

– Właśnie. Zawsze fascynowały mnie podwodne przygody. Chociaż to głupie, bo nigdy nie byłem nad oceanem – urywa, a oczy zachodzą mu mgłą. – I chyba już nigdy go nie zobaczę.

Gryzę się w język. „Może nie, FrozenRobot. Może nie”. Wyobrażam nas sobie, jak wybieramy się na wycieczkę na wybrzeże. Może gdzieś do Karoliny Północnej – to nie tak daleko stąd. Wyobrażam sobie, jak chodzi po plaży w tej swojej bluzie z kapturem, a fale obmywają mu kostki.

Badałby ocean, a ja wylegiwałabym się na piasku i czytała książkę o filozofii fizyki. Moglibyśmy być szczęśliwi. I to wcale nie musiałyby być alternatywny czy hipotetyczny wszechświat. Muszę znaleźć sposób na to, by mu to pokazać. Może powinnam kupić mu książkę o biologii morza. Chociaż to wydaje się mało subtelne. Byłby wściekły. Może mogłabym mu zaproponować spontaniczną wycieczkę na plażę.

Zastanawiam się, czy ktokolwiek z portalu Smooth Passages miałby dla mnie jakąś radę, ale ta myśl sprawia, że mocno zagryzam wewnętrzną stronę policzka. Wiem, że wszyscy tam wpadliby w szal, gdyby się dowiedzieli, że zmieniam zdanie. A co gorsza, że próbuję przekonać do tego samego mojego partnera. Właśnie coś takiego nie powinno się wydarzyć.

I właśnie dlatego Roman nie chciał się zadawać z niesłowną osobą. Ale z taką skończył. Wystawiam go do wiatru, jak się patrzy. Chociaż to jego wina. To on zmienił mnie w taką osobę. Po prostu muszę sprawić, żeby on też się nią stał. Może niesłowność jest zaraźliwa.

Podczas gdy ja rozmyślam, on rzuca się z powrotem na jedzenie. Kiedy wracam do rzeczywistości i zerkam na niego, widzę, że na mnie patrzy.

– O, cześć. Wróciłaś. Rozmyślałaś o jakimś palącym problemie z dziedziny fizyki, który musisz rozwiązać, czy coś?

Wzruszam ramionami. To chyba zły moment, żeby zaproponować mu wypad nad ocean.

- Coś w tym stylu.
- Cóż, teraz twoja kolej.
- Hę?

– Opowiedz mi o swoim tacie – mówi.

Zaczynam obgryzać skórkę wokół paznokcia kciuka.

– To długa historia i tak naprawdę nie znam wszystkich szczegółów...

Roman poważnieje.

– Tylko nie kombinuj. Odpowiedziałem na twoje pytanie. Teraz ty musisz odpowiedzieć na moje. Szczerze. – Ścisza głos do szeptu: – Partnerzy do samobójstwa dotrzymują słowa.

Wiem, że ma rację, ale chciałabym, żeby to nie musiało oznaczać konieczności utopienia swojego serca. Dosłownie.

niedziela, 31 marca

7 dni do końca



Przekonuję Romana, żeby poczekał, aż dotrzemy na stary plac zabaw. Nie mam za bardzo ochoty prać rodzinnych brudów pod fluorescencyjnymi lampami w obskurnej restauracyjce. Chociaż pewnie po prostu gram na zwłokę. Wygląda na to, że teraz to mój główny cel.

Kiedy wjeżdżam na parking przy placu zabaw, Roman właśnie rozmawia z mamą przez telefon.

Od kiedy wyruszyliśmy wczoraj rano, dzwoniła do niego z pięćdziesiąt siedem razy.

– Wszystko w porządku – przerywa i kiwa głową, jakby zgadzał się z jej słowami. – Tak, było fajnie. – Musiała powiedzieć coś zabawnego, bo Roman reaguje uśmiechem. – Aysel ma się świetnie. Ale, hej, mam, dzwonię, żeby ci powiedzieć, że wrócę troszkę później, niż myślałem. – Znowu zaczyna kiwać głową. – Pomyśleliśmy z Aysel, że zahaczymy o plac i porzucamy do kosza – śmieje się. – Dobrze, będę dla niej litościwy. Obiecuję. Do zobaczenia wkrótce.

Rozłącza się i zwraca do mnie:

– Tak na marginesie, naprawdę świetnie odwalasz swoją robotę.

Patrzę na niego, nie rozumiejąc.

– O czym ty mówisz?

– Moja mama myśli, że znowu jestem zupełnie normalny. Wcześniej nigdy nie pozwoliłaby mi wrócić do domu później, niż było ustalone. – Uśmiecha się, ale w inny sposób – z wyrachowaniem. Na ten widok żołądek wywraca mi się do góry nogami. – A mówiłem ci, że przez ostatni tydzień ani razu nie zaglądała do mnie w nocy? Myślę, że dzięki tobie przestała się o mnie tak bardzo martwić.

Otwieram drzwi samochodu i wysiadam. Czuję coraz większy ucisk w klatce piersiowej. Szuram szarymi trampkami po błotnistej ziemi. Przestało padać, ale powietrze wciąż jest wilgotne i zimne. Obejmuję się ramionami, podchodzę do stołu piknikowego, na którym siedziałam ostatnio, gdy tu byliśmy. Siadam na blacie, dociskam dłonie do mokrego drewna i odchylam się do tyłu. Patrzę

w niebo. Roman wskakuje na stół obok mnie. Zerkam na niego, a on ocienia oczy dłonią.

– Zawsze to robisz – mówię.

– Hę?

– Przysłaniasz oczy dłonią. Zauważyłam, że zawsze to robisz. Nawet gdy nie świeci słońce.

Na jego usta powraca półuśmieszek.

– Jesteś taka spostrzegawcza... W innym wszechświecie byłby z ciebie naprawdę wspaniały naukowiec.

– Może w tym wszechświecie też – szepczę.

Roman sztywnieje. Zanim zdążę cokolwiek powiedzieć, zeskakuje ze stołu i staje z ramionami skrzyżowanymi na piersi, piorunując mnie wzrokiem.

– Zabierz mnie do domu – mówi zimnym głosem.

Chyba wołałabym, żeby krzyczał. Przynajmniej wiedziałabym, że coś czuje.

– Daj spokój, Roman – mówię, próbując zbagatelizować sytuację. W myślach wymierzam sobie policzek za to, że powiedziałam coś tak głupiego. Powinnam mieć więcej oleju w głowie i nie zaskakiwać go w ten sposób. Muszę być bardziej subtelna. On sam musi dojść do właściwego wniosku. Nie mogę go do tego zmusić. Próbuję odwrócić kota ogonem: – Tak tylko powiedziałam. Nie jestem kompletną idiotką.

Unosi brwi. Usta rozciągają mu się w linijkę.

– Chodziło mi o to, że gdyby sprawy miały się inaczej, mogłabym być świetnym naukowcem. – Milknę na moment, by podkreślić swoje słowa. – W tym świecie.

– Tak. Gdyby sprawy miały się inaczej. Ale o jakich sprawach mówisz?

Wciąż trzyma ręce skrzyżowane na piersi. Słońce wyjrzało zza chmur. Blask sprawia, że jego oczy nabierają wyjątkowo złotej barwy. Jakby płonęły.

– O moim tacie – wypalam bez namysłu.

Po trzech latach uciekania przed cieniem mojego ojca teraz wymachuję jego mroczną historią jak jakąś dziwną przynętą. To żalosne. Tak długo próbowałam ukryć przed Romanem prawdę ze strachu o jego reakcję, ale teraz nie mogę się o to martwić. Wiem tylko, że muszę sprawić, by tu został. Został ze mną. I zrobię wszystko, powiem wszystko, byle tylko skłonić go do pozostania chociaż chwilę dłużej.

– O twoim tacie... – Roman kręci głową, patrząc w ziemię. – Nie rozumiem cię, Aysel. Chcesz umrzeć z powodu twojego taty, ale też desperacko próbujesz go zobaczyć po raz ostatni, choć

ponoć go nienawidzisz. I nawet nie chcesz mi powiedzieć, co zrobił. Czy ty w ogóle mi nie ufasz?

Zaciskam szczęki i zwalczam chęć, by mu powiedzieć, że nie chcę już umierać. Że wszystko się zmieniło. Ale nie sędzę, by to był najlepszy moment na takie oświadczenie. Nie, kiedy jest na mnie taki rozgniewany. Klepię blat stołu obok siebie, zachęcając go, by z powrotem usiadł.

– Obiecuję, że już nie będę kręcić. Powiem ci, co naprawdę wydarzyło się z moim tatą. W każdym razie to, co wiem.

Roman zaciska wargi i widzę, że zastanawia się, co powinien zrobić. W końcu ciekawość zwycięża. Wskakuje na blat obok mnie. To daje mi perwersyjną nadzieję. Ostatecznie ciekawość z definicji oznacza, że chce się wiedzieć, co będzie dalej.

Oznacza jakąś emocję. Może to da mi punkt wyjścia.

Patrzę na niego kątem oka. Ma pochyloną głowę, patrzy na swoje ręce.

– Roman?

– Co?

– Obiecujesz, że nie będziesz mnie osądzał, jeśli powiem ci prawdę o moim tacie?

Delikatnie dotyka mojego nadgarstka, obejmuje go palcami.

– Dlaczego miałbym cię osądzać?

Odwracam wzrok. Czuję ucisk w gardle. Jest jak opona wisząca na wystrzępionym sznurze, która w każdej chwili może się urwać i spaść, zanurzyć się w moich trzewiach i pozbawić mnie głosu.

Dotyka mojego ramienia.

– Co masz na myśli?

– Brian Jackson – tylko te dwa słowa jestem w stanie wykrztusić.

Roman przekręca się, żeby spojrzeć mi prosto w twarz. Zmuszam się, by popatrzeć w jego szeroko otwarte oczy. To w tych oczach znowu znalazłam perspektywę i światło. To one przedarły się do czarnej dziury mojego serca. Oddycham ciężko, z trudem łapię powietrze. Jestem tak przerażona, że zobaczę, jak lato w tych oczach zamienia się w zimę, jak ciepło przechodzi w chłód.

Roman kładzie rękę na moich plecach.

– Aysel, to nic. Ja wiem.

Znowu się dławię.

– Nie, nie wiesz. Nie masz pojęcia.

Jego palce wędrują po podstawie mojego kręgosłupa.

– Owszem, wiem. Wiem o twoim tacie.

Odskakuję od niego gwałtownie, przesuвам się na sam skraj piknikowego stołu. Przyciągam kolana do piersi i zaczynam się kołysać w przód i w tył. Próbuję nucić *Requiem* Mozarta, ale nie słyszę niczego poza biciem własnego serca. Nie chce zwolnić. Roman przysuwa się do mnie i obejmuję mnie ramieniem.

– Cii, już dobrze.

Wzrok mi się zamazuje, czuję gulę rosnącą w gardle. Nie płakałam tak naprawdę od lat. Nie zamierzam płakać teraz. Ramiona mi się trzęsą i mocno zagryzam dolną wargę. Moje usta wypełnia smak krwi.

– Dlaczego?

– Co dlaczego?

– Dlaczego mi nie powiedziałeś, że wiesz?

Ujmuje mój podbródek i delikatnie go unosi, zmuszając mnie, bym na niego spojrzała. W jego złotych oczach wciąż jest ciepło.

– Bo nie wiedziałem, jak poruszyć ten temat. – Puszczą mój podbródek i zabiera ręce. Kładzie je na kolanach i nabiera powietrza w płuca. – To było tylko podejrzenie oparte na twoim imieniu i tym, co mówiłaś o swojej rodzinie. Trochę trudno uniknąć tej historii... Jest wszędzie. I pomyślałem, że to pewnie twój tata, ale nie mogłem być pewien. Nie dopóki nie usłyszałem tego od ciebie.

– Nie musisz mi mówić, że wszędzie się o tym trąbi.

Dociskam dłonie do oczu. Tłumię szloch. Nie chcę pozwolić, by łzy popłynęły. Całe ciało pali mnie ze wstydu. Nie chodzi nawet o mojego tatę – chociaż to samo w sobie jest wystarczająco straszne – ale nie mogę uwierzyć, że byłam tak

głupia, że sądziłam, iż uda mi się ukryć to wszystko przed Romanem.

Pociągam nosem i czuję słonawy posmak w gardle.

– Skoro wiedziałeś, to czemu chciałeś, żebym to ja ci powiedziała? Czemu wciąż pytałeś o moją tatę?

Znowu chwyta mnie za rękę i ściska mocno.

– Bo chciałem wiedzieć, że mi ufasz. Że czujesz się ze mną na tyle komfortowo, by wiedzieć, że bym cię za to nie osądzał. I chciałem usłyszeć całą historię od ciebie. – Ciągnie mnie za rękę, błagając, żebym na niego spojrzała. Przechylam głowę, ale nie chcę patrzeć mu w oczy. – Myślałem, że to by ci pomogło, gdybyś o tym porozmawiała. Do licha, wciąż uważam, że to by ci pomogło.

– Dlaczego?

Wzrusza ramionami.

– Czasami rozmowa pomaga. Mi pomogło to, że opowiedziałem ci o Maddie.

Czuję szarpnięcie nadziei w trzewiach.

– Naprawdę?

– Dałaś mi coś, czego nie dał mi nikt inny.

– Co takiego?

– Patrzyłaś na mnie w ten sam sposób przed usłyszeniem tej historii i po nim. Chcę zrobić to samo dla ciebie.

– W porządku.

– Co w porządku?

– Powiem ci, co wiem.

Roman puszcza moją dłoń i w zamian mnie obejmuje. Opieram głowę o jego bark.

– Nie bądź na mnie zła – szepcze.

– Nie jestem.

– Obiecujesz?

– Obiecuję.

Barki ma szerokie, ale kościste, wyczuwam, jak jego mięśnie napinają się pod ciężarem mojej głowy.

– Naprawdę mnie nie nienawidzisz? Nawet teraz, gdy masz pewność, że to mój tata jest szaleńcem, o którym trąbili w wiadomościach? Myślałam, że naprawdę się zdenerwujesz, bo... – Skupiam wzrok na wyblakłej puszcze po napoju gazowanym, którą ktoś rzucił pod stół. – Cóż, bo tak blisko się przyjaźniłeś z Brianem Jacksonem.

Roman głaszcze mnie po głowie, przeczesując palcami moje splątane kręcone włosy.

– Nie nienawidzę cię, Aysel, przysięgam. Nie mógłbym cię nienawidzić. A już na pewno nie z tego powodu. Przecież ty nic nie zrobiłaś bratu Briana. To nie ty go zabiłaś.

Jego słowa odbijają się echem w moim umyśle: „Przecież ty nic nie zrobiłaś bratu Briana. To nie ty

go zabiłaś”. Podczas gdy próbuję je przetrawić, wzrok rozmazuje mi się coraz bardziej. Łza spływa po moim policzku, a potem tama puszcza i zaczynam szlochać. Cała się trzęsę. Nie rozumiem, dlaczego płaczę teraz, dlaczego dopiero teraz, kiedy wreszcie wiem, że nie chcę umierać.

Roman bierze mnie w ramiona, a ja przyciskam twarz do miękkiej bawełny jego T-shirta. Pachnie mieszanką płynu zmiękczającego i dymu z ogniska. Roman dalej głaszcze mnie po włosach, a ja skupiam się na jego energii kinetycznej. Nie chcę, żeby przestawał. Chcę, by pozostał w ruchu.

Przyciska usta do mojego ucha i szepcze:

– Opowiedz mi, Aysel.

Nabieram w płuca wilgotnego powietrza. Czuję, jakby serce miało mi eksplodować. Wyplątuję się z jego objęć. Ocieram oczy i odchrząkuję.

– Przepraszam.

Uśmiecha się lekko.

– Nie musisz przeproszać. Przestań to powtarzać. Szalona dziewczyna.

Marszczę brwi.

– Widzisz? Jednak uważasz, że jestem szalona. Z powodu mojego taty.

Roman kręci głową, a jego uśmiech staje się szerszy, bardziej krzywy.

– Nie. Myślę, że jesteś szalona w zupełnie inny sposób. Piękny.

Serce mi zamiera. Chcę go zapytać, jak może mówić takie rzeczy na siedem dni przed naszą planowaną śmiercią. To nie w porządku. Nie może wzbudzać we mnie miłości, skoro zamierza mnie opuścić. Skoro chce mnie opuścić. Skoro wie, że to już koniec.

Łzy płyną mi strumieniami po twarzy, a on trąca mnie ramieniem.

– Opowiedz mi tę historię.

Wycieram nos. Patrzę na jego T-shirt poplamiony moimi łzami.

– Zniszczyłam ci koszulkę.

– Nie obchodzi mnie koszulka. Ty mnie obchodzisz.

Coś wewnątrz mnie klika. Jakbym spędziła całe życie na zmaganiu się ze skomplikowaną kombinacją tylko po to, by odkryć, że dobiebrałam się do złego zamka. A teraz skarbiec wewnątrz mnie, zawierający wszystkie moje sekrety, otwiera się na oścież i czuję, jak serce pęcznieje mi krwią.

– Okej, powiem ci, co wiem.

Nie patrzę na niego, ale jestem gotowa przysiąc, że kiwnął głową. Czuję jego wzrok na swojej twarzy, łagodny i delikatny, jak pierwszy opad śniegu. Przez chwilę milczymy, siedzimy obok siebie, ramię w ramię. Przyciskam swój szary trampek do

jego białego, pobrudzonego, i marzę o tym, żebyśmy mogli tak zostać na zawsze. Ale w głębi serca wiem, że to niemożliwe, więc w końcu opowiadam mu tę historię, całą historię.

– Moi rodzice przenieśli się tu z Turcji jeszcze przed moim urodzeniem. Początkowo mieszkali gdzieś w Michigan, ale jakiś krewny mojego taty, a może mojej mamy... – Milknę na chwilę, żeby złapać oddech. Roman ma rację: nigdy sama nie opowiadałam tej historii. Była szeptana za moimi plecami, mama i Steve rozmawiali o niej późną nocą, ściszonymi głosami, kiedy myśleli, że Georgia, Mike i ja twardo śpimy. Była przekręcana, manipulowana i zmieniana. Nigdy się do niej nie przyznawałam. – W każdym razie – ciągnę – ten krewny prowadził sklep spożywczy tu, w Langston, i kiedy zmarł, moi rodzice przeprowadzili się tutaj, by go po nim przejąć.

Roman prycha.

– Wiem, że wszystkich miejsc wybrali sobie akurat Langston. Ale tak, przeprowadzili się tu i kilka miesięcy później mama zaszła w ciążę. Po moich narodzinach chyba zaczęli się od siebie oddalać. Rozstali się, kiedy miałam mniej niż roczek. Najwyraźniej mój tata miał naprawdę gwałtowne huśtawki nastrojów. Jednego ranka budził się o świcie i robił jej jajecznicę i tosty. Ale w inne dni mama budziła się i odkrywała, że ze wściekłości zrobił dziurę w ścianie i zamknął się w małej piwnicy, z której nie chciał wyjść. Był taki, kiedy ja z nim mieszkałam. Ale za bardzo się bałam, żeby powiedzieć o tym mamie.

Zbieram się na odwagę, żeby spojrzeć na Romana. Kładzie swoją dłoń na mojej, nasze palce się splatają.

– Mów dalej – prosi.

– Tata został w Langston i przejął sklep, bo chciał mnie zatrzymać w swoim życiu. Byłam dla niego wszystkim. – Głos załamuje mi się, gdy to mówię. – A potem mama poznała Steve’a i pobrali się, i na świat przyszli Georgia i Mike, a ja odwiedzałam ich w weekendy, ale mieszkałam z tatą. Nienawidził tego, że tracił mnie w te weekendy.

Spoglądam w dal, na huśtawki. Kołyszą się na wietrze w przód i w tył, jakby popychane przez duchy. Zastanawiam się, czy Roman przychodził tu z Maddie i huścili się na nich. Przełykam słone łzy. Wiem, że Roman czeka na dalszy ciąg opowieści, ale właśnie tej części boję się najbardziej. To jest ta część, której sama nigdy nie byłam w stanie pojąć.

Po długiej chwili ciężkiego milczenia mówię:

– Pewnego dnia poszłam do mamy po szkole. Zazwyczaj tuż po szkole chodziłam do taty do sklepu, ale to był wyjątkowy dzień, pierwszy mecz Mike’a w Małej Lidze i obiecałam mu, że tam będę. Pamiętam wyraz twarzy taty, kiedy powiedziałam mu, jak późno wrócę. W sklepie nie szło mu za dobrze i liczył na to, że będę mu pomagać i dotrzymywać towarzystwa. W tamtym miesiącu tata był przekonany, że ma problem z drobnymi kradzieżami. Miał na tym punkcie kompletną obsesję. – Milknę i zagryzam wewnętrzną stronę policzka. Nie puszczam ręki Romana. Ściskam ją mocno raz za razem. Każdy uścisk to małe życzenie. – Więc nie było mnie tam, kiedy to się stało. Kiedy Timothy i jego kumple weszli do sklepu, ja patrzyłam, jak Mike biegnie z pierwszej do drugiej bazy. – Potrząsam głową i wlepiam wzrok w ziemię. – Timothy i jego kumple weszli do

sklepu i zaczęli się wygłupiać. Biegali między alejkami, jeden z nich przewrócił jakiś stojak i mój tata, mój tata, on... – słowa stają mi w gardle – ...mój tata się wściekł. Naprawdę się wściekł. Zaczął na nich krzyczeć, ale Timothy i jego kumple z jakiegoś powodu uznali, że to bardzo zabawne, więc przewrócili kolejny stojak, a jeden z chłopaków złapał kilka batoników i wyrzucił je w powietrze, prowokując mojego tatę, żeby jakoś zareagował. Więc mój tata złapał kij baseballowy zza lady i rzucił się na nich. Timothy chyba zasłonił sobą resztę i próbował go uspokoić, ale tacie po prostu odbiło. Nikt nie mógł go powstrzymać. Kiedy na miejsce przyjechała policja, Timothy leżał nieprzytomny, a mój tata po prostu siedział obok niego, wciąż trzymając w dłoniach ten kij, jak szaleniec. Timothy nigdy nie odzyskał przytomności i zmarł w szpitalu trzy dni później. –

Robię kilka drżących wdechów. – Myślę, że mój tata nawet nie wiedział, kogo zabił.

Nie potrafię spojrzeć Romanowi w twarz, więc przytulam głowę do jego piersi.

– Moja mama już nigdy nie pozwoliła mi go zobaczyć. Nie byłam nawet na rozprawie. Nie miałam okazji się pożegnać.

Roman głaszcze mnie po głowie, przeczesuje palcami loki.

– Pewnie uważała, że tak będzie najlepiej. On był... – urywa. – No wiesz.

Odsuwam się od niego, żeby spojrzeć mu w twarz. Biorę jego dłoń w swoją.

– Wiesz, myliłeś się wcześniej, kiedy powiedziałeś, że to mój tata jest powodem, dla którego chcę umrzeć. To nieprawda. Prawdziwy powód jest taki, że ja się boję, że szaleństwo, które w nim tkwiło, może żyć również we mnie. Że w głębi duszy

jestem zdolna do zrobienia czegoś równie strasznego. Tak bardzo się boję, że jestem nienormalna dokładnie w taki sam sposób jak on.

Zapada milczenie. Roman nic nie mówi. Puszcza moją rękę, a ja czuję w sercu kamień. „On mnie nienawidzi. Boi się mnie”. Odwracam wzrok i mam już zeskoczyć ze stołu, kiedy ciągnie mnie za ramię.

– Aysel, popatrz na mnie.

Dalej wlepiam wzrok w huśtawki. Ich łańcuchy są zardzewiałe. Ktoś powinien je wymienić. Ktoś naprawdę powinien tutaj posprzątać.

– Aysel – powtarza z naciskiem. – Proszę.

Kiedy odwracam się, żeby na niego spojrzeć, widzę jego twarz centymetry od swojej. Szczęki ma zaciśnięte, oczy ponure. Wstrzymuję oddech, czekając, aż coś powie. Cokolwiek. Odgarnia pasmo włosów z mojej twarzy, po czym pochyla

głowę, żeby pocałować mnie w czoło. Czuję mrowienie w całym ciele.

– Chcę, żebyś wiedziała, że w niczym nie przypominasz swojego taty. Słyszysz mnie? Znam cię, Aysel. Nigdy nie zrobiłabyś czegoś takiego. – Bierze moją twarz w dłonie.

– Ale w takim razie dlaczego tak bardzo za nim tęsknię?

Zaledwie centymetry dzielą mój nos od nosa Romana. Chciałabym uciec wzrokiem, ale nie mogę. Przyciąga mnie bliżej, obejmuje ramionami.

– Bo jesteś człowiekiem. Nikt nie jest całkowicie zły ani całkowicie dobry. Jestem pewien, że spędziłaś z tatą wiele dobrych chwil. To ma sens, że za nim tęsknisz.

– To dlatego chciałam go zobaczyć ten ostatni raz, wiesz? Nie tylko żeby odkryć, czy jestem taka jak on, ale też żeby dać mu znać, że za nim tęsknię.

Że mi przykro, że zostawiłam go samego. Chociaż to zupełnie pokręcone, chcę, żeby mi wybaczył.

Roman pociera dłonią moje plecy, aż do karku.

– Jestem pewien, że on cię nie obwinia, Aysel. I jestem pewien, że wciąż cię kocha. Zawsze będzie.

Kiedy słyszę te słowa, mój płacz znowu przeradza się w szloch. Roman przytula mnie mocniej, a ja ryczę prosto w jego T-shirt. Wydaje mi się, że siedzimy tak godzinami, ja – płacząc, on – masując moje plecy. W końcu biorę się w garść, odsuwam od niego i ocieram oczy.

– Przepraszam.

Pochyliła się i bierze mnie za rękę.

– Nie masz za co przepraszać.

Przełykam kilka razy ślinę i spoglądam w niebo. Nabrało barwy posępnego indygo, słońce zaczęło zachodzić. Nie chcę, żeby ten dzień wyblakł, żeby

czas dalej płynął. Zaciskam powieki i przez chwilę siedzę nieruchomo. Kiedy otwieram oczy, widzę, że Roman wstał i wlepia wzrok w ziemię.

– Dziękuję – mówię.

– Za co?

– Za zrozumienie.

Wzrusza lekko ramionami, jakby chciał powiedzieć, że to nic takiego. Ale to zdecydowanie nie było niczym.

– Znalazłam ten portret, który mi narysowałeś – mówię powoli.

W jego oczach widzę błysk zaskoczenia.

– Nie jest dokończony.

Wyciągam go z kieszeni i rozkładam.

– Dla mnie wygląda na skończony.

Roman przenosi ciężar ciała z lewej nogi na prawą.

– Możesz go zatrzymać.

Wiem, że to powinno podnieść mnie na duchu, ale tak nie jest. Powiedział to w taki ostateczny sposób.

– Żałuję, że nie potrafię rysować.

Spogląda w dal i pociera kark dłonią.

– Na pewno potrafisz.

– Ale nie tak – szepczę. – Chciałabym móc narysować, jak cię widzę.

Narysowałabym chłopca o najbardziej magnetycznym uśmiechu i delikatnych dłoniach, i posępnych oczach, które czasem potrafią pojaśnić. Narysowałabym chłopca, który zasługuje na to, by zobaczyć ocean.

Ale Roman najwyraźniej szóstym zmysłem wyczuwa, do czego zmierzam. Spogląda w stronę samochodu.

– Powinniśmy się zbierać.

Czuję podmuch wiatru na twarzy wciąż wilgotnej od łez i kiedy tak patrzę, jak Roman stoi z ręką na karku, a wiatr szarpie materiałem jego luźnego T-shirtu, wiem, że myśli o Maddie. Wiem, że myśli o skoczeniu na główkę do rzeki Ohio. Wiem, że myśli o umieraniu.

Znowu chce mi się płakać.

W drodze do domu zmuszam go, żeby spotkał się jakoś ze mną w przyszłym tygodniu. To pokręcone, ale zgadza się, że powinniśmy rozwiązać kwestię listów samobójczych. Ledwie jestem w stanie o tym rozmawiać i jestem całkiem pewna, że on wie, że teraz kłamię, a ja wiem, że on wie, ale żadne z nas nic nie mówi.

Po tym jak umawiamy się bez przekonania, reszta drogi upływa w milczeniu. Nie chce mi się włączać radia. Nawet *Requiem* Mozarta nie pocieszyłoby mnie w tej chwili.

Gdy zatrzymuję się na jego podjeździe, Roman mówi:

– Zeszłej nocy spałaś w skarpetkach.

– Co?

Parkuję i gaszę silnik, żeby móc na niego spojrzeć. Wygląda przez okno od strony pasażera, skulony, jakby chciał utrzymać między nami dystans.

– Powiedziałaś, że nie możesz spać w skarpetkach. Pamiętasz? Powiedziałaś mi to. Powiedziałaś, że to dla ciebie problem. Ale tej nocy spałaś w skarpetkach.

Nie potrafię stwierdzić, czy mówi serio, czy żartuje.

– Aha. No i do czego zmierzasz?

Powoli odwraca twarz, żeby na mnie spojrzeć. Oczy ma szeroko otwarte i szkliste. Chyba teraz jego kolej na płacz, ale mruga, powstrzymując łzy.

– Zmierzam do tego, że możesz się zmienić. Jesteś odporna. Pamiętaj o tym, Aysel, jesteś odporna.

– To tylko skarpetki – mówię cicho.

Wzrusza ramionami.

– To zawsze jakaś zmiana.

Już mam mu powiedzieć, że on też jest odporny. Wiem o tym. Ale gryzę się w język. Wysiadam z samochodu, żeby pomóc mu wyjąć rzeczy z bagażnika. Nie należę do osób, które się modlą, ale próbuję błagać, żeby pani Franklin nie wyszła z domu. Mam nadzieję, że w telewizji leci właśnie jakiś wciągający romantyczny dramat, bardziej dla niej interesujący niż ten rozgrywający się na zewnątrz, na jej progu.

– Co chcesz przez to powiedzieć, Roman?

Uśmiecha się do mnie krzywo.

– Nic. Po prostu poczyniłem obserwację.

W jego oczach nie ma już smutku. W ogóle nic w nich nie ma. Są puste. I to sprawia mi jeszcze większy ból. Szeroko otwiera ramiona i przytula mnie.

– Do zobaczenia.

– Czekał, umówiliśmy się w końcu na czwartek czy piątek? Mówiłeś, że który dzień ci bardziej pasuje?

Nie odpowiada. Po prostu wypuszcza mnie z objęć, po czym odwraca się i idzie ścieżką do swojego domu, niosąc plecak, namiot, lodówkę turystyczną i kosz piknikowy. Zastanawiam się, czy nie powinnam mu pomóc z tym wszystkim, ale nie sądzę, żeby tego chciał. Chociaż ja chciałabym, żeby potrzebował mojej pomocy.

– Dam ci znać, jeśli dowiem się czegoś więcej o moim tacie! – wołam.

Nie obchodzi mnie nawet, czy jego mama to usłyszy. Po raz pierwszy w życiu tata jest najmniejszym z moich zmartwień. Patrzę, jak Roman rzuca pakunki na próg. Macha przez ramię, ale się nie odwraca.

Muszę znaleźć jakiś sposób, by zmienić zdanie. By całkowicie zmienić zdanie.

poniedziałek, 1 kwietnia

6 dni do końca



Po szkole dzwonię pod numer, który Jacob zostawił mi na poczcie głosowej. Próbowałam już raz w niedzielę, gdy podrzuciłam Romana do domu, ale nikt nie odebrał, a ja nie zdobyłam się na odwagę, żeby nagrać wiadomość. Kulę się na przednim siedzeniu samochodu i przyciskam telefon do ucha. Dzwoni kilka razy, po czym w słuchawce rozlega się chłodny głos:

– Szpital Psychiatryczny imienia Świętej Anny.
Tara przy telefonie. W czym mogę pomóc?

Przełykam ślinę.

– Eee, cześć, Tara. Nazywam się Aysel Seran. Jestem córką Omera Serana. Powiedziano mi, że został przeniesiony do was z Zakładu Karnego McGreavy i... – słowa wypadają z moich ust szybciej, niżbym chciała, ale boję się, że jeśli nie wyrzucę z siebie wszystkiego, ona się rozłączy i stracę moją szansę na spotkanie z tatą.

– Rozumiem – mówi szorstkim głosem. – Czy jesteś nieletnia?

– Słucham?

– Czy masz mniej niż osiemnaście lat?

Zastanawiam się, czy nie skłamać.

– A to ma jakieś znaczenie?

– Nie jestem upoważniona do podawania żadnych informacji dotyczących pacjentów osobom

nieletnim. Nie jestem również upoważniona do podawania żadnych poufnych informacji przez telefon.

– Ale... – Zagryzam dolną wargę. – To co ja mam zrobić? Naprawdę chciałabym zobaczyć się z tatą.

Słyszę, jak wzdycha.

– Jeśli twój ojciec jest tutaj pacjentem, czego nie wolno mi potwierdzić ze względu na przepisy, musiałabyś poprosić prawnego opiekuna, żeby zadzwonił do nas i umówił cię na wizytę. Ze względu jednak na stan pacjenta wizyta może nie być możliwa.

– Naprawdę nie może mi pani podać żadnych informacji? Nawet potwierdzić, że mój tata rzeczywiście u was jest?

– Myślę, że powinnaś porozmawiać z matką o umówieniu wizyty. – Kolejne westchnienie. – Powinna zadzwonić pod ten numer.

Uśmiecham się słabo.

– Dziękuję.

– Proszę bardzo. Miłego dnia. – Słyszę dźwięk odkładanej słuchawki.

Wciskam telefon z powrotem do kieszeni i rozkładam fotel, żeby położyć się płasko na plecach. Słońce wygląda zza chmur i zalewa moją twarz. Muszę porozmawiać z mamą o tacie.

Wyobrażam sobie wizytę u niego. Zastanawiam się, czy będzie miał na sobie szpitalny strój. Albo, co gorsza, kaftan bezpieczeństwa. Mrużę oczy i próbuję sobie wyobrazić jego twarz, ale widzę tylko człowieka, którego pamiętam. Człowieka, który nigdy nie pobiłby chłopca na śmierć kijem baseballowym. Może wszyscy mamy w sobie

ciemność, tylko niektórzy z nas radzą sobie z nią lepiej niż inni.

To, co zrobił mój tata, było złe, okropne, niewybaczalne, ale może wciąż jest dla niego nadzieja. Może jeśli lekarze udzielą mu pomocy, której potrzebuje, uda im się wskrzesić człowieka, który uczył mnie o *Toccacie* Bacha i sypiał w fotelu w moim pokoju, kiedy bałam się ciemności. A jeśli wciąż jest nadzieja dla mojego taty, to musi być nadzieja i dla mnie. Może to prawda, że oboje mamy w środku tego samego czarnego ślimaka, ale to ode mnie zależy, czy go pokonam. Jestem to winna mojemu tacie. Jestem to winna sobie.

Z powrotem podnoszę siedzenie i wsadzam kluczyk do stacyjki. Muszę porozmawiać z mamą.

Gdy wyjeżdżam ze szkolnego parkingu, obiecuję sobie: będę silniejsza niż mój smutek.

Zrobię wszystko, żeby stać się dziewczyną z rysunku Romana. Dziewczyną o jasnych oczach. Dziewczyną mającą nadzieję.

poniedziałek, 1 kwietnia

6 dni do końca



Kiedy wracam do domu, mama stoi przy zlewie i obiera ziemniaki. Podchodzę do szafki i grzebię w niej, próbując znaleźć batonik muesli z kawałkami czekolady.

– Aysel – mówi, witając mnie gestem.

Odwracam się, żeby na nią spojrzeć. W rękę trzymam puste opakowanie po batonikach.

– Mike zawsze bierze ostatniego i nie wyrzuca pudełka. To irytujące.

Mama uśmiecha się słabo. Jasnobrzęde włosy ma zaplecione w luźny warkocz. Kiedy upina je w ten sposób, odsłaniając szerokie czoło i wysokie kości policzkowe, jest bardziej podobna do Georgii niż zwykle. Odkłada teraz obieraczkę do ziemniaków i wyciera ręce.

– Możemy porozmawiać?

Wygląda na to, że nie skomentuje kwestii batoników. Odstawiam pudełko na stół.

– Pewnie.

– Dzwonili dziś z TMC. Pan Palmer zastanawiał się, gdzie jesteś. Nie przyszedł do pracy w sobotę, a dziś też chyba powinnaś tam być...

Mówi niepewnym głosem, jakby bała się udzielić mi reprimendy. Ale ma rację. Olałam pracę. Najpierw uznałam, że skoro zamierzam

umrzeć, chodzenie do niej nie jest ważne – pieniądze nie mają znaczenia dla zmarłego. Teraz zaś, chociaż nie zamierzam już skoczyć z Crestville Pointe, jestem całkiem pewna, że nie chcę dłużej pracować w TMC.

– Rzucam to – mówię.

– Co? – pyta, jakby mnie nie usłyszała, ale zachowuje spokój.

Chciałabym, żeby chociaż raz na mnie wrzasnęła jak na normalne dziecko.

– Możesz na mnie krzyknąć – oznajmiam. – Nie jestem nim, wiesz? Może jestem do niego podobna, ale nie muszę skończyć jak on.

Czuję łzy napływające mi do oczu. Mrugam, żeby je odpędzić. Mama kuli się, jakbym właśnie dała jej w twarz. Przykłada dłoń do policzka.

– Och, Aysel. Och, kochanie. – Wyciąga do mnie ręce.

Pozwalam jej się objąć, ale nie odwzajemniam uścisku. Opieram się o nią i czuję, jak sztywnieje pod moim ciężarem. Bierze mnie za rękę i prowadzi do swojej sypialni. Nie byłam w tym pokoju, od kiedy się wprowadziłam. To główna sypialnia w domu, ale tylko z nazwy. Jest niewiele większa od pomieszczenia, które dzielimy z Georgią. Zauważam kilka brudnych koszul Steve'a na podłodze w rogu, ale poza tym wygląda na to, że mama bardzo się stara utrzymać tu porządek. To dla niej jedyne sanktuarium chroniące ją przed chaosem, w jakim pogrążona jest reszta domu.

Siadamy na łóżku. Kładę dłonie na kwiecistej kołdrze. Wbijam w nią wzrok. Materiał jest poprzecierany, róże wyglądają, jakby były zamazane i krwawiły. Zaczynam skubać jedną z luźnych nitek. Mama odsuwa się, żeby spojrzeć mi w oczy.

– Aysel – mówi. – W niczym go nie przypominasz.

Serce mi wali. Wydaje się tak wielkie i ciężkie, że zastanawiam się, czy to jedyna rzecz, jakiej nie pożarł czarny ślimak. Reszta wnętrzości jest pusta, pozostało tylko moje samotne bijące serce.

– Ale jestem jak on.

Lekko dotyka mojej dłoni.

– Co masz na myśli?

Oddech mi drży, łapię powietrze, próbując się uspokoić.

– Jestem smutna, mamu. Cały czas jestem smutna. Myślę, że on też był smutny.

– Och, kochanie – mówi ciężkim głosem. W końcu podnoszę wzrok i widzę, że jej oczy są zamglone i przekrwione. – Powinnaś była mi powiedzieć. Dlaczego nie przyszedłaś z tym do mnie wcześniej?

Zwieszam głowę, dociskając podbródek do piersi.

– Bałam się... – Głos mi się łamie, czuję słone łzy w gardle. – Byłam przerażona, że mnie odeślesz. Albo gorzej... Że przeze mnie będziesz miała więcej problemów. Nie zasługujesz na więcej problemów.

Mama znowu przyciąga mnie do siebie. Kiwamy się w przód i w tył w milczeniu. W końcu puszcza mnie i ociera twarz.

– Nie wiem, jak to wyjaśnić, Aysel, ale myślę, że nigdy nie próbowałam porozmawiać z tobą o tym wszystkim, bo byłam przerażona, że nie znajdę właściwych słów. – Milknie na chwilę, usta jej drgają, jakby chciała coś dodać, ale nic nie mówi.

– Mamo?

Wzdycha.

– Chyba wciąż nie wiem, co chcę powiedzieć. Albo co powinnam powiedzieć. Wiesz, kiedy byłaś młodsza, widywałam cię, jak stoisz sama pod drzewem na dziedzińcu podstawówki, w tej niebieskiej wiatrówce, którą kupił ci tata. Tej w żółte kaczuszki. Pamiętasz?

„Pamiętam”. Mama ciągnie:

– Pojawiałam się tam, żeby odebrać Georgię, i wiedziałam, że twój ojciec zaraz po ciebie przyjdzie, ale nigdy nie mogłam się pozbyć wrażenia, że powinnam coś dla ciebie zrobić. Wyglądałaś tak samotnie... Nawet wtedy. Chciałam wysiąść z samochodu i przytulić cię, porozmawiać z tobą. Ale nigdy tego nie zrobiłam. A potem, gdy to wszystko się wydarzyło, pozwoliłam, żeby strach zawładnął mną jeszcze bardziej. Przepraszam. Tak mi przykro. Powinnam być silniejsza dla ciebie.

Chce ująć moje dłonie w swoje, ale odsuwam się od niej. Łzy lecą mi po policzkach, ocieram je rękawem koszuli. Odchrząkuję.

– Chcę odwiedzić tatę.

Mama nic nie mówi. Wlepia wzrok w podłogę.

– Mamo, ja naprawdę chcę go zobaczyć. Myślę, że to mogłoby mi pomóc.

– On już nie siedzi w więzieniu – oznajmia powoli, sięgając po moją dłoń. Tym razem pozwalam jej ją chwycić. Ściska ją. – Przenieśli go do szpitala psychiatrycznego.

– Wiem.

Podrywa głowę.

– Co?

– Próbowałam go odwiedzić w McGreavy i powiedzieli mi, że został przeniesiony. I musisz pojechać ze mną, żeby było mi wolno go odwiedzić w Szpitalu Świętej Anny.

Mama podnosi dłoń do ust i zaciska ją w pięść.
Zaczyna gryźć knykcie.

– A więc zabierzesz mnie tam? – nie ustępuję.

Oddycha głęboko, powoli wyciąga rękę i gładzi mnie po włosach, tak samo jak zazwyczaj głaszczce Georgię. Myślałam, że już nigdy nie dotknie mnie w ten sposób.

– Nie jestem pewna, czy to najlepszy pomysł, ale zobaczę, co uda nam się załatwić.

– Obiecujesz?

Chwyta moje dłonie w swoje.

– Obiecuję. Lecz ty też musisz coś dla mnie zrobić.

– Co takiego?

Nasze dłonie są ciasno splecione, a ona ścisza moje jeszcze mocniej.

– Porozmawiaj ze mną o swoim smutku, Aysel. Czy musisz się do kogoś zgłosić?

Odwracam wzrok.

– Nie wiem.

Od kiedy pamiętam, bałam się o tym z kimkolwiek rozmawiać, bo byłam pewna, że odbiorą to jako dowód na to, że odziedziczyłam szaleństwo po ojcu. Ale teraz rozumiem, że nigdy nie zmienię tego, co zrobił mój tata, ani faktu, że nie było mnie tam tamtego popołudnia, by go powstrzymać. Każdego dnia będę się budzić, a on wciąż będzie odpowiedzialny za śmierć Timothy’ego Jacksona. I może czarny ślimak zawsze będzie we mnie żył. Może zawsze będę miała złe dni, kiedy ciężar będzie się wydawał nieznośny. Ale chociaż brzmi to strasznie ckliwie, może dobre dni sprawią, że warto będzie przechodzić przez te złe. Zbyt długo czyniłam z przeszłości swoją przyszłość, bałam się wyobrazić sobie cokolwiek innego. I zachowywałam

się w ten sposób – statycznie. Bałam się własnej energii kinetycznej. Może nadszedł czas, by wprowadzić się w ruch. Może nadszedł czas, żebym zaczęła walczyć ze smutkiem, który we mnie tkwi.

Zastanawiam się, czy uda mi się sprawić, by Roman to zrozumiał. Żeby dostrzegł, że moja zmiana zdania nie wynika z tchórzostwa, lecz z chęci walki. Będę musiała znaleźć odwagę, żeby w końcu być z nim szczerą.

– Mogę się nad tym zastanowić? – pytam w końcu.

– Pewnie – zgadza się. – Ale nawet jeśli nie chcesz od razu porozmawiać ze specjalistą, musisz mi obiecać, że będziesz rozmawiać ze mną. Nie możesz dusić tego wszystkiego w sobie, Aysel. Już nie.

– Wiem – mówię i przytulam się do niej znowu.

Wdycham kwiatowy zapach jej perfum, który przypomina mi czasy, kiedy ciężar we mnie nie był tak przytłaczający, tak nieznośny. Zastanawiam się, czy właśnie w ten sposób zwycięża ciemność – przekonując nas, byśmy uwięzili ją wewnątrz siebie, zamiast się jej pozbyć.

Nie chcę, żeby zwyciężyła.

środa, 3 kwietnia

4 dni do końca



Na lekcji angielskiego przechodzimy od omawiania pogrążonych w depresji amerykańskich poetów do lektury *Raju utraconego*. Czyli chyba po prostu skaczemy na drugą stronę oceanu i skupiamy się na pogrążonych w depresji poetach angielskich.

Pani Marks jest zakochana w Johnie Miltonie. Wciąż przyciska tomik do piersi, jakby się bała, że

któreś z nas wyrwie go jej z rąk i ucieknie. Najwyraźniej musiała latami walczyć o to, żeby wolno jej było włączyć tę lekturę do listy, i wciąż zachowuje się tak, jakby w każdej chwili dyrektor miał się pojawić i zakazać jej omawiania tego tekstu.

Krąży po klasie. Taki ma zwyczaj. Każde nam ustawiać ławki w podkowę i przez całe zajęcia krąży wokół nas.

– Jak już wiecie, uwielbiam wspaniałe cytaty. Błyskotliwe uwagi.

Przecieram oczy, próbując nie zasnąć. W klasie jest gorąco i duszno, a ja ledwie słucham pani Marks nawet wtedy, gdy panuje tu normalna temperatura. Patrzę na zegarek. Jeszcze trzynaście minut do dzwonka i będę miała fizykę.

– I chociaż bardzo cenię Johna Berrymana, Sylvię Plath i Allena Ginsberga, mam słabość do poezji angielskiej – mówi.

W klasie rozlega się coraz więcej jęków. Już dział z poezją amerykańską nie był zbyt popularny.

– A John Milton ukuł mój chyba najulubieńszy cytat wszech czasów.

Przerywa swoją trasę i podchodzi do tablicy ścieralnej. Sięga po niebieski marker i gryzmoli: „Umysł jest dla siebie siedzibą, może sam w sobie przemienić piekło w Niebiosa, a Niebiosa w piekło”³. Odczytuje cytat na głos i mówi:

– Czy ktoś może mi powiedzieć, co Milton miał na myśli?

W klasie zapada cisza, jak makiem zasiał. Żadnych jęków. Odczytuję cytat raz jeszcze, a słowa odbijają się echem w mojej głowie. Po raz pierwszy w tym roku otwieram zeszyt od angielskiego

w środku zajęć. Normalnie zapisuję w nim tylko prace domowe. Notuję cytaty na górze pustej strony.

– Aysel? – mówi pani Marks.

Nie mogę uwierzyć, że wzywa mnie do odpowiedzi. Ona nigdy nie wzywa mnie do odpowiedzi. Myślałam, że mamy swego rodzaju milczące porozumienie w tej kwestii. Taki pakt.

Wzruszam ramionami i mówię cicho:

– Nie wiem.

– Och, daj spokój. – Stuka końcówką markera w tablicę. – Widzę, że coś notujesz. Musisz mieć jakieś przemyślenia. Spróbuj zgadnąć.

Nabieram powietrza w płuca i odczytuję cytaty po raz trzeci. Sprawia, że czuję, jakby mój mózg został podłączony do kontaktu i ożywiony iskrą energii.

– Przypomina mi o Einsteinie.

W klasie znowu rozlegają się jęki i chichoty.

– Cisza! – Pani Marks gromi wszystkich wzrokiem. – Mów dalej, Aysel.

Wiem, że ze względu na własne dobro powinienam zamilknąć. I tydzień temu bym to zrobiła. Ale teraz czuję, że jest we mnie coś, co już nie może dłużej siedzieć cicho.

– Chodzi mi o to, że te słowa przypominają mi o teorii względności Einsteina. Chociaż Milton oczywiście nie mówi o prędkości światła. Mówi o tym, jak ludzki umysł postrzega życie.

Pani Marks kiwa głową zachęcająco, więc ciągnę:

– Ale tak naprawdę Milton i Einstein twierdzili to samo. Że dla ludzkiego umysłu wszystko jest subiektywne. Nasze emocje, nasze opinie są względne. Wszystko zależy od punktu widzenia.

– Znakomicie, Aysel – mówi pani Marks. – Powinnaś częściej brać udział w lekcji.

Ku mojemu zaskoczeniu nie słyszę żadnych szeptów, żadnych obelg. W klasie panuje cisza, a pani Marks wraca do paplania na temat *Raju utraconego*. Zadaje nam fragment do przeczytania, a potem rozlega się dzwonek. Gdy wychodzę z klasy, patrzy na mnie i podnosi kciuki. Kiwam głową, uśmiechając się oczami. Pędzę korytarzem, żeby dotrzeć na lekcję fizyki przed wszystkimi. Gdy wpadam do klasy pana Scotta, praktycznie brakuje mi tchu.

– Hola, Aysel – mówi, unosząc dłonie. – Nie musisz się tak spieszyć.

– Przepraszam – dyszę. W końcu łapię oddech.
– Chciałam tylko zapytać, czy wciąż mogłabym się zgłosić do tego letniego programu.

Usta pana Scotta rozciągają się w szerokim uśmiechu.

– Pewnie. Termin zgłoszeń upływa pierwszego maja. Wciąż masz trochę czasu, żeby przygotować dokumenty.

Podchodzi do swojego biurka i otwiera jedną z szuflad. Wyciąga kolejny egzemplarz broszurki i podaje mi go.

– To tak na wszelki wypadek, jeśli zgubiłaś tamten. – Puszczą do mnie oko.

Przechodzi mi przez myśl, żeby powiedzieć mu, że wciąż go mam. Że lśniące zdjęcia są teraz wymiętoszone, bo tyle czasu spędziłam na ich przeglądaniu, próbowałam sobie wyobrazić, że jestem jednym z tych bystrych dzieciaków w za dużych goglach, że zaglądam w okular mikroskopu albo buduję most z wykałaczek. Wciąż nie widzę siebie wśród nich, ale potrafię sobie wyobrazić taką możliwość. Wróc. Potencjalną możliwość. Głęboko w trzewiach. Ale nie wspominam o tym

wszystkim nauczycielowi. Biorę od niego drugi egzemplarz broszurki i się uśmiecham.

– Dzięki.

Podchodzę do swojej ławki, a on mówi:

– Aysel?

– Tak? – Odwracam się.

– Jak ci idzie projekt? Bardzo jestem ciekaw, co wymyśliliście z Taylorem.

Przypominam sobie o naszej wycieczce do zoo. Mam wrażenie, jakby to było wieki temu.

– Będziemy gotowi na dziesiątego.

Pan Scott się uśmiecha.

– Dobrze. Bardzo się cieszę.

czwartek, 4 kwietnia

3 dni do końca



Jadę do Romana. Wysłałam mu esemesa, żeby go uprzedzić, że przyjeżdżam. Nie odpowiedział, ale czasami reaguje tak wolno.

Wyobrażam sobie, jak leży na łóżku w swoim pokoju, brzuchem do góry, wpatruje się w Kapitana Nemo, szkicuje z roztargnieniem, a ołówek zostawia lekkie ślady na papierze. Zastanawiam się, czy on i Kapitan siedzą w milczeniu przez cały

dzień, czy może Roman coś do niego mówi. Zastanawiam się, czy opowiada mu o mnie. Chciałabym zmusić zółwia, żeby zdradził wszystkie sekrety swojego opiekuna.

Ściskam mocniej kierownicę i przypominam sobie, że nikt mi nie musi zdradzać sekretów Romana. Że to ja go zmuszę, by ze mną porozmawiał. Bo zamierzam być z nim całkowicie szczerą. Na sekundę odrywam wzrok od drogi i zerkam na miejsce pasażera, na które rzuciłam książkę o plażach Karoliny Północnej. Pomyślałam, że zacznę od przekonania go, by wybrał się ze mną nad ocean. Mam nadzieję, że cała reszta pójdzie gładko.

Parkuję na podjeździe pod jego domem. Roman wciąż nie odpowiedział na moją wiadomość. Siedzę w samochodzie parę chwil, wpatrując się w znajomą skrzynkę pocztową w kolorze

karmelowym. Piszę do niego znowu, a kiedy dalej nie odpowiada, próbuję dzwonić. Nie odbiera. Podskakuję nerwowo na siedzeniu, kiedy otwierają się drzwi frontowe, ale odprężam się, gdy widzę, że to tylko jego mama. Wsiadam z samochodu i macham do niej.

– Aysel – mówi, podchodząc do mnie. Ma na sobie różowy sweter i chodaki w stokrotki. – Co ty tutaj robisz? – Kasztanowe włosy ściągnęła w koczek. Wygląda dzięki temu młodziej.

Uśmiecham się przeproszająco.

– Och, byłam w okolicy i chciałam sprawdzić, czy Roman jest w domu. Mieliśmy się spotkać jakoś w tym tygodniu.

Pani Franklin marszczy brwi.

– Romana nie ma.

– Naprawdę? – Próbuję ukryć, jak bardzo jestem zaskoczona. Myślałam, że nigdy nie wychodzi, chyba że ze mną.

– Tak. Powiedział mi, że jedzie do ciebie.

Szczęka mi opada.

– Co takiego?

Pani Franklin obejmuje się ramionami, jakby nagle zrobiło się jej bardzo zimno.

– Zapytał, czy może pożyczyć mój samochód, żeby pojechać do ciebie. Nie wiem, czy wiesz, ale nie mógł prowadzić przez jakiś czas. Wygląda jednak na to, że czuje się znacznie lepiej, od kiedy spotyka się z tobą, więc pomyślałam... – urywa.

Straszliwa myśl uderza mnie z siłą tsunami. Mam wrażenie, że tonę, gdy wyrzucam z siebie pytanie:

– Mogę wejść na górę?

Pani Franklin patrzy na mnie zdezorientowana, ale po chwili robi wielkie oczy i rusza w stronę domu. Biegnę za nią.

Wpada do kuchni, odpychając krzesło stojące jej na drodze. Krzesło zderza się z kuchennym blatem, a filiżanka stojąca na jego krawędzi spada i rozbija się z trzaskiem. Przeskakuję nad odłamkami i doganiam ją na schodach. Pędzimy na górę i kamień spada mi z serca, kiedy widzę, że drzwi do pokoju Romana są otwarte. Może jest w środku. Może po prostu ma słuchawki na uszach, słucha tej swojej strasznej muzyki i zapomniał o bożym świecie.

Pani Franklin zatrzymuje się w progu. Przyciska rękę do serca i oddycha chrapliwie. Stopy ciążą mi jak dwie kotwice, ale zmuszam się, by wejść do pokoju. Nagle czuję, jak jeżą mi się włoski na przedramionach. Mam złe przeczucia. Odwracam

się, żeby spojrzeć na panią Franklin. Na jej twarzy maluje się niemal ulga. Lustruję wzrokiem pokój, szukając jakichkolwiek śladów Romana. Łóżko nie jest posłane, beżowa kołdra leży skotłowana w nogach. Widzę zagłębienie w poduszce. Podchodzę bliżej i przyciskam do niego dłoń.

– Aysel – mówi pani Franklin roztrzęsionym głosem. – Powinam o czymś wiedzieć? – Znowu obejmuje się ramionami. – Powinam się niepokoić?

Nie odpowiadam. Oglądam stolik nocny, ale nie znajduję listu samobójczego.

– Nie jestem pewna.

Kucam i zaglądam pod łóżko. Tam też niczego nie znajduję. Wstaję i podchodzę do terrarium Kapitana Nemo. Serce mi zamiera na jego widok. W środku stoi dodatkowe naczynie z karmą. Wcześniej zawsze było tylko jedno, ale teraz są

dwa. Przygryzam wewnętrzną stronę policzka. Może się mylę. Może Kapitan Nemo był dziś rano po prostu wyjątkowo głodny... Szukam w myślach wymówek, ale nic nie brzmi przekonująco. Żołądek zawiązuje mi się w coraz ciaśniejszy supeł, kiedy patrzę, jak żółwik wyleguje się w wodzie.

– Musimy go znaleźć! – krzyczę, ale brzmi to bardziej jak zduszony szept.

Wybiegam z pokoju i pędzę po schodach na dół. Pani Franklin biegnie za mną i łapie mnie za rękę, przyciągając mnie z powrotem do siebie.

– Co się dzieje? – pyta bez tchu. Twarz ma czerwoną.

– Martwię się, że Roman... – Nie mogę na nią patrzeć. Bawię się kluczykami od samochodu.

– Jadę z tobą.

To nie jest prośba. To oświadczenie. Nie chcę, żeby ze mną jechała, ale nie wiem, jak mogłabym jej odmówić. Jak mogłabym powiedzieć jej cokolwiek, skoro wszystko to moja wina? Skoro wiele dni temu powinnam ją uprzedzić o naszym planie. Opowiedzieć o naszym samobójczym pakcie.

Wycofuję samochód z podjazdu tak szybko, że palę gumę. Pani Franklin dociska dłonie do deski rozdzielczej, żeby zachować równowagę, ale nie beszta mnie za pośpiech. Pędzę do Crestville Pointe. Pani Franklin zaczyna szlochać. Zawodzi. Ramiona jej się trzęsą. Uderza pięścią o boczną szybę.

– To wszystko moja wina.

„To nie pani wina! To moja wina!” – krzyczę w myślach. Zaciskam szczęki i skupiam wzrok na

drodze. Roman zawsze chciał, żebym patrzyła na drogę. Żebym była skupiona.

– On obwinia się za śmierć siostry – mówi.

„Wiem. Wiem wszystko”. Nie odzywam się.

– Ale to moja wina. Mówiłam mu to tysiące razy. To ja zostawiłam go z nią samego. To była za duża odpowiedzialność dla szesnastolatka. Nie powinnam była jej zostawiać... zostawiać jego samego z nią... – załamuje się i kryje twarz w dłoniach. – Poszłam z nim na spotkanie z psychologiem... I w kółko, na okrągło powtarzaliśmy, że to jego tata i ja jesteśmy odpowiedzialni, a nie on. Ale nie chciał słuchać.

Nawet nie kiwam głową. Nie jestem w stanie nic powiedzieć. Parkuję samochód na skraju lasu. Lustruję wzrokiem okolicę w poszukiwaniu czerwonego dżipa Franklinów. Nigdzie go nie widzę.

Może przejechał nim przez las. Nie obchodziłoby go, że to nielegalne i niebezpieczne.

– Zaraz wrócę – mówię.

– Chcę iść z tobą.

Zerkam na jej chodaki.

– Ale...

Kobieta wysiada z samochodu i zrzuca buty.

– To mój syn, Aysel. Idę.

Łapie mnie za rękę i biegniemy przez las. Cały czas ściska moją dłoń, raz za razem, tak mocno, że mam wrażenie, jakby palce miały mi zaraz odpaść z braku krążenia. Gałązki trzaskają pod jej bosymi stopami, ale się nie krzywi. Dotrzymuje mi kroku i szybko docieramy do polanki.

Przed nami majaczy klif. Chcę tu znaleźć Romana i nie chcę. Chcę zarzucić mu ręce na szyję i przytulić go, poczuć jego sosnowy zapach i pocałować łątę piegów na karku. I chcę mu

przyłożyć, spoliczkować go za to, że tak mnie zdradził. Że kłamał. Że próbował umrzeć beze mnie. Ale nie będę mogła zrobić ani jednego, ani drugiego, jeśli nie znajdziemy go na czas. Kolana się pode mną uginają.

– Chyba nie myślisz, że on...? – pyta pani Franklin głosem schrypniętym od płaczu.

Patrzę, jak spogląda ponad krawędzią klifu. Rzeka Ohio bulgocze poniżej. Wątpię, byśmy były w stanie go zauważyć, gdyby tam był. W wodzie. Z głową uderzającą o skały. Ze złamanym, zwiotczalym kręgosłupem...

Wyrzucam te myśli z głowy. „On nie umarł. Nie mógł”. Zastanawiam się, czybym poczuła, gdyby już nie żył. Czybym wiedziała, rozumiała to na jakimś komórkowym poziomie. Czy wyczułabym jego energię opuszczającą ciało i rozpraszającą się.

Po raz pierwszy tego dnia odwzajemniam uścisk dłoni pani Franklin.

– Musimy go znaleźć. Znajdziemy go.

Nie wiem, dlaczego to mówię. To bardziej życzenie niż obietnica. Kobieta puszcza moją dłoń i obejmuje mnie mocno. Pachnie ciastem na babeczki i wanilią.

– Jesteś aniołem.

Tracę nad sobą panowanie, gdy to mówi. Nie jestem żadnym aniołem. Wręcz przeciwnie. Mogłam temu zapobiec. Powinnam była go powstrzymać. Już mam jej to powiedzieć, kiedy uderza mnie pewna myśl.

– Powiedziała pani, że dała Romanowi kluczyki do auta?

Kobieta kiwa głową. Biegnę z powrotem do samochodu, pani Franklin za mną. Nawet nie zapinam pasa i wciskam gaz do dechy. Z rykiem

odjeżdżamy z Crestville Pointe. Ośmiominutowa jazda trwa wieczność. Kiedy docieramy do domu Romana, zaciągam ręczny hamulec i wyskakuję z auta. Rzucam się w stronę garażu. Czuję spaliny wydostające się przez szczelinę pod drzwiami i słyszę słaby szum silnika. Ciągnę za uchwyt, ale nie mogę otworzyć drzwi. Kopię je.

Słyszę, jak pani Franklin krzyczy i biegnie w kierunku domu. Dalej walę w drzwi garażu, ale bez rezultatu. Pani Franklin wraca, dziko wymachując pilotem do nich. Kilkakrotnie naciska guzik. Drzwi się podnoszą i widzimy to.

Czerwony džip ma włączony silnik. Garaż jest pełen spalin. Widzę Romana siedzącego za kierownicą. Opiera się o nią, a jego ogromne piękne oczy są zamknięte. Nie porusza się.

Nogi uginają się pode mną i coś we mnie pęka. Moje serce.

piątek, 5 kwietnia

Od wielu godzin siedzę w szpitalnej poczekalni. Gapię się na pulsujące fluorescencyjne białe światło, próbując wyrzucić z głowy obraz bezwładnego, nieprzytomnego ciała Romana. W poczekalni pachnie przypaloną kawą, środkami odkażającymi i słonymi łzami. Dopóki człowiek nie spędzi dłuższego czasu w szpitalu, nie wie, że strach czy smutek też mają zapach.

Zastanawiam się, czy poczucie winy również. Cuchnącą, obrzydliwą woń, którą rodzice Romana potrafią zidentyfikować. Siedzą po obu moich stronach i nie odzywają się do mnie, tylko czasami pytają, czy wszystko w porządku. Jakim cudem martwią się o mnie? Czy nie wiedzą, że stanowią część problemu? Jestem pewna, że by mnie znienawidzili, gdyby poznali prawdę.

Na szczęście stan Romana jest stabilny. Odzyskuje i traci przytomność. Ale chyba nie miał jeszcze okazji powiedzieć im, jaką jestem zdrajczynią. Wobec niego i wobec nich.

Wiercę się na krześle. Plastikowe siedzenie jest mokre od mojego potu i lepi mi się do ud. Powinnam włożyć dzinsy zamiast szortów. Obgryzam skórki wokół paznokci i czuję coraz większą wściekłość na Romana. Może i jestem zdrajczynią, ale on też. Próbował umrzeć beze mnie.

Mama Romana kładzie dłoń na moim ramieniu, sprowadzając mnie na ziemię.

– Skarbie, pielęgniarka mówi, że Roman powinien się wkrótce obudzić. Wyjaśniłam, kim jesteś, i powiedziała, że możesz go odwiedzić za parę minut, jeśli chcesz. – Jej głos jest cichy niemal jak kołysanka. – Powiedziałam jej, że to ty ocaliłaś mu życie. Gdyby nie ty... – Obejmuje mnie, żeby

słumić własny szloch. – Jesteśmy ci tacy wdzięczni. – Puszczam mnie i obdarza smutnym półuśmiechem. – Jak my ci dziękujemy?

Oddech więźnie mi w gardle. Nie mogę znaleźć słów, jakby usta wypełniały mi ruchome piaski i każde słowo, które próbuje się wydostać, było z powrotem wciągane do moich trzewi.

– W porządku, kochanie. – Klepie mnie po głowie idealnie wypielęgnowanymi dłońmi. – Nie musisz nic mówić. Wiem, że jest ci trudno. – Przechyliła głowę, żeby spojrzeć mi w oczy. – Chcesz zobaczyć Romana, prawda?

Zmuszam się do kiwnięcia głową. Chcę. Naprawdę chcę. Tylko tego chcę. Ale jednocześnie nie wiem, jak mam to zrobić.

Siedzę z panią Franklin jeszcze kilka minut. Ojciec Romana, który tymczasem poszedł do szpitalnej stołówki, wraca z kawą dla niej i ciasteczkami

dla mnie. Kładę ciasteczko na stoliku obok. Więcej go nie dotykam. W końcu podchodzi do nas pielęgniarka z włosami w kolorze cynamonu. Pani Franklin wskazuje na mnie, a pielęgniarka kiwa głową. Wstaję, czując, jak nogi lepią mi się do krzesła. Zupełnie jakby błagało mnie, żebym nie szła. Jakby ostrzegało przed tym, co zamierzam zrobić.

Pielęgniarka prowadzi mnie wyłożonym kafelkami korytarzem do pokoju Romana. Przyglądam się kartkom i słowom otuchy przyklejonym do drzwi innych pacjentów. Do jednych został przyczepiony cały pęk żółtych baloników. Zastanawiam się, czy nie powinnam też przynieść baloników. Ale to chyba głupi pomysł. Nie wydaje mi się, żeby to była okazja do ich wręczania. W końcu docieramy do pokoju Romana. Pielęgniarka przekręca metalową gałkę i wchodzi do

środku. Ja jeszcze przez chwilę stoję na korytarzu, mocno splatając dłonie, oddychając głęboko, nucąc *Koncert fortepianowy nr 15* Mozarta.

– Wejdz, skarbie – zachęca mnie pielęgniarka.

Zastanawiam się, czy często jest świadkiem takich sytuacji. Czy często widuje odwiedzających, którzy nie potrafią stawić czoła rzeczywistości.

Serce mi zamiera na widok Romana leżącego na łóżku. Jego szczupłe ciało jest za długie – palce u nóg wystają poza krawędź ramy. Szpitalne oświetlenie sprawia, że skóra wydaje się niemal przezroczysta. Ma ogromne ciemne kręgi pod oczami, a oczy w ogóle nie są już złote. Mają matowy, zmętniały odcień zieleni.

– Aysel – mówi z wysiłkiem zachrypniętym głosem.

Pielęgniarka uśmiecha się do mnie i dotyka mojego ramienia.

– Będę na zewnątrz, gdybyście czegoś potrzebowali.

Rozglądam się po pokoju, bo nie jestem w stanie patrzeć na niego. Widzę, że mama przyniosła mu zbiór powieści Juliusza Verne’a i jego szkicownik. Na stoliku przy łóżku stoi wazon z nagietkami. Nie ma Kapitana Nemo. Pewnie nie wolno przynosić do szpitala domowych zwierzątek. Ale poza kwiatami, książkami i szkicownikiem pokój jest pusty. W niczym nie przypomina Crestville Pointe. W niczym nie przypomina miejsca, w którym Roman miał umrzeć. Tutaj nie może umrzeć. W ogóle nie może umrzeć.

– Aysel... – powtarza, tym razem wyraźniej, ale wciąż niemożliwie zachrypniętym głosem.

Mrugam, próbując powstrzymać łzy, które zaczynają napływać mi do oczu.

– Jak mogłeś?

– Ty nie chciałaś – mówi. – Wiem, że nie chciałaś. A ja nie chciałem, żebyś chciała. Za bardzo mi na tobie zależy, żeby patrzeć, jak umierasz. Chcę, żebyś żyła, Aysel. Więc zrobiłem to sam, bo chciałem cię uratować.

Wysuwam podbródek i patrzę mu prosto w oczy. Jego twarz jest taka blada. Widzę jego żyły. Wygląda tak krucho, jakby w każdej chwili ciało miało z niego zrezygnować.

– Uratować mnie? Gdybyś chociaż trochę się o mnie martwił, nie zrobiłbyś tego.

Podchodzę do jego łóżka, ale wciąż stoję. Patrzę, jak próbuje pokręcić głową. Ledwie może ruszać szyją. Widzę, że gardło ma posiniaczone. Fioletowe i opuchnięte.

– Musiałem to zrobić, Aysel. Nie jestem jak ty. Nie zasługuję na to, by żyć. – Wzdycha ciężko. –

Nie mogę ze sobą żyć. Nie, kiedy wiem, że to przeze mnie Maddie umarła.

– Ale co z siódmym kwietnia? I śmiercią w wodzie?

Tym razem to on nie chce na mnie spojrzeć.

– Nie chciałem skoczyć z Crestville Pointe bez ciebie. Wydawało mi się, że to nie w porządku. A im więcej o tym myślałem, tym wyraźniej uświadamiałem sobie, że nie powinienem umrzeć w ten sam dzień, co Maddie. Ani w taki sam sposób. To byłoby tak, jakbym coś jej odbierał. – Próbuje znowu pokręcić głową. – Nie wiem, dlaczego wybrałem samochód. Po prostu sądziłem, że jeśli nie zrobię tego teraz, nigdy nie będę w stanie tego zrobić.

Pochyliam głowę, żeby nie widział moich oczu, przyciskam podbródek do piersi. Próbuję stłumić szloch, ale łzy i tak lecą mi ciurkiem po twarzy.

– Nie płacz – mówi. – Chodź tutaj.

Nie poruszam się.

– Aysel, chodź tutaj.

Nabieram powietrza w płuca i siadam na krześle obok łóżka. On wyciąga rękę, a ja ją ściskam. Jego uścisk jest słaby, w niczym nie przypomina tego odrętwiającego uścisku z lunaparku. Tym razem czuję swoją dłoń. Czuję wszystko. I dalej chcę wszystko odczuwać. Nawet to, co bolesne, okropne i straszne. Bo to umiejętność odczuwania świadczy o tym, że żyjemy. A ja chcę żyć.

W końcu udaje mi się powiedzieć:

– Nie mogę cię stracić.

– Nie mów tak – szepcze.

– Nie, to prawda. Nie mogę cię stracić. Roman, ty musisz postanowić, że chcesz żyć. Wiem, że nic nigdy nie wymaże tego, co się stało z Maddie, ale nie możesz się poddawać.

Roman próbuje zmarszczyć brwi. Wygląda na to, że sprawia mu to ból. Praktycznie widzę, jak bolą go mięśnie. Skóra wokół jego oczu wygląda na tak ciemną, jakby ktoś go pobił.

– Nie proszę cię o to, żebyś żył dla mnie. Choć byłoby to miłe, bo jestem w tobie zakochana. I tak, tak, możesz mi mówić, że niewłaściwie używam tego słowa, ale to mnie nie obchodzi. Właśnie to czuję. Lecz tu nie chodzi o mnie czy nawet o to, co do ciebie czuję. Chcę, żebyś żył dla samego siebie, bo wiem, że czeka na ciebie jeszcze tyle rzeczy... Jeszcze tyle możesz odkryć i doświadczyć. I zasługujesz na to. Może ci się wydawać, że nie, ale owszem. Jestem tutaj, żeby ci powiedzieć, że na to zasługujesz. Wiem, że to brzmi strasznie ckliwie. Wierz mi, jeszcze sześć tygodni temu zdzieliłabym się po twarzy za mówienie takich bzdur, ale znajomość z tobą... – urywam na moment

– ...znajomość z tobą pomogła mi inaczej spojrzeć na świat. Inaczej widzieć siebie. A wszystko, czego pragnę, to żebyś zobaczył siebie w sposób, w jaki ja cię widzę.

Po całej tej przemowie czuję się wyczerpana, jakby ktoś spuścił ze mnie powietrze. Wiem, że zazwyczaj jest to negatywne doznanie, ale dziś czuję się wyczerpana w pozytywny sposób. Ogarnia mnie ulga, jakbym w końcu uwolniła wszystkie te sekrety, które tak długo w sobie dusiłam. Czuję się lżejsza. Czuję się wolna. Powiedziałam Romanowi, że go kocham. Wypuściłam ten pozytywny ładunek w przestrzeń. A teraz tylko czekam, żeby się przekonać, czy zaiskrzy – czy wprawi nas w ruch.

Roman charczy, jakby chciał coś powiedzieć, ale potem powieki mu opadają, a oddech się wyrównuje. Zasnął. Siedzę tu jeszcze przez chwilę,

wciąż trzymając jego dłoń. Czuję się jak natręt, obserwując, jak śpi, ale nie potrafię się powstrzymać. Boję się, że jeśli spuszczę go z oczu, zniknie. Jego pierś unosi się i opada. Wygląda tak krucho, ale wciąż żyje. I tylko to się liczy. Kiedy tak na niego patrzę, uświadamiam sobie, że chciałabym zajrzeć do jego wnętrza. Zobaczyć, czy są tam jedynie pustka i ciemność, czy może jest coś więcej.

niedziela, 7 kwietnia

To dziś jest ten dzień: rocznica śmierci Madison. Prawie stchórzyłam i nie pojechałam do szpitala, ale wiedziałam, że jeśli tego nie zrobię, nigdy sobie nie wybaczę. Po raz pierwszy od trzech lat mam na sobie coś innego niż szarą koszulę w paski i czarne dzinsy. Pożyczyłam od Georgii prostą czarną sukienkę, umyłam włosy i zaplotłam je we

francuski warkocz. Nie żebym myślała, że w tej sytuacji Romana będzie obchodzić, jak wyglądam, ale mnie to obchodzi. I próbuję mu to pokazać.

Srebrne buty na niskim obcasie, które również pożyczyłam od Georgii, stukają po płytkach korytarza. Kiedy docieram do pokoju Romana, zaglądam do środka i widzę jego rodziców siedzących w nogach łóżka.

– Och, Aysel – wita mnie jego mama i obdarza wesołym uśmiechem.

Zaczynam wierzyć, że jej ciepło nie stanowi wyłącznie fasady, jak twierdził Roman, że naprawdę ma w sobie tyle miłości. Pan Franklin, który obejmował ją ramieniem, na mój widok przyciąga ją bliżej do siebie.

– Wejdz – zaprasza mnie.

Jest mniej wylewny niż żona, ale nie zachowuje się też chłodno.

Roman patrzy na mnie. Nic nie mówi. Może tylko mi się zdaje, ale mogłabym przysiąc, że jego oczy pojaśniały odrobinę. Skóra wokół nich wciąż jest posiniaczona, ale wygląda mniej szokująco niż w piątek.

– Jestem głodna, a ty? – mówi pani Franklin do męża.

Mężczyzna przez chwilę wygląda na zdezoriotowanego, ale w końcu łapie, o co chodzi.

– O tak – mówi. – Umieram z głodu.

Pani Franklin zwraca się do mnie:

– Skarbie, posiedzisz z Romanem kilka minut, podczas gdy my pójdziemy coś przegryźć?

– Nie ma sprawy – uśmiecham się do niej, żeby dać jej znać, iż doceniam jej dobroć. Żeby podziękować jej, że wciąż pozwala mi widywać Romana, że wpisała mnie na listę odwiedzających i traktuje mnie jak członka rodziny.

Pani Franklin całuje Romana w czoło, a kiedy z mężem znika za drzwiami, ja siadam na krześle przy łóżku.

– Powinienem być na jej grobie – mówi w końcu Roman. Wciąż z wysiłkiem, ale głos ma mocniejszy niż w piątek. – Akurat dziś ze wszystkich tych dni powinienem tam być.

– Nie musisz odwiedzać jej grobu, żeby wiedziała, że ci zależy.

Patrzy na mnie, mrużąc oczy.

– Naprawdę w to wierzysz?

Kiwam głową.

– Tak, Roman. Może nie ma jej tu fizycznie, ale wciąż tutaj jest. I chce cię widzieć szczęśliwego. Wiem, że tak jest.

Roman milczy przez chwilę. Prześcieradła ma podciągnięte aż pod brodę i leży kompletnie bez

ruchu. Patrzymy na siebie w ciszy, aż w końcu pyta:

– Kiedy stąd wyjdę, pójdiesz ze mną?

– Na jej grób?

Usta mu drgają. Traktuję to jako potwierdzenie.

– Wszędzie z tobą pójde. – Rumieniec zalewa mi twarz. Nie jestem przyzwyczajona do mówienia takich rzeczy, ale kiedy widzę, jak powoli się uśmiecha, całe zażenowanie znika. – No, popatrz, wciąż jestem ckliwa jak cholera.

Śmieje się cicho, rżąc odrobinę.

– A skoro już przy tym jesteśmy... – mówię i sięgam do swojej torby. Wyciągam książkę o plażach Karoliny Północnej. Kładę ją na tacy na jedzenie, żeby mógł się jej przyjrzeć. – Pomyślałam, że możemy tam pojechać, gdy poczujesz się lepiej.

Patrzy na książkę i wzrok mu się rozpogadza.
Oczy z błotnistozielonych robią się ciemnozłote.

– Nad ocean – dodaję.

Nic nie mówi. Bierze książkę z tacy i przegląda ją. Widzę, że próbuje udawać obojętność, ale nad niektórymi stronami spędza więcej czasu, wpatrując się w lśniące zdjęcia. W końcu pyta:

– Dlaczego?

– Dlaczego co?

– Dlaczego wciąż próbujesz, chociaż wiesz, jaki jestem popaprany?

Wzruszam ramionami. Wstaję i podchodzę do stolika nocnego, na którym pani Franklin położyła wszystkie jego powieści Juliusza Verne’a i szkicownik. Biorę szkicownik do ręki, z powrotem siadam na krześle i zaczynam przerzucać kartki.

– Dlaczego? – powtarza.

Wpatruję się w rysunki wykonane ołówkiem, po czym podnoszę wzrok, zmuszając się, by spojrzeć mu w oczy.

– Bo miłość do ciebie mnie ocaliła. Sprawiała, że zaczęłam patrzeć na siebie inaczej. Patrzeć na świat inaczej. Wszystko to zawdzięczam tobie.

Zanim zdąży odpowiedzieć, rozlega się pukanie do drzwi.

– Dzień dobry? – rozlega się profesjonalnie brzmiący głos.

Drzwi otwierają się i staje w nich kobieta. Nie ma na sobie stroju lekarza czy pielęgniarki, lecz czarne spodnie i białą elegancką koszulę.

– Ty musisz być Aysel – mówi, po czym zwraca się do Romana: – Cześć, Roman. Jak się dziś czujesz?

Roman tylko na nią patrzy. Kobieta podchodzi i lekko dotyka mojego łokcia.

– Czy mogłabyś dać nam chwilę?

Kiwam głową i wychodzę z pokoju, cicho zamykając za sobą drzwi. Krążę po korytarzu, próbując sobie wyobrazić rozmowę toczącą się w środku. Wyobrażam sobie kamienną twarz Romana i tę kobietę, próbującą wyciągnąć z niego odpowiedzi. Mam już pokonać długość korytarza po raz dwudziesty trzeci, kiedy drzwi otwierają się i kobieta wychodzi. Odgarnia pasmo ciemnych włosów z czoła.

– Jestem doktor Stead. – Wyciąga rękę na powitanie.

Bez przekonania odwzajemniam jej gest.

– Ja jestem Aysel, ale to już pani wie. Pracuje pani z Romanem?

Kobieta kiwa głową.

– Tak, zgadza się.

„Dobrze”, myślę, ale nic nie mówię.

– Mam nadzieję, że uda się pani... no wie pani, dotrzeć do niego.

Nie uśmiecha się, ale wygląda przyjaźnie. Zastanawiam się, czy uczą ich tego na studiach.

– Zrobię, co w mojej mocy. A wiesz? Jestem w tym całkiem niezła...

Sięga do kieszeni i wyciąga małą wizytówkę. Podaje mi ją. Papier jest miękki. Przesuwam palcami po wytłoczonych literach.

– Gdybyś kiedyś chciała porozmawiać albo potrzebowała czegokolwiek, możesz się ze mną skontaktować pod tym numerem – dodaje.

Patrzy na mnie życzliwym wzrokiem. Zastanawiam się, czy wie o Crestville Pointe, o naszym pakcie. Czy Roman coś jej powiedział.

– Dziękuję – mówię słabo i patrzę na drugą stronę wizytówki.

Kobieta odchodzi, a stukot jej obcasów odbija się echem po korytarzu.

Kiedy wracam do pokoju, Roman obdarza mnie zimnym spojrzeniem.

– No co?

– Chyba nie zamierzasz mi powiedzieć, że powinienem rozmawiać z tą kobietą?

Ściskam wizytówkę w dłoni.

– Powiedziałeś jej o nas?

– Co o nas?

– No wiesz...

Roman podpira się na rękach, żeby móc się oprzeć plecami o metalowy zagłówek. Idzie mu to z trudem, ale daje radę.

– Nie. Nie powiedziałem jej ani jednego cholernego słowa. I nie zamierzam.

Siadam z powrotem na krześle przy łóżku.

– Może to nie byłby taki zły pomysł...

Roman wzdycha i mogłabym przysiąc, że słyszę, jak bolą go mięśnie gardła. Wyobrażam sobie, jak musi wyglądać wnętrze jego ciała – całe zatrute i posiniaczone.

– Mam wrażenie, jakbym cię nie znał – mówi.

Zagryzam dolną wargę.

– To nie fair. To znaczy, nie musisz rozmawiać z nią, ale chociaż porozmawiaj ze mną...

Roman milczy. Wstaję i podchodzę do stosu książek. Tym razem biorę do ręki *Dwadzieścia tysięcy mil podmorskiej żeglugi*. Siadam z powrotem i otwieram ją. Jedwabiste strony łatwo się przerzuca. Zaczynam czytać na głos. Początkowo głos mi trochę drży, ale wkrótce znajduję rytm. Od czasu do czasu zerkam na niego i widzę, że twarz ma zrelaksowaną i patrzy na mnie, jakby słuchał powieści. Pozwala, bym skończyła drugi rozdział, po czym przerywa mi:

– Aysel?

– Tak?

Przesuwa się bliżej krawędzi łóżka. Porusza się powoli i z wysiłkiem.

– Chodź tutaj,

Wyciąga ręce i bierze moją twarz w dłonie. Pochyliam się i nasze usta się spotykają. Jego usta są spierzchnięte i opuchnięte, ale pocałunek jest miękki, delikatny, idealny.

– Będę z tobą rozmawiał – szepcze i bierze mnie za rękę. – Obiecuję.

Patrzę w te jego złotozielone oczy i sama nie wiem, czy do końca mu wierzę. Wiem, że wciąż jest złamany, niemożliwie smutny, ale kiedy tak trzyma moją dłoń, wyczuwam potencjalną energię szczęścia w jego pulsie.

– A pamiętasz, co powiedziałaś wcześniej? O tym, że sprawiłem, że zobaczyłaś siebie w inny

sposób? – pyta z twarzą wciąż kilka centymetrów od mojej.

– Tak.

– Cóż, właśnie dlatego narysowałem cię w taki sposób. Żeby spróbować ci pokazać, kogo widzę, kiedy na ciebie patrzę, a nie osobę, którą myślałaś, że jesteś.

Mrugam, jakby właśnie oślepił mnie błysk flesza. Wszystko jest białe i zwiewne, a ja czuję się bardziej obnażona niż kiedykolwiek wcześniej. Wiem, że on mnie widzi, widzi każdy najdalszy zakątek mojej duszy, ale to mnie nie przeraża. Czuję trzepotanie w sercu, gdy zdaję sobie sprawę, że cieszę się światłem. Skończyłam z cieniami.

Roman obserwuje mnie, błądzi wzrokiem po mojej twarzy.

– Ja chyba też chcę widzieć świat inaczej – urywa i znowu robi smutną minę.

W pokoju jest tak cicho, że słyszę brzęczenie świetlóówki pod sufitem.

– Ale on wciąż wydaje się beznadziejny, wiesz?
– dodaje w końcu.

– Tak, wiem.

Całe moje ciało wyrywa się do niego. Chciałabym coś zrobić, ale wiem, że mogę jedynie być przy nim.

– Mam dalej czytać? Ten świat – podnoszę książkę – wydaje się mniej beznadziejny.

– Teraz tak mówisz, ale poczekaj, aż zobaczysz, co będzie dalej.

Zerkam na stronę, a potwór morski z ilustracji odwzajemnia moje spojrzenie. Patrzę na Romana.

– Poczekam, jeśli ty poczekasz.

Bierze mnie za rękę i ściska ją.

– Poczekam.

Od autorki

Zacząłam pisać tę książkę w styczniu 2013 roku, po śmierci jednego z moich najbliższych przyjaciół. Znalazłam się w bardzo mrocznym miejscu, a praca nad tym projektem była po części moim sposobem na uporanie się z emocjami. Dla mnie *Moje serce i inne czarne dziury* zawsze było historią o ludziach, którzy cię rozumieją, całego ciebie, nawet najbardziej przerażające i najdziwniejsze części ciebie. To historia o ludziach, którzy pojawiają się w twoim życiu, kiedy najmniej się tego spodziewasz, często w najdziwniejszych okolicznościach, i zmieniają wszystko. To książka o tym, jak ważne jest, by wpuścić tych ludzi do swojego życia, otworzyć się przed nimi. To w końcu książka o ludziach, którzy pomagają ci

spojrzeć na siebie w inny sposób, i o prawdziwej potędze więzi międzyludzkich.

Chociaż ta historia kończy się pełnym nadziei akcentem, droga do wyzdrowienia jest bardzo długa. W wielu przypadkach walka z depresją trwa przez całe życie. Jeśli zmagacie się z emocjami podobnymi do tych, jakie były udziałem Aysel i Romana, chcę was zapewnić, że niezależnie od tego, jak bardzo zagubieni się czujecie, nigdy nie jesteście sami. Jeśli macie myśli samobójcze, powinniście je potraktować jako sytuację kryzysową, wymagającą natychmiastowej interwencji medycznej. Proszę, zaklinam was, spróbujcie z kimś porozmawiać. Chociaż opowiedzenie komuś o tym, co się dzieje w waszej głowie, może być przerażające, mam nadzieję, że znajdziecie w sobie siłę, by to zrobić. Najpotężniejsza rzecz, jaką dysponujemy, to nasz głos. Na końcu tej

książki wymieniłam kilka telefonów zaufania i stron internetowych, z których możecie skorzystać⁴.

Jeśli podejrzewacie, że wasz przyjaciel zмага się z depresją, chcę was poprosić, abyście spróbowali do niego dotrzeć. Wiem, że to może się wydawać krępujące, ale jeśli zaczniemy głośno mówić o tych sprawach, może uda nam się zwalczyć piętno ciążyące nad kwestiami depresji i samobójczych myśli. Najlepsze, co możecie zrobić dla swojego przyjaciela, to porozmawiać z nim albo zachęcić go do rozmowy ze specjalistą. Ośmielając go, by zaczął mówić, możecie mu pomóc w wejściu na drogę wyzdrowienia.

Mam nadzieję, że ta historia przypomniała wam o osobach, które najbardziej liczą się w waszym życiu. Doceniajcie je, bądźcie dla nich dobrzy

i pamiętajcie, że życie jest kruche. Życzę wam wszystkim bardzo kinetycznego i pięknego życia.

Przydatne strony i telefony

TELEFONY ZAUFANIA

telefon zaufania dla dzieci i młodzieży:

116 111

(codziennie w godzinach 12.00–22.00);

z jego konsultantami można się też skontaktować,
wysyłając wiadomość na

<http://www.116111.pl/napisz>

antydepresyjny telefon zaufania Centrum Itaka:

22 654 40 41

(poniedziałek i czwartek w godzinach
17.00–20.00)

STRONY INTERNETOWE

www.samobojstwo.pl

przyjaciele.org

stopdepresji.pl

forumprzeciwdepresji.pl/index.php/gdzie-szukac-pomocy

¹ Słowa Marcela Prousta zostały tutaj przywołane w popularnej angielskiej wersji: *The real voyage of discovery consists not in seeking new landscapes, but in having new eyes*. Cytat w tłumaczeniu Tadeusza Żeleńskiego (Boya) brzmi: „Jedyną prawdziwą podróżą, jedyną kąpielą w wodzie Młodości byłoby iść nie ku nowym krajobrazom, ale mieć inne oczy, widzieć wszechświat oczami kogoś innego, stu innych, widzieć sto światów, które każdy z nich widzi, którym każdy z nich jest” (Marcel Proust, *W poszukiwaniu straconego czasu*, t. 5, *Uwięziona*, PIW, Warszawa 1992, s. 236). [Wszystkie przypisy w książce pochodzą od tłumaczki].

² Popularny w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie smakołyk przygotowywany nad ogniskiem. Składa się z przypieczonej nad ogniem pianki marshmallow i kostki czekolady włożonych między dwa pełnoziarniste krakersy.

³ Fragment w przekładzie Macieja Słomczyńskiego. John Milton, *Raj utracony*, Wydawnictwo Zielona Sowa, Kraków 2003, s. 17.

⁴ Lista amerykańskich numerów telefonów i stron została zastąpiona polskimi odpowiednikami.

PO PIERWŐSZE, *nie chcę tego zrobić z kimś, kto ma dzieci.*
 PO DRUGIE, *nie możesz mieszkać dalej niż godzinę drogi ode mnie.*
 I PO TRZECIE, *musimy to zrobić 7 kwietnia. Ta data nie podlega negocjacji.*

Brzmi jak ogłoszenie z portalu randkowego, prawda? Szesnastoletnia Aysel trafia na nie jednak na stronie dla osób, które chcą umrzeć. Dokładnie w dziale Partnerzy do Samobójstwa. Aysel wchodzi tam często, bo... chce ze sobą skończyć i szuka kogoś, kto jej w tym pomoże. Boi się, że w ostatnim momencie, gdy będzie sama, zabraknie jej odwagi.

W małym miasteczku, gdzie wszyscy się znają, nie ma życia dla córki mordercy. Mimo że od zbrodni minęły już trzy lata, w szkole nadal jej unikają i szepczą za plecami. Matka i siostra traktują ją jak wyrzut sumienia.

7 kwietnia mi odpowiada. Dziś mamy 12 marca. Wytrzymam jeszcze z miesiąc, chociaż ostatnio każdy dzień zdaje się trwać wieczność.

Roman, który umieścił ogłoszenie, jest rok starszy od Aysel i mieszka niedaleko. Dziewczyna odpisuje na wiadomość i dochodzi do spotkania. Roman intryguje Aysel od samego początku. Taki fajny chłopak! Co strasznie go spotkało, skoro teraz planuje własną śmierć?

Wspólnie zawierają tragiczny pakt i zaczynają przygotowania. Jednak im bliżej planowanego dnia śmierci, tym bardziej Aysel dzięki Romanowi chce się żyć.

Zwiedzaj kod
i pobierz
darmową
prezję książki



Patroni medialni:

BRAVO

KSIAZKOWIR

MyBooks
MyLife

BURDA
KSIĘGARNIA

Zamówienia
www.burdaksiążki.pl
tel. +48 22 360 37 77

